R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
118
E829.

118

E829.

Eigentum
Heeresarchiv-Zweigstelle
Danzig
E 829. 3 Eh.

W BLASKACH WOJNY

M. B. LEPECKI

W BLASKACH WOJNY

1006.

Gdańskie Towarzystwo Naukowe - Zweigstelle Danzig

WARSZAWA 1926
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

8(315) ; 884-3

Wszelkie prawa przekładu i przedruku zastrzeżone

BIBLJOTE... Nr 5234 ... Szk. Wojsk.

32017 / 2

Drukarnia L. Wolnickiego, Poznańska Nr. 29

TEGOŻ AUTORA.

W KRAINIE JAGUARÓW — Warszawa, nakładem „Bibljoteki Dzieł Wyborowych". (Wyczerpane).

POD TCHNIENIEM SIROCCA — Warszawa, nakładem „Polski Zbrojnej". (Wyczerpane).

U WRÓT TAJEMNICZEGO MAGHREBU — Warszawa, nakładem „Bibljoteki Dzieł Wyborowych".

ZAZDROSNA DŻUNGLA — Warszawa, nakładem „Bibljoteki Domu Polskiego". (Wyczerpane).

35 TYSIĘCY KILOMETRÓW PRZEZ LĄDY I MORZA — Warszawa, nakładem „Roju".

PRZYGODY W PARANIE — Kurytyba, nakładem „Świtu". (Wyczerpane).

CO TO JEST PARAGWAJ — Warszawa, nakładem Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego.

CO TO JEST PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE — Grodno, nakład D. O. K. III. (Wyczerpane).

W DRUKU.

MATTO GROSSO — dziki zachód Brazylji.

OCEANEM, RZEKĄ, LĄDEM — wrażenie z podróży do Argentyny.

W SELWASACH PARAGWAJU — wrażenia z podróży.

NA CMENTARZYSKACH INDJAN — wrażenia z podróży po Brazylji.

OCHOTNICY Z BRAZYLJI — powieść dla młodzieży.

PANU GENERAŁOWI DYWIZJI EDWARDOWI RYDZOWI ŚMIGŁEMU – DOWÓDCY 1 PUŁKU PIECHOTY LEGJONÓW W CZASIE WOJNY ŚWIATOWEJ

I

PANU PUŁKOWNIKOWI JANOWI KRUSZEWSKIEMU, DOWÓDCY TEGOŻ PUŁKU W CZASIE WOJNY POLSKO-ROSYJSKIEJ W LATACH 1918—1920

TĘ PRACĘ POŚWIĘCA

AUTOR

SPIS RZECZY.

Wstęp.
Rozdział I. W chaosie tworzenia 1
Rozdział II. Bitwa na ulicy Foksal 8
Rozdział III. W pogoni za pułkiem 12
Rozdział IV. Po jagiełłową spuściznę 15
Rozdział V. Na Antokolu i „zielonym" moście 18
Rozdział VI. Obrona Niemenczyna 23
Rozdział VII. Na straży Giedyminowego grodu 28
Rozdział VIII. Partyzantka nad wielkiemi jeziorami 33
Rozdział IX. Nad rzeką Dzisną 39
Rozdział X. Pojedynek z bolszewickim komisarzem 45
Rozdział XI. W drodze do Dyneburga 50
Rozdział XII. Ramię w ramię z Litwinami 53
Rozdział XIII. Na niebezpiecznym patrolu 57
Rozdział XIV. Natarcie na Dyneburg 61
Rozdział XV. Na „Hinterlandzie" 64
Rozdział XVI. W przededniu wielkiej ofensywy 69
Rozdział XVII. Szlakiem Chrobrego 73
Rozdział XVIII. Polskie w Kijowie gody 83
Rozdział XIX. Wypad na Boryspol 94
Rozdział XX. Na wojnie wszystko bywa 100
Rozdział XXI. Ponury rekonesans 103
Rozdział XXII. Z rozpaczą w sercu 108
Rozdział XXIII. W uściskach wroga 112
Rozdział XXIV. Od Borodianki do Korostenia 127
Rozdział XXV. Jak umierali żołnierze polscy 130
Rozdział XXVI. Sielanka nad rzeką Uborcią 136
Rozdział XXVII. Zawody z czerwonem kozactwem 141
Rozdział XXVIII. Nad historyczną rzeką 148
Rozdział XXIX. Odwrót pod Lublin 153
Rozdział XXX. „Ja tu gospodarz, psiawiaro!" 157
Rozdział XXXI. Śmiertelny kontredans 161
Rozdział XXXI. Ciernie i róże 170

W S T Ę P.

Opisując osobiste przejścia i przeżycia na polsko-rosyjskiej wojnie nie mam i nie miałem bynajmiej zamiaru stworzyć jakiejś rzeczy ściśle wojskowej, ani, tem bardziej, nadać mej pracy charakteru historycznego. To, co przeżywałem, to opisuję, a ponieważ początkowo w wielkich naszych wydarzeniach dziejowych brałem udział jako sierżant, potem podchorąży, a wreszcie jako podporucznik, więc też i przeżycia moje nie obejmowały jakichś szerokich horyzontów, lecz zaledwie małe kółko własnej kompanji, lub najwyżej bataljonu. Jako tak mały pionek słabe miałem wyobrażenie o znaczeniu posunięć strategicznych i politycznych, zresztą, nie usiłowałem nawet zbytnio się w nie zagłębiać — nie do mnie to należało. Natomiast każde nowe zwycięstwo, odnoszone bądź to w lasach i rojstach litewsko-białoruskich, bądź też na urodzajnych i płodnych równinach ukraińskich, ryło się w mej duszy niezapomnianemi, radosnemi głoski. Huk naszych armat, rozlegający się w tych latach od starych Inflant Polskich aż po utracone przed setkami laty Zadnieprze, napełniał mnie dumą i głębokiem przekonaniem, że Ojczyzna moja — to kraj wielki i potężny.

Potem, gdy nadeszły dni próby, nie straciłem ani na chwilę nadziei i pewności, że zwycięstwo nadejdzie, a gdy w upalne dni sierpniowe nadeszło, przyjąłem je jako coś, co nieodwołalnie stać się musiało.

Są to wspomnienia przeciętnego, szarego żołnierza piechoty, dla którego wojna była nie polem popisów lub drogą do zaszczytów, lecz twardą, pełną znojów i trudów służbą.

ROZDZIAŁ I.

W CHAOSIE TWORZENIA.

Był to dzień grudniowy. Godzina ranna. Topniejący, niezmiatany śnieg pokrywał grubą warstwą brudne i zaśmiecone Krakowskie Przedmieście, tworząc specyficzne „warszawskie błoto". Przez kupy lepkiej mazi brnąłem wraz z kompanją ochotników, pozbieranych z okolic Skierniewic i Żyrardowa. Chłopcy to byli młodzi i niefrasobliwi. Zapocone szyby w oknach stołecznych kamienic aż drżały od ich donośnego, chociaż niezbyt zgodnego śpiewu. A śpiew to był nieco dziwny, jak na maszerujący oddział wojska. Przez zmarznięte i wichrem mącone powietrze przewalały się słowa groźnej, ludowej pieśni, jakgdyby nie wojsko szło, a demonstrujący tłum. Nic też dziwnego, że jaki taki przechodzień oglądał się ze strachem, a potem ruszał szybciej przed siebie.

Ludzie z oddziału pochodzili w części z peowiaków skierniewickich, a w części z czerwonej gwardji pepeesowej, rozbrojonej właśnie przez tychże peowiaków w Żyrardowie. Pepesowcy ze wstydu, że dali odebrać sobie broń, zdecydowali przyłączyć się do formowanego oddziału w koszarach skierniewickich, a następnie pomieszani z innymi ochotnikami, utworzyli jedną z kompanij obozu ćwiczebnego w Jabłonnie (później 2 kompanja 1 pułku piechoty legjonów).

Wszyscy ci cywile, w żołnierskie szeregi armji narodowej wprzęgnięci, prędko jakoś zapomnieli o swoich sprawach partyjnych i tylko czasem śpiewem przypominali, że jakieś tam w ich sercach kołaczą się tęsknoty.

Szli tedy przez Krakowskie Przedmieście i groźną rewo-

lucyjną melodją srogie w zestrachanych mieszczuchach budzili obawy.

Dowódcą całego oddziału, liczącego 130 ludzi, był ppor. Fularski. Po przyjeździe do Warszawy oficer ten poszedł zameldować przybycie transportu. W tamtych czasach z takim meldunkiem trzeba było chodzić niemal do samego ministra. Po kilku godzinach dowiedzieliśmy się, że mamy maszerować do koszar na Pragę, gdzie otrzymamy umundurowanie.

Do tej chwili cała kompanja ubrana była rozmaicie, jedni nosili ubrania cywilne, inni odebrane Niemcom „beselerki", jeszcze inni jakieś fantastyczne, posprawiane za własne pieniądze, mundury. Tylko broń posiadali wszyscy jednolitą, niemiecką, której spore zapasy odebrała okupantom miejscowa organizacja P. O. W. w Skierniewicach; poza tem przejeżdżające transporty uciekającego wojska niemieckiego były dla przemyślnych skierniewiczan niewyczerpanem źródłem pierwszorzędnej broni powtarzalnej, a nawet maszynowej. Świadomość posiadania dobrej broni podtrzymywała ducha w chłopcach, którzy, zresztą, karmieni wyśmienicie z pełnych magazynów, pozostałych po dawnych władcach, nabrali do polskich rządów wielkiego zaufania.

Koszary na Pradze zastaliśmy w stanie okropnym. Rozgrabione w części przez żołnierzy niemieckich, w części przez okoliczną ludność, przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy. Jednakże wielkie magazyny mundurów ocalały i w chwili, kiedy tam przyszliśmy, zaopatrywano z nich pośpiesznie jakieś oddziały ochotnicze.

Żołnierzom, gdy zobaczyli wielkie mnóstwo świetnych mundurów niemieckich, sporządzonych z doskonałych materjałów, aż oczy zaczęły się iskrzyć, a ponieważ nie byli jeszcze karni, przeto widząc, że magazynierzy wydają wciąż nadchodzącym oddziałom a nie im, zaczęli burzyć się i groźnie domagać swojej kolejki. W tych niezbyt pewnych czasach, gdy oddział dobrze uzbrojony domagał się czegoś uparcie, rzadko mu odmawiano. Również i tym razem było tak samo. W mig wydano nam na cały stan kompletne umundurowanie, oprócz pasów, których wielki brak dawał się wszędzie odczuwać.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem ppor. Fularski przyniósł z ministerstwa rozkaz wyjazdu do Jabłonny, gdzie miał się organizować wielki obóz świczebny.

Pomaszerowaliśmy na stacyjkę kolejki podjazdowej pod mostem Kierbedzia i tu, niewiele krępując się opozycją władz stacyjnych, zabraliśmy jeden pociążek i wyruszyliśmy w drogę.

Ochota w żołnierzach aż kipiała, wylewając się w różny sposób nazewnątrz. Wszyscy rozmawiali tylko o wojnie, wszyscy marzyli o chwili, gdy będą mogli już jechać gdzieś hen, tam, gdzie jakikolwiek zagraża nieprzyjaciel. To też mały pociąg kolejki podmiejskiej aż trząsł się od głośnych śpiewów i wesołych pokrzyków.

W nocy przyjechaliśmy do Jabłonny.

O ile koszary praskie przedstawiały smutny widok, to jabłonowskie były to już tylko jedną wielką ruiną. Wielkie drewniane budynki doszczętnie ograbiła okoliczna ludność, która niewiele sobie robiła z ostrzeżeń nowych władz polskich, nawołujących do oszczędzania majątku narodowego. Przypuszczaliśmy wszyscy, że bezmyślne niejednokrotnie niszczenie miało przyczyny w tem, że ludziom prostym nie mogło wprost zmieścić się w głowie, aby to wszystko dobro stało się własnością Polski. Przyzwyczajono się do myśli, że wszelkie urzędy, koszary etc., to własność obcych zaborców, przeto i niszczenie ich uważane było poniekąd za czyn patrjotyczny.

W dużych salach żołnierskich pełno było szczątków porozbijanych szyb, poniszczonych prycz, łóżek, porozrywanych sienników, mnóstwo wszędzie walającej się wełny drzewnej i słomy. A na tem wszystkiem brud ludzki.

Do takich to sal przyszła kompanja skierniewicka. W Jabłonnie nie było podówczas jeszcze wcale wojska, my byliśmy pierwsi. W całym tym chaosie krzątał się por. Wacław Koc[1]) wyznaczony początkowo na komendanta obozu, a więc i tych koszar, przeistoczonych w chlewy. Nie było

[1]) Obecnie major S. G., szef sztabu 1 dyw. piech. leg.

ani kołder, ani węgla, ani jedzenia, ani szyb w oknach. Położenie dość rozpaczliwe.

Wesołe śpiewy straciły nieco na werwie, nosy pospadały na kwintę. Bardzo prędko jednak ogarnął nas nowy przypływ energji i wzięliśmy się ochoczo do roboty; przedewszystkiem więc pozbieraliśmy szyby z całego obozu i opatrzyliśmy swoje okna, naprawiliśmy piece, a ponieważ drzewa w okolicy nie brakło, to też wkrótce pierwsze nieszczęście, zimno, zostało zażegnane.

Gorzej poszło z jedzeniem. Dawano go niesłychanie mało, a nadomiar złego przyrządzane było bardzo niedbale. Tłumaczyło się to, przynajmniej częściowo, niezwykle bojowym nastrojem wszystkich żołnierzy, z których nikt nie chciał być kucharzem, czy też taborytą. Wszyscy marzyli o laurach na froncie, skutkiem czego nie miał kto pracować w kuchniach i magazynach. W każdym razie żołnierze na wikt bardzo się skarżyli, a gdy jednego dnia znaleziono w zupie ugotowanego szczura, zaczęło się poważne niezadowolenie, aż wreszcie jedna z kompanij zatrzymała przechodzący pociąg, załadowała się nań i pojechała do „dziadka"[1]) do raportu. Jak się sprawa skończyła nie wiem. Wkrótce potem przyjechała jakaś komisja ministerjalna, która z „rozkazu pana generała Sosnkowskiego" miała zbadać przyczyny niezadowolenia. Odbyła się odprawa, na której większość oficerów i podoficerów-kadetów stwierdziła, że cała sprawa wynikła wskutek złego wiktu. Jednakże niektórzy oficerowie przypisywali to również temu, że przysłano na instruktorów kadetów z Podchorążówki, czynnej jeszcze za czasów okupacji. Niezadowolenie żołnierskie zlikwidowano bardzo szybko.

Około połowy grudnia przysłano kpt. Kruszewskiego, który objął dowództwo obozu i rozpoczął, przy pomocy już poprzednio przysłanych kadetów i kilku oficerów, regularne ćwiczenia z ochotnikami. Kadetów wypadało po dwóch na kompanję, niektórzy z nich, z braku oficerów, dowodzili kompanjami. Kompanję skierniewicką, która otrzymała numer 2, objął

[1]) Marszałka Piłsudskiego.

por. Profic, legjonista z drugiej brygady (obecnie major-inwalida). Kompanję tę uzupełniono ochotnikami z innych okolic Polski do stanu około 300 ludzi.

Dezercja szerzyła się wtedy w sposób, potem ani przedtem nieznany, jednocześnie jednak zdarzało się wielokrotnie, że przychodzili nowi ochotnicy, nie meldując się wcale, tak, że stan zmieniał się bardzo nieznacznie. Ponieważ nie było wcale podoficerów, gdyż oprócz mnie (byłem podówczas sierżantem) był tylko jeden starszy szeregowiec i dwóch kadetów, ogromnie trudno było zachować jakikolwiek porządek. Ażeby zaradzić złemu, dowódca kompanji wybrał na podoficerów trzech inteligentniejszych nieco ochotników, z których plutonowy Grunwald przebył w bataljonie całą wojnę. Było to bardzo względne zaradzenie, gdyż żołnierze początkowo nie chcieli wcale słuchać nowomianowanych.

Podówczas znajdowało się w kompanjach wielu ludzi o przeszłości dość ciemnej, „bolszewickiej". Jednak już w drugiej połowie grudnia zauważyłem, że wszystkie takie podejrzane typy zaczęły jeden po drugim znikać. Poprostu dezerterowali. Byłem z tego zupełnie rad i wcale im nie przeszkadzałem.

Pomimo ciężkich warunków, zapał wśród żołnierzy nie zmniejszał się ani na moment, wieczorami o niczem nie prowadzono rozmów, jak tylko o położeniu na granicach i o możliwościach wyjazdu na front.

W licznych niedostatkach, dających się nam w Jabłonnie we znaki, zadziwiały wszystkich wielkie zapasy mundurów, płaszczy i broni, jakie codziennie nadchodziły dla wciąż napływających ochotniczych oddziałów. Każda kompanja, oprócz tego, że miała świetnie wyekwipowanych żołnierzy, posiadała jeszcze własne magazyny kompanijne, o których objętości może powiedzieć fakt, że jedna z nich potrzebowała całego wagonu towarowego na przewiezienie go do Warszawy.

Na Boże Narodzenie przysłały jakieś komitety mnóstwo pierników, które żołnierze jedli jeszcze długo po Nowym Roku.

Bardzo charakterystycznym momentem była chwila przysięgi.

Wśród żołnierzy, dawnych peowiaków, przeważnie robot-

ników i chłopów, tkwiła w głowie jakaś świadomość o niezłożeniu przez legjony przysięgi w roku 1918; widocznie skojarzyli sobie to z pojęciem, że przysięga to wogóle jakiś szwindel i gdy kompanja została uszykowana do wymarszu na plac zbiórki, żołnierze drugiej kompanji odmówili posłuszeństwa. Por. Profic czekał na kompanję na placu i przy koszarach go nie było. Kadet-kapral Zienkiewicz, który miał ludzi zaprowadzić, człowiek młody i nielubiany, został zakrzyczany i nie pozwolono mu mówić. Zacząłem przekładać kompanji, która stała w szyku i nigdzie nie chciała iść, również bezskutecznie. Posłałem natychmiast po por. Profica, który nadbiegł blady i zdenerwowany, lecz potrafił żołnierzy natychmiast opanować i odprowadzić na miejsce zbiórki. Tam wszystkie kompanje złożyły przysięgę we wzorowym porządku. W ten sposób skończył się nieusprawiedliwiony niczem protest przeciw przysiędze.

Pomimo silnych mrozów, żołnierz był tak chętny do ćwiczeń, że pozostawienie w koszarach wciąż jeszcze uważane było za karę. Jeszcze nawet w dwa miesiące później, przed samym wymarszem na Wilno, użycie do jakiejś służby, a niewysłanie na ćwiczenia, uważano za karę. Dopiero potem, gdy przyszli pierwsi poborowi, stosunki się zmieniły.

Czas upływał nam w Jabłonnie na wytężonej pracy. Nikt jednak nie narzekał, wszyscy uważali to za zupełnie naturalne, a żołnierzom nie potrzeba było prawić morałów na temat potrzeby pracowitości.

W tamtym okresie czasu poznikały już z kompanji podejrzane typy bolszewickie, których początkowo było dość dużo. Komuniści ci, widząc, że ich machinacje nie natrafiają na podatny grunt, a prężniejąca z dnia na dzień karność grozi im pochłonięciem, powynosili się cichaczem. Przed samem Bożem Narodzeniem nie było dnia, aby nie znikał któryś z największych malkontentów, zabierając z sobą ubranie wojskowe. Nie było jeszcze wtedy mowy o wysyłaniu kart dezercyjnych, choćby dlatego, że nie mieliśmy ani wzorów formularzy, ani wogóle nie wiedzieliśmy, jak to załatwiać.

Początkowo panowała w obozie niepodzielnie forma tytułowania przez „obywatelu". Żołnierz zwracał się do oficera

„obywatelu poruczniku", „obywatelu kapitanie", tak samo do podoficerów i do swoich kolegów, zdawało się nam, że forma ta jest i zostanie obowiązującą na przyszłość. Tak jednak nie było. Ppor. Paprocki, zaraz w kilka dni po objęciu adjutantury bataljonu, urządził odprawę sierżantów szefów, którym wówczas byłem i ja, i przemówił mniej więcej, jak następuje:

— Moi panowie, wojsko jest wojskiem, a nie żadnem obywatelstwem, trzeba zaniechać „obywatelowania". Od dzisiaj macie zwracać się do młodszych od siebie przez „wy", a do starszych przez „pan".

Przyjęliśmy to dość chmurnemi minami, co widząc, adjutant uznał za stosowne dodać:

— Cóżeście tak nosy pospuszczali?.. chcecie, to sobie mówcie, jak wam się podoba, ale wcześniej czy później to i tak „obywatelstwo" musi zniknąć. Nie zakazuję tego tytułowania, ale polecam w stosunkach służbowych go nie używać.

Przez długie jeszcze miesiące, a nawet lata „obywatel" wciąż kołatał się w naszym bataljonie, aż wreszcie w roku 1921, wraz z odejściem ostatnich zdemobilizowanych starych żołnierzy, znikł zupełnie.

ROZDZIAŁ II.

BITWA NA ULICY FOKSAL.

Odgłosy polityki zaledwie słabem echem dobiegały do Jabłonny. Zajęci ćwiczeniami i przeróżnemi sprawami administracyjnemi, nie myśleliśmy wcale o jakichś tam zagadnieniach politycznych czy społecznych, cieszyliśmy się, że nareszcie jest polski rząd, a przez ten fakt czuliśmy się już ostatecznie zwolnieni od zastanawiania nad innemi sprawami, oprócz wojskowych.

Nic dziwnego też, że wiadomość o rozruchach w Warszawie i zamachu stanu[1]) nie tyle nas przeraziła, ile zdziwiła. Jak dalece nikt nie zastanawiał się (mówię o podoficerach i szeregowcach) nad zagadnieniami politycznemi, można było wywnioskować z tego, że nikt nie wiedział przeciw komu będziemy użyci. Sierżant-szef komendy obozu rozpowiadał nawet głośno, że wyślą nas natychmiast do Warszawy w celu usunięcia rządu Moraczewskiego. Jakby na potwierdzenie tego, jeszcze w tym samym dniu załadowano nasz bataljon na pociąg, przedtem wydając ostrą amunicję, i wysłano do stolicy.

Z wagonów wysiedliśmy na ulicy Żelaznej i pomaszerowaliśmy aleją Jerozolimską. Nasze nałożone bagnety, karabiny maszynowe i skrzynki z amunicją musiały robić nielada wrażenie na mieszczuchach warszawskich, nie lubiących żadnej „awantury". Żołnierze, uradowani zmianą, jaka w monotonnem życiu koszarowem nastąpiła, byli w wyśmienitych humorach i wyśpiewywali przeróżne pieśni.

Zakwaterowano nas w koszarach przy ulicy Nowowiej-

[1]) Mowa tu o zamachu ze stycznia 1919 r.

BIBLIOTEKA
№
Wyż. Szk. Woian.

skiej, w budynkach, dotykających dzisiejszego kasyna garnizonowego, a przedstawiających podówczas obraz nędzy i rozpaczy. Gdy przed niedawnym czasem oglądałem wspaniałe salony dzisiejszego Ministerstwa Spraw Wojskowych i porównałem je z ówczesną ruiną, brudem i niechlujstwem—przemiana ta wydała mi się istnym cudem. Nie był to jednak cud, lecz obraz tej żmudnej pracy, której już tak wiele nasza młoda niepodległość dokonała.

Późnym wieczorem druga kompanja „bataljonów z Jabłonny" (tak nas ochrzczono) dostała rozkaz udania się na ulicę Foksal w celu zajęcia gmachu Towarzystwa Wioślarskiego, w którem rzekomo miał się mieścić skład broni Straży Narodowej, likwidowanej pośpiesznie a przymusowo. Poprowadził nas tam podchorąży Sowiński, człowiek ostrożny; kazał posuwać się pod ścianami domów, gdyż lękał się, że Straż zechce się bronić. Położenie o tyle było poważne, że ze wszystkich stron Warszawy, a zwłaszcza od alei Jerozolimskiej, dochodziły dość gęste strzały, ale kto z kim, gdzie i o co się bił, nic nie wiedzieliśmy.

Drzwi Towarzystwa Wioślarskiego były zamknięte. Na silne stukania i wołania nikt nie odpowiadał. Trzeba je było wyłamać. Nie wiem czy od początku nikogo wewnątrz nie było, czy też obecni tymczasem uciekli, dość, że dom był prawie pusty.

Kilkunastu żołnierzy rozbiegło się po gmachu szukać przechowywanej tam jakoby broni. Poszukiwania zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem, gdyż znaleźliśmy około 120 różnych karabinów, bagnetów i sporą ilość amunicji, a także granatów ręcznych. Zdobycz tę załadowaliśmy na cztery zarekwirowane dorożki i odwieźliśmy do koszar.

Jednak oprócz broni i rzeczy podejrzanych, żołnierze, myszkując po całym gmachu, znaleźli coś innego, z rewolucją nie mającego nic wspólnego, a mianowicie bufet. Okazało się, że pomimo ciężkich, okupacyjnych czasów, wioślarzom powodziło się nieźle, gdyż posiadali w zapasie dużą ilość wszelakiego rodzaju koniaków, win i zwykłej wódki.

W głębi ulicy Foksal, na jednej z przecznic, postawiłem czujkę, aby obserwowała co się dzieje w tamtej stronie. Już po skończonej rewizji dobiegły naszych uszu stamtąd liczne strzały, a za chwilę przybiegł żołnierz z meldunkiem, że zbliża się jakiś „nieprzyjacielski "oddział. Pobiegłem na zagrożone miejsce i z za rogu zacząłem przyglądać się majaczącym w dali sylwetkom. Na ulicy było ciemno, choć oko wykol; nie paliły się latarnie, ani nie były oświetlone żadne okna frontowe. Kilku żołnierzy bez rozkazu zaczęło ostrzeliwać nadchodzących ludzi, na co oni odpowiedzieli również strzałami.

Chcąc przekrzyczeć hałas bitwy, zacząłem wołać tubalnym głosem:

— Hej! kto tam?

— A tam kto? — odezwał się w mroku czyjś głos.

— Tu kompanja z Jabłonny, wojsko.

Wśród naszych przeciwników nastąpiła jakaś konsternacja.

— A tu ochrona autokolumny, też wojsko.

— No to podejdź który bliżej — darłem się w mrok.

W głębi uliczki odezwał się śmiech.

— Widzisz go jaki mądry, podejdź sam.

Podszedł wtedy do mnie kapral Boder[1]) i rzekł:

— To musi, panie sierżancie, naprawdę wojsko, bo cywile nie som takie chytre.

Rozumowanie to przekonało mnie.

— Słuchajcie tam, autokolumna, wychodzę dwadzieścia kroków w waszym kierunku, niech od was też ktoś wyjdzie.

Za chwilę spotkałem się z jakimś plutonowym, który, gdy zrozumiał ostatecznie, że ma do czynienia z wojskiem, ucieszył się setnie.

— Mieliśmy wiadomość, że ktoś miał nas napaść i dlatego odrazu zaczęliśmy strzelać — tłumaczył się gęsto.

Na szczęście żadna ze stron nie miała strat, więc też całe zajście przyjęliśmy z humorem.

---

[1]) Zginął w bitwie pod Niemenczynem, za Wilnem.

Resztę nocy przepędziła druga kompanja na patrolowaniu ulic i rozbrajaniu kręcących się z białemi opaskami na rękach członków Straży Narodowej. Nie wszyscy jej członkowie orjentowali się dokładnie w tem, że mają być rozbrojeni, gdyż niejednokrotnie kłócili się z nami, nie chcąc oddać broni i tłumacząc, że mają legitymacje wystawiane przez jakichś wojskowych dowódców. Naturalnie, postępując w myśl rozkazu, zabieraliśmy i legitymacje i broń, a nawet i samych członków.

ROZDZIAŁ III.

W POGONI ZA PUŁKIEM.

W Warszawie staliśmy od zamachu stanu aż do wyruszenia na front, jednak z koszar przy ulicy Nowowiejskiej już w dwa dni po opuszczeniu Jabłonny przeniesiono nas do Cytadeli.

Jak wiadomo, Cytadela stanowi kompleks budynków, otoczonych fosami i murami na wzór starych twierdz, to też jest to idealne miejsce do szkolenia rekrutów, gdyż uwagi ich nic nie odrywa od zajęć służbowych. Oprócz tych wojskowych zalet ma ona swoje, specjalnie ludzkie wady — oto niema sposobu wydostania się z niej na spotkanie z dziewczyną, co dla żołnierzy było klęską nielada. Skarżyli się też wielokrotnie na to odosobnienie i brak styczności ze społeczeństwem. Podoficerowie posiadali stałe przepustki, przeto im Cytadela jako koszary nie wydawała się złem locum.

Tych kilka miesięcy, które przetrwałem w Warszawie, należą do miesięcy bardzo uciążliwej pracy. Pełniłem wciąż obowiązki sierżanta-szefa, co przy stanie kompanji 250 ludzi i absolutnym braku wyszkolonych podoficerów, dawało roboty niemało, tem bardziej, że podówczas nic nie było stałego: rozkazy zmieniały się raz po raz i przychodziły niekiedy tak dziwne, że zachodziłem w głowę, co miały oznaczać. Wprowadzano różne książki, nie dając jednak żadnych instrukcyj, jak je prowadzić. To ostatnie bolało mnie specjalnie, gdyż zawsze obowiązki swe chciałem spełniać sumiennie, a wtedy nie mogłem, gdyż nie potrafiłem. O ile mnie, jako podoficerowi najstarszemu w kompanji, było ciężko, to co dopiero mówić o pod-

oficerach linjowych i szeregowcach, którzy dzień w dzień w siarczyste mrozy, codziennie po kilkanaście godzin, forsownie zaznajamiali się ze sztuką wojowania. Pomimo tego, że wielu ludzi poodmrażało sobie ręce i nogi, pełniąc ciężką służbę, radosny entuzjazm trwał w nich nieprzerwanie i wciąż jeszcze napotykałem trudności w wyszukiwaniu ochotników na funkcyjnych.

W końcu lutego przyszli rekruci z poboru. Pierwszy bataljon dostał ludzi z okolic Łomży. Teraz zaczęło się usilne szkolenie tych wiejskich parobków, nie mających o wojsku zielonego pojęcia, z których trzeba było w przeciągu czterech tygodni zrobić żołnierzy. Oczywiście w normalnych czasach byłoby to niemożliwe, lecz w tamtych, gdy każdy był przepełniony radością wielkich momentów historycznych — wszystko wydawało się nietylko możliwe, ale i niesłychanie łatwe.

Pod koniec marca dostałem 10-cio dniowy urlop i wyjechałem z Warszawy.

Nie zdążyłem jednak spędzić nawet połowy odpoczynku, gdy depesza, powołująca mnie natychmiast do pułku, pobiegła wślad za mną. Klnąc, na czem świat stoi, wyruszyłem znowu do stolicy. Ku swojemu jednak zdumieniu nie zastałem już w Cytadeli nawet śladu „grupy Jabłonna", wyjechała ona do Ostrowia Łomżyńskiego. Nie namyślając się wiele wsiadłem na pociąg i ruszyłem do Ostrowia. Niestety, w Ostrowiu również nie zastałem swego bataljonu, gdyż włączony do 1 pułku piechoty legjonów, jako pierwszy, wyjechał na front litewsko-białoruski. Na szczęście zastałem jeszcze na stacji transport z kompanją karabinów maszynowych, dowodzoną przez podporucznika Fildorfa. Wyjechałem z tym transportem na ów front.

Wyładowanie wszystkich transportów odbywało się w czystem polu, niedaleko wioski Radziwoniszki. I tam jednak nie zastałem pułku, widocznie odszedł natychmiast dalej. W zabłoconej wiosce stały jeszcze jakieś kolumny amunicyjne, które też wybierały się pośpiesznie w drogę. Znalazłem się w położeniu dość przykrem, gdyż nie wiedziałem ani gdzie znajdował się mój oddział ani nawet w której stronie jest nie-

przyjaciel. Rozpytawszy się wśród spotykanych maruderów, gdzie może być obecnie 1 pułk, wyruszyłem na poszukiwanie. Najpierw szedłem szosą, którą przebiegały jakieś samochody i gęsto kręcili się pojedyńczy kawalerzyści, zapewne łącznicy. Idąc tak naprzód dalej, byłbym wszedł na pozycje bolszewickie, gdyby nie przestrzegł mnie jakiś oficer.

— Gdzie to sierżant tak maszeruje? — zapytał.

— Szukam pułku.

Oficer mruknął coś pod nosem, co dziwnie przypominało słowo „łazik".

— Tu przecież o pół kilometra dalej bolszewicy, tu niema czego szukać!

Ścierpła na mnie skóra nie na żarty.

— A gdzie 1 pułk, nie wie pan porucznik?

— Djabli go wiedzą, szukaj pan gdzie indziej, tu niema.

Objaśniony tak szczegółowo, zawróciłem na boczną drogę i powlokłem się dalej, w kierunku Wilna. Jeść mi się chciało porządnie, byłem zmęczony i już prawie straciłem nadzieję czy kiedykolwiek swój pułk odnajdę, gdy całkiem niespodziewanie natknąłem się na jedną z bateryj artylerji polowej, w której znajomy mój, starszy szeregowiec, pełnił funkcję furjera. Znajomy ten dał mi jeść, chleba bochenek na drogę i wyjaśnił kierunek, w którym udał się mój oddział.

Jednak pomimo tych wskazówek, dopiero po dwudniowej włóczędze udało mi się złapać tabor swojej kompanji. Wziąłem natychmiast konia wierzchowego i szybko dopędziłem bataljon w wiosce Wielka Kopa.

Porucznik Profic, ówczesny dowódca kompanji, gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się złośliwie i rzekł do podchorążego Zarychty, adjutanta bataljonu.

— A co nie mówiłem, że „taki" nietylko nie zginie, ale napewno nas znajdzie.

Nie replikowałem wcale na tę aluzję, gdyż ucieszyłem się bardzo z odnalezienia swoich i byłem w wyśmienitym humorze.

ROZDZIAŁ IV.

PO JAGIEŁŁOWĄ SPUŚCIZNĘ.

Oddziały generała Śmigłego zdążały dniem i nocą w kierunku Wilna.

Wtłoczony w ich wielką kolumnę, w szeregi swej kompanji, widziałem tylko to, co okiem objąć zdołałem. Nie rozumiałem strategji, znaczenia politycznego tego marszu ani jego szans. Zahipnotyzowany potęgą głębokich szeregów nieprzejrzanych oddziałów wojska polskiego, przejęty ich wielką liczbą, jednolitem umundurowaniem, sprawnie działającą maszyną intendencką — kroczyłem jak we śnie, pełen dumy z tego, że doczekałem chwili, gdy oto taką stanowimy potęgę. Nie przeczuwałem nawet, że pochylonemu nad mapami Naczelnemu Wodzowi, przybywało w jedną noc siwizny, że tam ktoś, odpowiedzialny za te tysiące młodzieży polskiej, łamie się w sobie i stalową wolą pokonywa straszliwy niepokój. Ja, prosty żołnierz, nie rozumiałem tego zupełnie, byłem tak pewien zwycięstwa, jak tego, że po nocy musi nastąpić dzień i to czyniło mnie od nich wszystkich szczęśliwszym.

Huk armat, jaki dochodził nas pod Lidą, zamilkł i nigdzie wpobliżu nie było słychać jego złowrogiego echa. Tylko gdzieś zdala dobiegało nieustanne, głuche dudnienie, przypominając, że to nie na manewry udają się te pułki, a na krwawą rozprawę.

Zmęczeni niesłychanie, posuwaliśmy się prześlicznym, wspaniałym traktem napoleońskim, spijając z podstawionych przez wieśniaków korytek sok brzozowy. Chłopi witali nas nieufnie, natomiast w nielicznych dworach, spotykanych po drodze, wy-

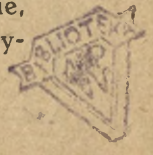

buchał na nasz widok płacz radości i szczęścia. Najwięcej wzruszał mię jednak widok starych zaścianków, pełnych dzielnych ludzi i szczerych patrjotów, poważnie i z przejęciem nas witających.

Nie wiem już którego dnia przybyliśmy do Bieniakoń. Był to wieczór. Rozdzielono okoliczne wioski na kwatery dla poszczególnych oddziałów. Mieliśmy nieco odpocząć, aby później jednym tchem przejść przestrzeń dzielącą nas od Wilna. Ja wraz z plutonem żołnierzy udałem się na placówkę do majątku hrabiego Puttkamera, do Bolcienik. Miejscowość ta jest znana w literaturze jako miejsce zamieszkania Maryli, przedmiotu wzdychań wielkiego naszego poety—Mickiewicza.

Noc była już ciemna, gdy zastukałem do zatarasowanych wrót pałacu. Przez długą chwilę odpowiadało mi tylko wściekłe ujadanie licznych psów. Po pewnym czasie ktoś poruszył się za drzwiami i zapytał niepewnym głosem:

— Kto tam?

— Otwierać! — wykrzyknąłem zniecierpliwiony.

„Ktoś" przekręcił raz i drugi klucz, odsunął jakieś srogie zasuwy i nareszcie otworzył wielkie podwoje.

— Kolumna dwójkowa od prawego — marsz! — zakomenderowałem i pluton zaczął wtaczać się do obszernych pałacowych przedsionków.

Zaledwie słowa komendy doszły do uszu mieszkańców i zaledwie w mroku nocy rozpoznali ciemnozielone maciejówki żołnierzy, rozległ się radosny krzyk.

— To nasi, Polacy, Polacy!

I zaraz otoczyła nas gromadka niebardzo ubranych kobiet i dziewcząt, zamieszkujących pałac.

— Czy panowie żołnierze tu zostaniecie? — dopytywały się jedna przez drugą.

— Już aby nie odchodźcie i nie zostawiajcie nas tym zbójom — dopraszała się jakaś starsza kobiecina, nie wiem dlaczego żegnając się co chwila.

Nareszcie weszła i sama pani hrabina.

— Pan Bóg was nam zesłał — wyrzekła poważnie.

Pałac był przez płeć brzydką zupełnie opuszczony. Znaj-

dowały się w nim tylko kobiety. Młode, stare, średnie i zgoła dzieciaki — pełno ich było wszędzie, ku szczerej uciesze żołnierzy, którzy, jako żołnierze, zawsze żywili dziwną do białogłów słabość.

Do późnej nocy po całym pałacu, czworakach i parku rozlegały się wesołe głosy.

Na drugi dzień rano zabrałem z kopca, co stał niedaleko na polu, kilka pudów ziemniaków na śniadanie. Początkowo myślałem, że tak radośnie nas witająca hrabina nie zechce żadnych pieniędzy za zarekwirowaną żywność, ale okazało się, że patrjotyzm patrjotyzmem, a pieniądze pieniędzmi. Musiałem przeto wystawić odpowiedni kwit, który, przypuszczam, kiedyś był zapłacony.

Cały następny dzień, aż do wieczora, odpoczywaliśmy w Bolcienikach, to też z całego marszu na Wilno ta miejscowość specjalnie mocno utkwiła w mojej pamięci. Późniejsza droga, stanowiąca jeden, straszliwy w swoim pośpiechu marsz, pozostawiła mi tylko wspomnienie niesłychanego zmęczenia.

Już w Bieniakoniach dowiedzieliśmy się, że nasza kawalerja zajęła część Wilna i że kolejarze wileńscy przysłali jeden pociąg, zabrany balszewikom, po nasze wojsko. Niestety, pojechał inny, a nie nasz bataljon. Musieliśmy maszerować na piechotę.

Przez cały czas od Radziwoniszek aż do samego Wilna szliśmy Moskalom na karkach. W wioskach, które mijaliśmy, mówiono nam, że byli oni jeszcze wczoraj, czy też przed kilku godzinami, a czasem, że „tylko co" odeszli. Nigdzie jednak nie spotykaliśmy się z nimi. Cała ta droga była dla mego bataljonu typowym spacerem wojskowym, spacerem tem przyjemniejszym, że nie oznaczał on zaborów i wkraczania w nieprzyjacielskie terytorja, lecz był aktem sprawiedliwego odzyskania ziem, zagrabionych ongiś naszym ojcom.

Eigentum
Heeresarchiv-Ausgabestelle
Berlin

ROZDZIAŁ V.

NA ANTOKOLU I „ZIELONYM“ MOŚCIE.

W trzecie święto Wielkiejnocy, o godzinie szóstej rano, I bataljon 1 pułku piechoty legjonów minął Ostrą Bramę i wkroczył do Wilna.

Pomaszerowaliśmy na ulicę Subocz, gdzie zajęliśmy koszary w budynku pod numerem 17. Koszary były splądrowane przez ustępujących bolszewików i szumowiny miejskie, które starały się wykorzystać chwilę sposobną do rabunku. Nie było tam w oknach szyb, a w salach brakowało pieców i drzwi. Wszędzie walało się mnóstwo zawszonej bielizny sołdackiej i podartego ubrania.

Około godziny 9 rano, dowódca bataljonu, porucznik Bieniecki, kazał mi wziąć pluton żołnierzy i udać się na Antokol [1]) w celu zarekwirowania pozostawionego tam jakoby przez bolszewików bydła. Doniósł o tem jakiś Polak, który chciał przysłużyć się swoim. A potrzebowaliśmy koniecznie żywności, gdyż kolumny żywnościowe nie mogły nadążyć za nami i były jeszcze dość daleko od Wilna. Udałem się tedy pod przewodnictwem patrjoty wileńskiego na ów Antokol.

Maszerowaliśmy przez ulicę Wielką, wdół, do Królewskiej. Pomimo wczesnej godziny pełno było na ulicach ludzi, którzy na widok naszego oddziału wykrzykiwali „niech żyje wojsko polskie“, „niech żyje Polska“ oraz wznosili inne patrjotyczne okrzyki.

---

[1]) Przedmieście nad rzeką Wilją.

Wilna nie znałem wcale, również nikt z żołnierzy miasta tego nie znał, prowadził nas ów wspomniany Polak.

Gdy mijaliśmy górę Zamkową i wyszliśmy nad Wilję, bolszewicy, usadowieni na przeciwnym brzegu, w dzisiejszych koszarach artyleryjskich, przywitali nas niespodziewanym zupełnie ogniem karabinowym. Padło dwóch żołnierzy — jeden lekkoranny, a drugi z przestrzeloną głową. Obok tej ulicy znajdował się głęboki rów; w tę naturalną zasłonę schował się cały pluton. Na ulicy został tylko ciężkoranny żołnierz, którego z sierżantem Pawłowskim wciągnąłem do rowu.

Żołnierze, myśląc, że przewodnik umyślnie sprowadził ich na cel bolszewikom, chcieli go zaraz zabić, ale wczas obroniłem Bogu ducha winnego człowieka. Na odgłos bitwy, zbiegło się kilkunastu mężczyzn, którzy dopraszali się o broń aby móc swoim dopomóc.

Widząc bezskuteczność strzelaniny przez rzekę, kazałem rannych odesłać na punkt opatrunkowy, a sam maszerowałem inną drogą, po owe bydło bolszewickie.

Pluton mój był pierwszym oddziałem polskim, który wkroczył na długie, cztery kilometry liczące przedmieście, nic też dziwnego, że ze wszystkich stron zbiegali się ludzie, płacząc i częstując nas swojem nędznem, wojennem święconem. Co chwila też ktoś podbiegał i w serdecznej o nas trosce przestrzegał, że na końcu Antokolu, są jeszcze napewno bolszewicy.

Bolszewików już jednak w trzecie święto na Antokolu nie było.

Doszedłem do samego końca przedmieścia, gdyż tam miały znajdować się te krowy u jakiegoś Żyda.

Wprawdzie Żyd twierdził, że nie były one bolszewickie, lecz jego własne, na co przedstawiał wielu świadków, jednak zabrałem cztery, gdyż bataljon musiał jeść i w sentymenty nie można było się bawić.

Wracając usłyszałem silną strzelaninę karabinową w okolicach mostu zwanego „zielonym". Skierowałem się przeto w tamtą

stronę, krowy pod pewną ochroną odsyłając do koszar przy ulicy Subocz.

Chociaż od zajęcia Wilna upłynęło dopiero kilkaście godzin i na przedmieściach za Wilją znajdowali się jeszcze bolszewicy, na Ś-to Jerskim prospekcie (dzisiaj ulica Adama Mickiewicza) były już otwarte liczne herbaciarnie dla żołnierzy, w których bezpłatnie wydawano małe zakąski.

Gdy połączyłem się z pułkiem, opór nieprzyjaciela przy moście już złamano i właśnie moja kompanja, druga, miała to szczęście, że go sforsowała. Okrył się tam niemałą chwałą porucznik Profic, który pierwszy przebiegł na drugą stronę.

Zginął w tej bitwie, pierwszej, którą stoczyła kompanja, plutonowy Woźniak ze Skierniewic, peowiak, bardzo przez żołnierzy lubiany za dobre i szlachetne serce.

Na drugiej stronie Wilji, w małych i ciasnych uliczkach, stoczyliśmy jeszcze szereg drobnych potyczek, aż wreszcie pod wieczór strzały ucichły i całe Wilno znalazło się ostatecznie w naszych rękach.

Po bitwie co chwila ktoś z cywilów podbiegał do mnie, i wogóle do każdego, kto wyglądał na „starszego" i zawiadamiał o różnych ludziach, którzy rzekomo byli podporami bolszewizmu, jego przyjaciółmi lub szpiegami. Często wiadomości te były zupełnie nieprawdziwe, wypływające z zemsty osobistej, często też dawały cenne informacje.

Mała karność, jaka podówczas jeszcze w wojsku panowała, nie pozwoliła utrzymać wszystkich żołnierzy w kompanjach i wielu z nich rozbiegło się po mieszkaniach różnych komisarzy i urzędników sowieckich, rabując co w rękę wpadło.

W jednem miejscu, na ulicy Kalwaryjskiej, usłyszałem przeraźliwy lament kobiecy. Pobiegłem w tamtą stronę i wszedłem do ładnego, małego domku w ogródku. Widok, który zobaczyłem zgniewał mnie porządnie.

Kilka ładnie kiedyś urządzonych pokoi przedstawiało obraz zniszczenia i rabunku: pościągane firanki leżały na ziemi, pianino przewrócone, bibljoteka rozsypana, szafy pootwierane, a cała ich zawartość na ziemi. Wśród tego chaosu

kilku zadowolonych ze siebie „Jasiów"[1]) zabawiało się rozpruwaniem bagnetami Bogu ducha winnych poduszek. W chwili, gdy wchodziłem, chmury pierza zaczęły napełniać mieszkanie. Po różnych kątach chowało się kilka młodych dziewczyn, a w oknie lamentowała starsza dama, prawdopodobnie matka.

— A wy łajdaki co robicie? — krzyknąłem na „Jasiów".

Żołnierze stropili się nieco, ale jeden śmielszy rezolutnie odpowiedział.

— Bolsiewników spokojności uczymy.

— W rozbójników się, hycle, bawicie! Marsz do kompanji! — krzyknąłem ostro.

Pomruczeli trochę, spojrzeli z żalem na rozpoczęte dzieło „uczenia spokojności", zabrali stojące w kącie karabiny i odeszli.

Skoro tylko drzwi za żołnierzami zamknęły się, powypełzały z różnych kątów niewieście postacie i zaczęły mi po rosyjsku i w łamanej polszczyźnie dziękować za wybawienie z opresji.

Okazało się, że starsza dama była żoną dawnego carskiego pułkownika, który w bolszewickiem wojsku „po niewoli" służył ale i razem z nimi uciekł.

— Złość na nas sąsiedzi mieli i donos zrobili, a my ludzie niewinne, nie chcieli z bolszewikami uciekać.

Córeczki, ładne, młode dziewczęta, na potwierdzenie słów matki zaczęły pochlipywać, a nawet zgoła w głos płakać i skarżyć się, że je taka krzywda spotkała. Zrobiło mi się nieco nieprzyjemnie, zacząłem więc je pocieszać jak umiałem, zapewniając, że już jutro od rana zapanują w Wilnie normalne stosunki. Było już dość późno, zamierzałem więc niezwłocznie odejść do kompanji. Jednak, gdy tylko o tem wspomniałem, wszystkie dziewczęta, ile ich było, podniosły wielkie larum.

---

[1]) Tak nazywali siebie żołnierze.

— Nie zostawiajcie nas, barin, [1]) samych. Boimy się. Może znowu na nas kto napadnie.

— Zostań z nami, chociaż do rana, zostań.

Przyznaję się, że zostałbym w towarzystwie tych ładnych dziewcząt nietylko do rana, ale nawet zgoła długie tygodnie, to też nie dałem się długo prosić, tylko zdjąłem pas, odpiąłem rewolwer i rozsiadłem się na otomanie, dziwnym trafem jeszcze nie rozprutej.

I tak pierwszy wieczór w zdobytem polskiem Wilnie spędziłbym w towarzystwie rosyjskich dziewcząt, gdyby nie żołnierz, który nadbiegł i zameldował mi, że kompanja wyrusza.

Niewyspany, zmęczony i wściekły na cały świat, powlokłem się wraz z kompanją na ten sam Antokol, na którym byłem rano. Tym razem jednak minęliśmy przedmieścia i pomaszerowaliśmy dalej, w kierunku leżącego o 18 kilometrów od Wilna małego miasteczka Niemenczyna, gdzie druga kompanja miała za zadanie bronić przedmościa na rzece Wilji.

[1]) Po rosyjsku — pan.

ROZDZIAŁ VI.

OBRONA NIEMENCZYNA.

Ciemno było zupełnie, gdy przybyliśmy do Niemenczyna. Bolszewicy uciekli już i miasteczko zastaliśmy opuszczone. Zawiadomiono nas, że w czasie panowania sowieckiego władzę w miasteczku sprawowali tak zwani milicjanci, którzy przeważnie pozostali, gdyż składali się z ludzi miejscowych. Porucznik Profic kazał wszystkich tych milicjantów wyłapać i zamknąć w jakiejś pustej chałupie. Później okazało się, że nie zdradzali oni nigdy skłonności bolszewickich, przeto na drugi dzień wypuszczono ich.

Za miasteczkiem rozciąga się duży las, przez który przewija się szeroka, piasczysta, „polska" droga, wiodąca do Podbrodzia. Tę właśnie drogę kompanja specjalnie silnie ubezpieczyła przed ewentualnym napadem, wystawiając jednocześnie słabsze placówki na wszystkie strony, gdyż łączności nigdzie wtedy nie było i najbliższy nasz oddział znajdował się o kilka kilometrów, na stacji w Bezdanach.

Co kilkanaście minut zgłaszali się do dowództwa kompanji okoliczni wieśniacy polscy i białoruscy, donosząc o każdym kroku, zrobionym przez wojsko bolszewickie. Entuzjazm tych chłopów, w znacznej większości Polaków, zdumiewał mnie, gdyż we wioskach, spotykanych na szlaku Radziwoniszki-Lida, aż prawie pod same Wilno, nigdzie jakiegoś większego zadowolenia z naszego przybycia nie widziałem. Wiadomości te, chociaż ze szczerego serca podawane, były jednak niejednokrotnie tak fantastyczne i nieprawdopodobne, że aż śmiać

się chciało. Czasem jednak posiadały nieocenioną wprost wartość.

Pewnego dnia, pamiętam, była to niedziela, przybiegł jakiś chłop i powiada:

— Panoczku kochany, bolszewiki w Czerwonym Dworze. Idą tutaj.

— A gdzie ten Czerwony Dwór? — zapytałem bez wielkiego przejęcia, gdyż podobne wiadomości przynoszono nam parę razy dziennie.

— Tut, panoczku, za parę wiorst.

Popatrzałem na mapę. Czerwony Dwór leżał o cztery kilometry od Niemenczyna. Nie skończyłem jednak jeszcze oglądać mapy, gdy przybiegła zziajana dziewczyna dworska, a potem jakiś parobczak—wszyscy mówili to samo: bolszewicy byli we dworze i wybierali się do Niemenczyna.

— A dużo ich jest? — starałem się dowiedzieć z jaką siłą będziemy mieć do czynienia.

— Ho, ho, dużo, jak drzew w lesie, jak kłosów na polu.

Nie dopytywałem się o dalsze szczegóły, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że wydobycie od wieśniaków wiadomości konkretnej jest prawie niemożliwe, udałem się niezwłocznie na plebanję, gdzie był na obiedzie dowódca kompanji, a także oficerowie młodsi w osobach podchorążego Rusieckiego[1]) i podchorążego Zienkiewicza. Porucznik Profic niebardzo uwierzył w zbliżanie się bolszewików, ale mimo to kazał mi się udać na patrol w tamtą stronę i zbadać, jak się cała sprawa przedstawia.

Siadłem na konia kompanijnego, wziąłem kilkunastu ludzi i udałem się w kierunku Czerwonego Dworu.

Niedaleko od tej miejscowości usłyszałem strzały. Lewe ubezpieczenie natknęło się na nieprzyjaciela. Żeby sprawdzić jak się sprawa przedstawia, zostawiłem ludzi pod dowództwem plutonowego Grunwalda, nakazując bronić drogi, a sam konno

[1]) Zginął w roku 1920.

udałem się przez las, by zbadać położenie. Już po przejechaniu niecałego kilometra, na skraju lasu, na polach czerwonodworskich, dostrzegłem maszerującą kolumnę bolszewicką. Kolumna zauważyła mnie również. Jakiś drab, ciągnący karabin maszynowy, dostrzegłszy błyszczące w słońcu sierżanckie odznaki wrzasnął przeraźliwie i zaczął wskazywać na mnie ręką. Zanim zdążyłem pomyśleć o niebezpieczeństwie posypały się strzały, a jedna z kul otarła się o moją głowę. Widząc wielką ilość bolszewików, zsunąłem się, a prawdę mówiąc, to właściwie spadłem z konia i chyłkiem kopnąłem się w las. Bolszewicy jednak mieli widocznie dobrego *pietra*, gdyż nie gonili mnie, zadowalając się tylko wypuszczeniem taśmy naboi z karabina maszynowego, niemało tem napłoszywszy ptactwa leśnego.

Nie zwlekając ani chwili, szybkim krokiem udałem się w kierunku pozostawionego patrolu.

Tymczasem na odgłos strzelaniny przybiegł z Niemenczyna porucznik Profic z resztą kompanji i już razem udaliśmy się w pogoń za bolszewikami. Wszystko jednak można zrobić, oprócz dogonienia Moskala; tak jak oni umieją uciekać, to chyba żadne wojsko w świecie nie potrafi!

Tym razem jednak bolszewicy widocznie nie spodziewali się, że będziemy ich gonić, gdyż pod wsią Parczewem, już pod sam wieczór, nasza szpica natknęła się na ich placówkę. Bolszewicy bitwę przyjęli i początkowo bronili się dość zaciekle, jednak już po półgodzinnej strzelaninie widocznie stracili ducha, gdyż zaczęło się wśród nich jakieś zamieszanie, co widząc porucznik Profic zarządził atak na bagnety. Wrzeszcząc, jak zarzynane muły, żołnierze, po raz pierwszy biorący udział w takiem natarciu, z wielkim impetem wpadli do wsi. Niestety, zabraliśmy do niewoli tylko maruderów, gdyż cała siła uciekła tymczasem dalej.

Niezwłocznie po bitwie wróciliśmy do Niemenczyna. Tam zastaliśmy dwóch komisarzy bolszewickich, schwytanych i przyprowadzonych przez wieśniaków okolicznych. Jeden był Po-

lakiem, a drugi Łotyszem. Obaj mieli przy sobie zaświadczenia, że są członkami jakichś komitetów bolszewickich, a oprócz tego 19 tysięcy rubli carskich i rewolwery. Nie zdawali oni sobie sprawy, że Polacy są tak blisko i zdawało im się, że są bezpieczni w okolicznych wioskach, tymczasem chłopi, sprzyjający nam bardzo szczerze, a Moskali nienawidzący, schwycili ich i przyprowadzili do Niemenczyna.

Na drugi dzień obaj zostali rozstrzelani.

Egzekucję prowadził plutonowy Burda z kompanji karabinów maszynowych, przydzielony z plutonem do drugiej kompanji.

Następny dzień minął spokojnie, dopiero na trzeci wieśniacy znowu donieśli, że bolszewicy w sile jakichś 500 ludzi mają uderzyć na Niemenczyn, chcąc opanować most i przejście za Wilję.

Około południa tego dnia, nasze wysunięte straże przednie sygnalizowały silnym ogniem nadejście bolszewików. Przedtem jeszcze porobiliśmy sobie małe rowki, tak, że bitwa nie zastała nas nieprzygotowanych. Bolszewicy nacierali bez przerwy przez cały dzień. Po południu sprowadzili dwie armaty i starali się zniszczyć most na Wilji. W razie zniszczenia tego mostu położenie nasze stałoby się beznadziejne gdyż mielibyśmy zamkniętą drogę do odwrotu to też z trwogą patrzałem, kiedy trafią. Jednak nie trafili. Postrzelali, postrzelali i zaprzestali prób.

W bitwie tej zginął młodziutki kapral Boder, żałowany przez wszystkich.

Już o zmroku niemal poszliśmy do przeciwnatarcia i wyparliśmy nieprzyjaciela z części miasteczka, którą udało mu się zająć podczas dnia.

Całą noc spędziliśmy nie śpiąc, w rowach strzeleckich, w oczekiwaniu na powrót bolszewików. Jednakże nieprzyjaciel do rana nie powtórzył natarcia. Zimny, mglisty ranek oświetlił nasze zmarznięte i wygłodzone twarze. Jak zbawienie powitaliśmy kilka dzielnych dziewcząt, które przyniosły nam gorące mleko, herbatę i świetny wiejski chleb.

Taka drobnostka, takie parę litrów mleka, parę kromek chleba, ale ze szczerego serca podane, cudnemi słowami o miłości Ojczyzny okraszone, pozwoliłyby nam trwać w tych mokrych norach jeszcze nie wiem jak długo. Chwili takiej nie zapomina się łatwo, chwili, gdy czuło się, że cały nasz trud i wysiłek społeczeństwo otacza miłością i zrozumieniem.

Eigentum
Zweigstelle
Danzig

ROZDZIAŁ VII.

NA STRAŻY GIEDYMINOWEGO GRODU.

W tym czasie gdy druga kompanja broniła przejścia pod Niemenczynem, reszta pierwszego pułku znajdowała się w Wilnie i jego okolicach. Bolszewicy, idący szeroką ławą, uderzyli jednocześnie i na miasto. Uderzyli w nocy. Dowódca pułku, kapitan Kruszewski [1]), który był na pozycjach w towarzystwie adjutanta, znalazł się wówczas w ciężkiem położeniu. Natarcie rosyjskich kolumn piechoty nadeszło niespodziewanie. W mrokach mglistej nocy wywiązała się krótka, straszna walka, w której ranionego ppor. Paprockiego, bolszewicy okrutnie zamordowali.

Była chwila, że kapitan Kruszewski musiał kolbą rewolweru torować sobie drogę do śpieszących mu na pomoc oddziałów.

Ponieważ nie piszę historji pułku, jeno własne przejścia, wspominam przeto tylko mimochodem o krwawych bojach, stoczonych pod Wilnem i w samem Wilnie. Bolszewicy pierwszym impetem dotarli aż na plac Łukiszki, leżący w samem prawie śródmieściu. Tam starł się z nimi podporucznik Sowiński z czwartą kompanją, bagnetem wyrzucając ich poza most zwierzyniecki.

Charakterystyczny wtedy był widok dużej ilości cywilnych, którym otworzono zdobyte magazyny z bronią rosyjską, i którzy uzbroiwszy się, walczyli ramię w ramię z żołnierzami.

---

[1]) Obecnie pułkownik i w dalszym ciągu dowódca 1 pułku piechoty.

Na pobojowisku dziewczęta opatrywały rannych, płacząc i lamentując nad każdym żołnierzem. Współdziałanie ludności było tak duże, że o większem nie można było marzyć.

Jednocześnie z natarciem bolszewików przyszły pogłoski, że na Wilno maszerują oddziały litewskie i niemieckie z Litwinami sprzymierzone. Denerwujące te wiadomości na szczęście do żołnierzy nie doszły i nie wytrąciły im broni z ręki. Duch nie osłabł ani na chwilę wśród szerokich mas żołnierskich, biły się one z jakąś niesamowitą wprost pewnością zwycięstwa.

Natomiast zdenerwowanie, zresztą usprawiedliwione, udzieliło się niektórym oficerom, objawiając się w przesadnej obawie przed rzekomo czyhającą na każdym kroku zdradą. Tem można tłumaczyć niektóre zbyt gwałtowne postępki.

Pewnego dnia druga kompanja otrzymała rozkaz natychmiastowego opuszczenia Niemenczyna i udania się do Wilna na przysłanych samochodach ciężarowych. Jednakże rozkaz odmarszu wyprzedził nadejście samochodów, tak, że nie czekając na nie, opuściliśmy strwożone i drżące ze strachu przed zemstą bolszewicką miasteczko. Z żalem musieliśmy podpalić broniony z takim uporem drewniany most na Wilji i ruszyć szosą w nakazanym kierunku. Nie uszliśmy 5 kilometrów, gdy nadjechały z Wilna wysłane samochody, zabierając nas pośpiesznie; czas już był najwyższy, gdyż bolszewicy nacierali wielkiemi siłami.

Byliśmy tak niepewni położenia, że na Antokolu wysiedliśmy, przypuszczając, że miasto znajduje się w ręku nieprzyjaciela. Niezwłocznie, nie spoczywając nawet minuty, udaliśmy się za Wilję na pozycje, skąd już w kilkanaście godzin później zostaliśmy ściągnięci i ulokowani w koszarach junkierskich na Małej Pohulance.

Po trudach wojenki żołnierz dostał zupełny odpoczynek, nikt nie robił żadnych ćwiczeń, nie było żadnej prawie służby.

Zdobyte miasto przyjmowało i fetowało czem mogło „wojsko polskie". Ale niebardzo miało czem fetować. Nędza, panosząca się wszędzie gdzie stąpiła noga najeźdźcy niemieckiego dawała się wilnianom porządnie we znaki. Podzi-

wiano powszechnie śnieżno-biały chleb, jaki podówczas dostawało nasze wojsko, dostatnie mundury, dobre konie, porządne wozy, a przedewszytkiem pewność siebie i zamaszystość „koroniarzy".

— Skąd Polska zdobyła to wszystko w kilka miesięcy, skąd zdobyła te tysiące wyćwiczonych żołnierzy, skąd nauczyła się tej organizacji, skąd ma tyle pieniędzy? Pytania te słyszało się na każdym kroku. To też żołnierz nasz, widząc ten podziw, rósł w dumę i chełpliwie zapewniał, że to wszystko jeszcze nic, że jeszcze pokaże całemu światu, gdzie raki zimują, że czeka na niego jeszcze wiele ziem dawniej polskich, które i teraz muszą być polskiemi. Łagodny, potulny, a zahukany nieludzkiemi rządami Moskali Polak kresowy, patrzał na to wszystko z podziwem i nabierał zwolna przekonania, że jednak Polska to naprawdę „wielka rzecz".

Ochotników do wojska Wilno dało dużo. W naszym pułku była utworzona kompanja w sile 104 ludzi, samych wilnian, którzy ćwiczyli się przez dwa miesiące, a potem zostali rozdzieleni po kompanjach pierwszego bataljonu. Od tego czasu nigdy nie brakło nam ludzi, znających wszystkie miejscowości frontu litewsko-białoruskiego, również nie brakło nam tłumaczów, znających języki: litewski, białoruski, rosyjski, a nawet łotewski. Wszyscy ochotnicy byli to prawie bez wyjątku ludzie prości: robotnicy, synowie rzemieślników, drobnych kupców i rolników. Przez całą wojnę bili się bardzo dobrze i wielu z nich odznaczono później najwyższemi orderami, jakiemi nasza Rzeczpospolita odznacza za waleczność, wielu zostało inwalidami, wielu też zginęło i kości ich dotychczas rozsiane są po polach między Wilnem, dzisiaj łotewską Letgalją,[1]) Kijowem i szczerze polskim Lubartowem.

W początku maja zostałem mianowany przez generała Rydza Śmigłego, rozkazem 2 dywizji legjonów (później przemianowej na pierwszą), podchorążym. Dzień ten pozostanie w mojej pamięci do końca życia, jako najpiękniejszy. Trzeba

---

[1]) Letgalja — dawniejsze polskie Inflanty.

być prawie pięć lat szeregowcem i przechodzić wszystkie stopnie podoficerskie, aby zrozumieć, co to za rozkosz przypiąć sobie nareszcie odznaki oficerskie, choćby bez gwiazdek[1]). To też, chociaż śmiać mi się dzisiaj z tego chce, kupiłem wtedy możliwie najbardziej błyszczące „trzepaczki" i paradowałem w nich niby paw nadęty. Z mianowaniem na podchorążego[2]) wiąże się w mojej służbie wojskowej, jako żołnierza linjowego, pewna plama. Oto, ni mniej ni więcej, tylko zostałem wówczas wyznaczony na oficera żywnościowego pierwszego bataljonu. Przez cały maj i czerwiec, to znaczy przez czas, gdy pierwszy bataljon stał załogą w Wilnie, pełniłem ten obowiązek. Praca moja sprowadzała się przedewszystkiem do troski o paszę dla koni taborowych i wierzchowych. Tej paszy wciąż brakowało i było o nią ogromnie trudno. Jeździłem przeto do odległych wiosek, leżących tuż u granic Litwy kowieńskiej, pod Wiłkomierz, Gedroycie, to znowu do starożytnych Dubienek i do innych miejscowości, zasobniejszych nieco w siano i owies. W tamtych czasach nic się nie rekwirowało, a za wszystko płaciło gotówką, co właściciele ziemscy, jak i wieśniacy, przyjmowali z niekłamanem zdziwieniem, gdyż Niemcy, a potem bolszewicy odzwyczaili ich zupełnie od płacenia. Jednak nie w każdej wsi chciano wierzyć, że płacę gotówką i to jeszcze porządnemi carskiemi rublami, i gdy przyjeżdżałem, musiałem długo tłumaczyć, że nie przyjechałem na rabunek, lecz po zwyczajny zakup. Często chłop, któremu zabrałem parę wozów siana, i który uważał je za stracone, gdy dostał pieniądze aż płakał z radości i błogosławił cały naród polski do dziesiątego pokolenia.

W ciągu tych dwóch miesięcy, bataljon nie brał udziału w żadnych działaniach i tylko jeden raz wyjechał pociągiem na wypad w okolice Zalesia. W bitwie, która tam się wywiązała, odznaczył się podporucznik Ordyniec, który z kilku żołnierzami wziął 80 jeńców oraz adjutant pierwszego bataljonu, pod-

[1]) W 1919 roku podchorążowie nosili naramienniki oficerskie bez gwiazdek.

[2]) W miesiąc później zostałem podporucznikiem.

chorąży Zarychta, przytomnością umysłu ratujący zagrożone położenie.

Pod Zalesiem zaszedł pierwszy i ostatni bodaj wypadek w naszym pułku, że oficer dostał się do niewoli. Był to lekarz bataljonowy, kapitan Orzech, który w półtora roku potem z niewoli powrócił, a komisja rehabilitacyjna uznała, że nie dostał się tam z własnej winy czy też chęci.

ROZDZIAŁ VIII.

PARTYZANTKA NAD WIELKIEMI JEZIORAMI.

W początku lipca bataljon dostał rozkaz wymarszu na pozycje, w strony pocięte dawnemi niemieckiemi rowami strzeleckiemi, w okolice jezior Narocz, Mądzioł i Miastro oraz miasteczka Hoduciszki. Wszystką żywność bataljonu wysłałem do Nowych Święcian i w kilka dni później sam się tam przeniosłem. Widocznie w mojej służbie taboryckiej musiały być pewne niedokładności, gdyż następnego dnia zgłosił się do mnie podporucznik Zienkiewicz i pokazał rozkaz dowódcy bataljonu, nakazujący mi zameldować się w dowództwie, w Hoduciszkach. Przykrzyła mi się już ta służba tyłowa, więc też z wielką radością oddawałem magazyny i wszelakie, a liczne kłopoty oficera żywnościowego.

W Hoduciszkach znajdowało się dowództwo bataljonu, które wtedy sprawował porucznik Wenda [1]), a adjutantował mu podporucznik Jerzy Nowacki.

Zgłosiłem się do porucznika Wendy.

— Panie poruczniku, melduje posłusznie swoje przybycie.

Porucznik Wenda coś tam na mnie namamrotał, naburczał i wkońcu rzekł—

— Zamelduje się pan natychmiast w czwartej kompanji u podporucznika Sowińskiego.

---

[1]) Obecnie major i kwatermistrz 1-go pułku piechoty.

Okazało się, że czwarta kompanja znajdowała się w bagatelnej odległości kilkudziesięciu kilometrów od Hoduciszek, w miejscowości Stary Miadzioł, nad jeziorem Narocz.

Jeszcze tego samego dnia udałem się w drogę do miasteczka Kobylnika skąd do Miadziołu było tylko półtorej mili. W Kobylniku ordynans mój zarekwirował wóz i w kilkanaście godzin po opuszczeniu Hoduciszek, znalazłem się w czwartej kompanji, w Starym Miadziole.

Podporucznik Sowiński przyjął mnie, jak zbawcę.

— Cztery noce już nie śpię, bolszewicy w dzień i w nocy próbują zaskoczyć nas znienacka i „zafasować"[1]).

— A gdzież oni są? — zapytałem naiwnie.

Sowiński zrobił rozpaczliwy gest ręką.

— Wszędzie, naokoło.

— Eee . . . — mruknąłem powątpiewająco.

— Przekona się pan niedługo.

I istotnie, przekonałem się.

Wojna z tamtych czasów była jedyną w swoim rodzaju. Zdarzało się że oddziały nieprzyjacielskie były tak pomieszane z naszemi, że zdawało się jakgdyby obie strony toczyły nie wojnę, a partyzantkę. Nasz front, rozrzucony na wielkich przestrzeniach, składał się z pojedyńczych oddziałów, które czasem porozumiewały się z sobą, ale często wogóle nie utrzymywały żadnej łączności. Również i kompanja Sowińskiego, w chwili, gdym się z nią połączył, była w podobnem położeniu. Wprawdzie co kilka dni dojeżdżał furjer z żywnością, ale trafiało się też, że musiał cofać się przed patrolami bolszewickiemi, które, od czasu do czasu, przecinały drogę do Kobylnika. Siedział wprawdzie w tem miasteczku porucznik Romańczuk z trzecią kompanją i opędzał się, jak mógł, ale ponieważ z jedną kompanją niewiele można zrobić, więc też położenie w Starym Miadziole nie należało do wesołych. Bolszewicy prawie każdego dnia nacierali i tylko dziwnej ich niechęci do naszego ognia zawdzięczaliśmy, że nie zagarnęli nas odrazu.

---

[1]) W gwarze żołnierskiej oznaczało — wziąć do niewoli.

W kilka godzin po mojem przybyciu do Miadziołu, gdy zaledwie jako tako zapoznałem się z terenem, a wogóle jeszcze nie posiliłem swego grzesznego ciała jakąś strawą, z odległości niecałego kilometra usłyszeliśmy strzały.

— To patrol Mruka spotkał napewno bolszewików — wykrzyknął Sowiński, którego zwaliśmy „wujem" za charakter mentorski i stałe zrzędzenie.

Obawiając się, aby nieprzyjaciel nie zabrał ludzi Mruka do niewoli, pośpieszyłem im z dwiema sekcjami na pomoc. Ale tylko niepotrzebnie zmachałem się bieganiną po polu, bo ten dzielny podoficer, chociaż istotnie napotkał niespodziewanie patrol nieprzyjacielski, przywitał go odrazu ogniem, a potem rzucił się nań z bagnetem, czem przerażeni bolszewicy umknęli pośpiesznie, zostawiając kilku rannych.

Przez kilka dni mieliśmy spokój. Piękne okolice, szumiące, największe w Polsce jezioro, cudowna lipcowa pogoda i względny spokój, wszystko to robiło z wojny jakieś bajeczne letnisko. Chodziliśmy kąpać się w jeziorze, pływaliśmy w łodziach i łapaliśmy ryby.

Pewnego razu kąpałem się przy brzegu, a potem wziąłem łódź i w kostjumie Adama popłynąłem ku środkowi wielkiego jeziora. Zaledwie jednak zbliżyłem się nieco ku przeciwległemu brzegowi, gdy zaroił się on od burych postaci bolszewickich, które otworzyły natychmiast siarczysty ogień do mojej naguteńkiej postaci. Byłbym przypłacił życiem nierozważną myśl używania sportu wioślarskiego pod samym nosem nieprzyjacielskim, gdyby nie to, że Moskale byli widocznie rekrutami, strzelali bardzo źle i nie trafili mnie odrazu. Widząc co się święci, skoczyłem do wody i popłynąłem co sił starczy ku brzegowi. Nigdy nie zapomnę nieprzyjemnego uczucia, gdy naokoło mej osoby pluskały kule, a uporczywa myśl, że najmniejsza rana, to już „ferfał di klaczkes mit wajsen kopytkes", nie chciała wyjść z głowy ani na chwilę. Głęboka na kilka metrów woda przyhołubiłaby mnie już na wieki. W pomoc przyszły mi nasze placówki z nad jeziora, które, gdy dostrzegły grożące mi niebezpieczeństwo, rozpoczęły bezładną strzelaninę na całej linji, znacznie tem bolszewikom ich polowanie na mnie ochładzając.

Ledwie żywy ze zmęczenia, lecz cały i zdrów, dobiłem do brzegu, a wychodząc na miękką zieloną murawę, przyrzekałem sobie solennie że już nigdy nie będę się kąpał w tem wstrętnem jeziorze, co taką brzydką chowało dla mnie niespodziankę.

Trzy kilometry od Miadziołu leży wioska Mochowicze, w której usadowili się bolszewicy i skąd nas stale niepokoili. Uradziliśmy przeto, że chcąc zabezpieczyć się przed nieustanną dywersją, trzeba ich stamtąd wykurzyć. Podporucznika Sowińskiego w jakichś sprawach wezwano do dowódcy bataljonu do Hoduciszek, objąłem więc w zastępstwie kompanję i obmyśliłem wyprawę na ową wioskę.

Umówiliśmy się z podporucznikiem Klepackim z trzeciej kompanji, że on z plutonem obejdzie wioskę od tyłu i będzie pilnował, aby nieprzyjaciel nie uciekł, ja zaś miałem uderzyć nań zprzodu, rozbić, zabrać do niewoli, a ewentualnie napędzić na ppor. Klepackiego.

To co mówiliśmy wykonaliśmy, nie przewidując tylko tego, że bolszewicy będą uwiadomieni. To też gdy umówionego rana, jeszcze przed świtem, razem z mgłami porannemi, spadłem z kompanją na wioskę, bolszewików nie było już w niej ani śladu. Miejsca po nich były jeszcze ciepłe, ale ich samych nie było. Spotkaliśmy się z ppor. Klepackim z dość wydłużonemi minami, obiecując sobie powetować niepowodzenie kiedy indziej.

Wysłane patrole stwierdziły, że nieprzyjaciela na odległości dobrych dziesięciu kilometrów wcale niema, a więc chcąc utrzymać z nim czucie, trzeba było posunąć się znacznie dalej na wschód. Nie wróciłem przeto do Miadziołu, lecz zatrzymałem się w wiosce Kaczany.

W tamtych stronach czwarta kompanja prowadziła nieustannie potyczki mniejsze i większe, we wszystkich bijąc bolszewików i nigdy nie cofając się, lecz stale posuwając się naprzód. Czasem szliśmy tak głęboko na tyły bolszewików, że napotykaliśmy ich tabory, kuchnie, a nawet wyższe dowództwa. Robiliśmy te wypady, ponieważ przekonaliśmy się, że chociaż są nieco niebezpieczne, ale zato łatwo na nich „wyfasować" karabin maszynowy, kuchnię polową, lub uszczknąć wozów taborowych,

napełnionych zwykle żywnością i wszelakiem innem dobrem. Plutony nie zawsze przyznawały się do tych wypraw, bo było im trochę wstyd tak po tyłach buszować, front pozostawiając nietknięty. Wprawdzie i bolszewicy próbowali odwdzięczać się pięknem za nadobne, ale nie mieli takiego szczęścia jak my, i na głębszych wypadach dostawali zwykle porządne cięgi, nieraz ku ich wstydowi, od taborytów i wszelakich łazików, których za frontem zawsze sporo się kręci. Wojna to była bardzo przyjemna, chociaż męcząca. My, starzy żołnierze z wielkiej wojny, trochę krzywo patrzeliśmy na to, że nie było żadnej łączności na skrzydłach i że człowiek wisiał, jak w powietrzu, ale prędko przekonaliśmy się do niej.

Tak wojowaliśmy przez kilka tygodni na tych kresach, coraz nowe obmyślając wypady i wycieczki i nowe dla bolszewików szykując psoty. Czasem podchodziliśmy, a raczej podjeżdżaliśmy na podwodach pod same ich pozycje, dawaliśmy kilkadziesiąt strzałów i umykaliśmy natychmiast zpowrotem a tymczasem kacapi myśląc, że już za chwilę zaczniemy natarcie, walili na chybił — trafił z karabinów maszynowych i ręcznych, a czasem i z dział. My zaś w tym czasie spokojnie przewracaliśmy się na drugi bok w wygodnej stodole, będąc pewni, że po takim maskowanym wypadzie nieprzyjaciel nie wystawi nawet nosa poza obręb swojej wioski, a już tem bardziej nie będzie nas atakował.

Tak nam przyjemnie upływał czas, że rozkaz opuszczenia tych stron przyjęliśmy z wielkiem niezadowoleniem.

Zaczynała się jedna z licznych ofensyw i pułk zbierał się cały, aby wykonać większe uderzenie.

Nie pamiętam już w jakiej miejscowości zebraliśmy się i pomaszerowaliśmy, jak to było u nas we zwyczaju, bez żadnego wypoczynku i wytchnienia. Po pewnym czasie przymaszerowaliśmy do stacji kolejowej Woropajewo. Tu dostałem rozkaz udania się z plutonem i dwoma karabinami maszynowemi do majątku Borejki.

— A gdzież to te Borejki? — zapytałem dość rozpaczliwym głosem, gdyż była to właśnie godzina dwunasta w nocy, deszcz, burza, pioruny i inne tego rodzaju przyjemności.

— Dwadzieścia trzy kilometry, w tym kierunku—w tem miejscu nastąpiło machnięcie ręką, co miało oznaczać ów kierunek.

— A gdzie będzie nasz najbliższy oddział? — wypytywałem się dalej.

— W Woropajewie — otrzymałem na to lakoniczną odpowiedź.

— I żadnej łączności z nikim?

— Też się panu zachciewa, jeszcze czego, może pierników?

Zabrałem swoich czterdziestu kilku ludzi i maszynki, i rad nie rad, musiałem odmaszerować, chociaż przedtem szedłem cały dzień, a jeszcze przedtem całą noc. Ponieważ nie znałem drogi, a ciemno było jak w piekle, więc złapałem pierwszego lepszego chłopa i kazałem mu prowadzić oddział. Chłop nieco się opierał, ale skoro jeden z żołnierzy połechtał go lekko bagnetem po łopatkach, nabrał chęci i zgodził się pójść z nami dobrowolnie.

ROZDZIAŁ IX.

NAD RZEKĄ DZISNĄ.

Droga z Woropajewa do Borejek prowadzi prawie cały czas przez wielkie lasy. Po drodze spotykaliśmy od czasu do czasu smolarnie, pędzące smołę i terpentynę, gontarnie i małe tartaki — wszystko w tym czasie nieczynne, a nawet przeważnie przez ludzi opuszczone. Ponieważ nie miałem dokładnych danych, czy już o kilometr za Woropajewem niema bolszewików, więc posuwałem się bardzo ostrożnie, a nie dowierzając śpiącym i znużonym żołnierzom, sam szedłem na szpicy, chłopu-przewodnikowi nakazując nadsłuchiwać. Chłopisko nadstawiało uszu jak mogło, bo tak dla żartu obiecałem mu, że gdyby na czas nie dosłyszał zbliżania się nieprzyjaciela, palnę mu prosto w kudłaty łeb. Chłopek starał się jak mógł i zwracał moją uwagę na każdy niemal szmer. Bałem się pozostawić za sobą jaki oddział bolszewicki, co mogło się łacno stać, gdyż posuwaliśmy się w czasie burzy, grzmotów i nieprzeniknionych ciemności, w których łatwo jakiś oddział mógł nas nie zauważyć, a i my jego. Mijając zapadłe wioszczyny, wysyłałem naprzód patrole, które wyciągały zaspanych „chozjainów" i przykładając im lufy karabinów do głowy, w mig uzyskiwały najlepsze informacje.

Dopiero nad samym ranem przewodnik wyszeptał mi na ucho, że majaczące w porannych mgłach i mroku jakieś zabudowania, to Borejki. Na wieść, że tymczasowy cel podróży już blisko, żołnierze, maszerujący niemal nieprzytomnie, ocknęli się i rozpoczęli zwykłe pogwarki.

Borejki okazały się majątkiem niezniszczonym, którego właściciel nie uciekł, lecz pozostał w nim przez cały czas wrażych inwazyj.

Dwie małe córeczki: dziesięcio i dwunastoletnia, na widok wojska polskiego, które widziały po raz pierwszy, zaczęły z wielkiej radości śmiać się, tańczyć i oglądać nas ze wszystkich stron niczem rarogów. Niemniej wzruszony był i właściciel, który ruszał wielkiemi wąsami i coś dziwnie pociągał nosem. Przespaliśmy się parę godzin. Koło południa wysłany patrol doniósł, że o trzy kilometry dalej, we wsi Żdany, nad rzeką Dzisną, znajdują się bolszewicy. Nie miałem najmniejszej chęci czekać w Borejkach, aż nieprzyjaciel mnie napadnie, gdyż i miejscowość nie nadawała się do walki obronnej, i ja nie byłem na tyle silny, aby sobie móc pozwolić na bezczynność. Przytem świadomość, że na żadną odsiecz, ani pomoc liczyć nie mogę, przyczyniła się do decyzji, że trzeba uderzyć na przeciwnika. Tak też i zrobiłem.

W drodze do Żdan usłyszałem jakieś strzały i krótkie wybuchy granatów ręcznych. Zdziwiło mnie to bardzo, lecz mimo to kazałem przyśpieszyć kroku, aby prędzej zobaczyć, co się dzieje nad rzeką.

Po dojściu do wioski Wasiuki, leżącej na naszym brzegu rzeki (Żdany leżały na przeciwnym), dostrzegłem polskich żołnierzy, starających się odeprzeć nacierających bolszewików. Kazałem niezwłocznie otworzyć ogień ze swoich dwóch karabinów maszynowych, który okazał się tak skuteczny, że wraży atak załamał się natychmiast. Gdy przeszliśmy rzekę i chcieli bolszewików gonić, to nie można było nawet ich już dostrzec.

Pluton żołnierzy, który spotkałem w Żdanach, okazał się oddziałem z innego bataljonu naszego pułku, który, buszując na bolszewickich tyłach, natknął się w tej okolicy na bolszewicką ochronę przedmościa, na którą natychmiast uderzył, wyrzucił ze wsi i przejście na Dziśnie opanował; byłby jednak śmiałość swoją drogo przypłacił, gdyż wskutek wielkiej przewagi nieprzyjaciela mógł łatwo ulec i wpaść do niewoli lub też być wycięty do nogi.

W Żdanach wytrzymałem kilka natarć bolszewickich,

Nieprzyjaciel chciał koniecznie wyrzucić mnie za rzekę, jednak nie udało mu się to.

W miasteczku Szarkowszczyźnie, położonem również nad Dzisną, ale o 11 kilometrów od Żdan, mieli bolszewicy dowództwo pułku. Gdy po kilku dniach przekonali się, że wykurzyć nas nie jest tak łatwo, a porządne cięgi, jakie dostawali, sprzykrzyły się im, zaniechali dalszych natarć i chwilowo pozostawili nas w spokoju. Nic im to jednak nie pomogło, gdyż zaledwie oni przestali napadać, postanowiłem dobrać się do ich skóry. To moje postanowienie zbiegło się z rozkazem, którzy otrzymałem od dowódcy kompanji, aby zająć niezwłocznie Szarkowszczyznę. Nie zwlekając przeto wyruszyłem późnym wieczorem w kierunku uśpionego miasteczka.

Posuwaliśmy się zwyczajną drogą polną, wiodącą brzegiem rzeki. O dwa kilometry przed miasteczkiem natknęliśmy się na jakąś wioskę, której nazwy już nie pomnę; wioskę tę kazałem okrążyć kapralowi Mrukowi z sekcją, a sam ruszyem, w chwilę potem, prosto na majaczące ogrody i jakieś budynki. Okazało się jednak, że w wioseczce bolszewików nie było, minąłem ją przeto i na drugiej stronie zacząłem rozglądać się za wysłanym podoficerem. Kapral Mruk jakoś nie nadchodził. Wyszedłem nieco przed oddział, który skrył się w przydrożnym rowie i nadsłuchiwałem uważnie, czy czasem nie dojdzie mnie szum deptanego przez wracający patrol zboża. W pewnej chwili istotnie dosłyszałem szmer zbliżających się przez niezżęte pola ludzi. Byłem tak pewny, że nie może to być nikt inny, tylko Mruk ze swoją sekcją, że zacząłem cicho wołać:

— Mruk, Mruk, tutaj jesteśmy.

W odpowiedzi dosłyszałem jakieś głosy, których narazie nie mogłem zrozumieć. Za chwilę z mroków nocy wyłoniło się kilka postaci, które z wysokiego zboża weszły do rowu przydrożnego i zaczęły drapać się na drogę. W chwili, kiedy wchodziły do rowu, poznałem, że to nie nasz patrol, lecz bolszewicy...

Byłem tak zdumiony ich widokiem, że przez chwilę stałem bez ruchu, nie czyniąc nic i tylko dzięki temu, że i bol-

szewicy opanowani byli zapewne tem samem uczuciem, mogę zawdzięczać, że nie palnęli do mnie jak do „jasnej świecy". Bezwład trwał jednak nie dłużej niż parę sekund. Schwyciłem za karabin pierwszego z brzegu „burka"[1]), szarpnąłem, wyrwałem mu go z ręki i wrzasnąłem przeraźliwym głosem.

— Zdajtieś!

W odpowiedzi padło:

— Nie strielaj, pan!

Nie wszyscy jednak chcieli się poddać. Gdy na odgłos hałasu zaczęli nadbiegać moi ludzie, któryś z bolszewików huknął z karabina i dał nura w wysokie zboże. Kula raniła jednego ze starszych żołnierzy w głowę.

Wzięliśmy trzech jeńców. Jeńcy ci wprawdzie opowiedzieli nam, że byli wysłani do wioski na patrol, jednak ja podejrzewałem ich silnie, że wybrali się nie na patrol, lecz na zwyczajny rabunek.

Może o kilometr przed miasteczkiem stał jakiś dworek czy też wioska; mieliśmy dane, że znajduje się tam bolszewicka placówka, to też posuwaliśmy się z wielką ostrożnością Przed samemi opłotkami usłyszeliśmy jakiś wielki ruch i głosy, po chwili zaterkotał w odległości kilkunastu kroków nieprzyjacielski karabin maszynowy. Bolszewicy jednak mieli porządnego stracha, gdyż nie wypuścili nawet kilkuset kul i uciekli, zostawiając maszynkę[2]) w naszych rękach.

Bojąc się, że spłoszona placówka zaalarmuje całą załogę w miasteczku, szybko posuwałem się za nią, aby wpaść na śpiących po kwaterach Moskali i łatwiej ich pokonać. Przed samem miasteczkiem kazałem rzucać pociski z miotaczy bomb a to dlatego, żeby wpoić w bolszewików przekonanie, że mają do czynienia z wielkiemi siłami, rozporządzającemi nawet artylerją. Granaty, rzucane w ciszy nocnej, mogły od biedy udawać artylerję.

---

[1]) Tak żołnierze nazywali pogardliwie Moskali.

[2]) W gwarze żołnierskiej—karabin maszynowy.

Ze zdobyciem Szarkoszczyzny spieszyłem się, gdyż miałem wiadomość, że ma ją zająć tego samego dnia 1 pułk szwoleżerów. Nie chciałem, aby kawalerzyści naśmiewali się potem z piechoty że zabierają jej miasta z przed samego nosa.

Bolszewicy, śpiący po wszystkich chatach, na głos strzałów i pękających granatów, rzucanych z garłaczy zaczęli wybiegać w bieliźnie, a często nawet i bez karabinów. W uliczkach miasteczka spotkaliśmy ich całe bandy, gdy przestraszeni i drżący z trwogi wyrywali na wszystkie strony. Wzięliśmy kilkunastu do niewoli, reszta uciegła za miasto.

Wpadł tam w nasze ręce magazyn zbożowy, którego część kazałem rozdać głodnej ludności, aby usposobić ją dla nas przychylnie, a z reszty jeszcze długo jedliśmy różne chlebki i kluski.

Wiedziałem, że szwoleżerowie są w pobliżu, więc wysłałem naprzeciw nich patrol, a sam wyruszyłem w pogoń za bolszewikami.

Kilka kilometrów za Szarkoszczyzną dotarłem do dużego ładnego, murowanego dworu. Tam zatrzymałem się, aby rozglądnąc się po okolicy, jednak już w kilkanaście minut później bolszewicy podeszli pod sam prawie ogród i otworzyli całkiem niespodziewanie silny ogień z karabinów zwykłych i maszynowych. Nie wiedząc jaką mogę mieć siłę przed sobą, cofnąłem się do Szarkoszyzny, do której nieprzyjaciel obawiał się podejść.

Po powrocie zameldował mi zaraz plutonowy Rożański, że nasza kawalerja jest już w miasteczku.

— A kiedy zobaczyli, że miasto zajęliśmy już od paru godzin, to tak się im pyski wyciągnęły, jakby po trzy dni nie jedli — meldował mi radośnie inny uczestnik patrolu.

Wyobrażałem sobie, jak wściekli musieli być kawalerzyści gdy przekonali się, że ubiegła ich piechota.

W Szarkowszczyźnie stanęło dowództwo pierwszego pułku szwoleżerów. Poszedłem zameldować się. Na kwaterze dowództwa siedziało może z dziesięciu oficerów, z których nie znałem żadnego. Wszyscy zajadali jakieś wspaniałe konserwy, mięsa, ryby i inne zupełnie niewojenne frykasy, gęsto popijając wódkami i likierami. Dla mnie, piechociarza, było to coś

zupełnie nowego, gdyż w naszym pułku, a zapewne i w wielu innych pułkach piechoty, nikt nie pozwalał sobie na takie rzeczy. Wszyscy oficerowie jadali z kotła żołnierskiego, z takich samych menażek jak i żołnierze i takim samym, jak oni zagryzali chlebem. Nietylko, że nie mieliśmy jakichś wyszukanych likierów, ale i o zwyczajną wódkę było dość trudno w oficerskiej manierce, w najlepszym razie piło się śmierdzący samogon, powszechnie na kresach po chatach pędzony. To też, gdy zobaczyłem te wszystkie przysmaki, ślinka zaczęła mi płynąć do ust, nie chciałem jednak przyjąć zaproszenia, gdyż nie miałem czasu.

W zdobytem mieście żołnierze zrabowali parę sklepów, przytem nie można było stwierdzić, czy zrobili to moi ludzie, czy też szwoleżerowie, przypuszczam jednak, że zrobili to kawalerzyści, gdyż w naszym pułku takie rzeczy zdarzały się bardzo rzadko.

Spotkaliśmy tam sporą partję Polaków, uciekających z Rosji przed widmem rewolucji. Uciekinierzy ci opowiadali żołnierzom niesłychanie krwawe i okropne dzieje. „Jasie" z politowaniem kiwali głowami nad głupotą Moskali, tępiących się wzajemnie z zapamiętałością, graniczącą wprost z obłędem.

ROZDZIAŁ X.

POJEDYNEK Z BOLSZEWICKIM KOMISARZEM [1].

W okresie walk w okolicy rzeki Dzisny nieustannie przebiegaliśmy wielkie przestrzenie, rzadko zatrzymując się dłużej, nad parę dni. Wielkie marsze, które odbywały nasze kompanje, miały ten skutek, że żołnierze słabsi odpadli jako chorzy i maruderzy, a ci którzy pozostali zaprawili się w długich pochodach na wyśmienitych piechurów, dla których maszerować kilkadziesiąt godzin z rzędu było tem, czem dla innych wypić butelkę samogonu. Bitwy i potyczki traktowano niczem zakąski po dobrej wypitce. W takich warunkach nie można było wymagać, aby żołnierze, przemęczeni do ostatnich granic, mogli chodzić jeszcze na dalekie zwiady w czasie krótkich odpoczynków. Utarł się tedy zwyczaj, że na zwiady wysyłało się żołnierzy na rekwirowanych podwodach. Często też, gdy marsz musiał być specjalnie pośpieszny, rekwirowaliśmy wielką ilość wozów i wtedy całe kompanje jechały na nowe miejsce przeznaczenia na trzęsących wózkach jednokonnych. Po zdobyciu Szarkowszczyzny dostałem rozkaz udania się w kierunku Kozian, gdzie miała nastąpić zbiórka całego pierwszego pułku. Ponieważ przestrzeń między Szarkowszczyzną a Kozianami wynosi około 60 kilometrów, a rozkaz brzmiał, że należy maszerować tam bez żadnych odpoczynków, więc kazałem jednemu podoficerowi zająć się zebraniem 80 podwód dla ludzi, amunicji i karabinów

[1] Komisarzami nazywali żołnierze polscy wszystką starszyznę rosyjską.

maszynowych. Chciałem w ten sposób przyśpieszyć przybycie na nowe miejsce przeznaczenia.

Całe dorzecze Dzisny stanowią błotniste płaszczyzny, gęsto porosłe różnemi haszczami, a na wynioślejszych miejscach lasami liściastemi. Kraj jest zaludniony rzadko. Mieszkają tam Białorusini prawosławni i Białorusini katolicy, niekiedy spotyka się polskie dwory lub zaścianki.

Na bagnach tamtejszych trudno wyżywić się człowiekowi, zato łatwo hodują się dzikie kaczki, kurki i wszelakie ptactwo wodne. Nieraz, chodząc na dalekie patrole, spotykałem wielkie stada tej skrzydlatej rzeszy, które na głos zbliżających się ludzi, zrywały się z małych rzeczek i jeziorek, jakich pełno na błotach i uciekały z krzykiem na dalsze, samotne miejsca. Często zbierała mnie ochota palnąć do przeciągających tuż pod samym nosem kaczek, ale świadomość, że tuż tuż, może o kilkadziesiąt metrów dalej, czai się bolszewicki oddział i czatuje na sposobną chwilę, aby uderzyć na moich ludzi i w pień ich wyciąć, powstrzymywała myśliwskie zapędy. W tych zapadłych kątach, zapomnianych przez cały świat, na niewielkich wyspach, otoczonych bagnami, spotykało się chaty kurne i mieszkańców niewiele więcej cywilizowanych od ich przodków z czasów, gdy w tamtych okolicach buszował na tyłach wojsk Chowańskiego imć pan Kmicic, chorąży orszański. Wszyscy ci wieśniacy byli do Polaków usposobieni obojętnie, nazywali nas albo „białymi", albo „panami". Nasze panowanie uważali za rzecz sprawiedliwą, gdyż tak bywało dawniej.

Czekając na zebranie podwód, miałem co najmniej pół dnia czasu, to też nie zastanawiając się wiele, postanowiłem natychmiast udać się w okolicę, i o ileby się dało, urwać gdzieś jakiś bolszewicki oddział, a kto wie — może zdobyć karabin maszynowy albo kilka wozów taborowych.

Wyruszyłem tedy z dwudziestu pięciu żołnierzami w kierunku widniejącego zdala lasu. Pogoda była wspaniała, słońce wprawdzie prażyło nieznośnie, ale lekki wiaterek, powiewający od czasu do czasu, chłodził, przez co upał stawał się nie tak dokuczliwy. Szliśmy początkowo jakiemiś drożynami polnemi, po

obu stronach złociło się piękne zboże, stratowane przez bolszewików, uciekających z pod Szarkowszczyzny.

W jednej z wiosek dostrzegliśmy, że wieśniacy zaczęli na nasz widok uciekać w popłochu i pośpiesznie kryć się po chatach. Był to nieomylny znak, że w pobliżu muszą być bolszewicy, gdyż chłopi zawsze najlepiej byli poinformowani, a z doświadczenia wiedzieli, że skoro wywiąże się bitwa, to i im może oberwać się porządnie w zamieszaniu, które każda bitwa wywołuje.

Podszedłem do pierwszej z brzegu chaty.

— Hej! „choziain", chodź no tu — zawołałem.

W chacie panowała cisza, nikt się nie odezwał, co widząc mój podoficer trzasnął kolbą w drzwi, aż wyskoczyły z jednej zawiasy. W chacie zrobił się natychmiast wielki ruch i lament, po chwili wysadził łeb stary kudłaty Białorusin.

— Niczoho nie znajem, panoczku — odezwał się pokorny głos.

— Bolszewicy gdzie są? — zapytałem.

Stary zaczął się żegnać i zaklinać, że nie wie.

— Chyba dam mu parę razy, to powie — półpytająco zwrócił się do mnie jeden z żołnierzy.

Radykalny ten środek okazał się jednak niepotrzebny, gdyż na samo jego wspomnienie, „choziain" najpierw łypnął rozpaczliwie jednem okiem na potężną łapę żołnierza, zbliżającego się doń od niechcenia, a następnie jął opowiadać całkiem dokładnie wszystko, co wiedział, a więc o tem, że przed dwoma godzinami w ich wiosce było bolszewików „mnoho, mnoho" i że potem odeszli, zostawiając za wsią, w zaścianeczku, kilkunastu ludzi.

Wiadomość ta ucieszyła mnie niepomiernie, gdyż czatowałem właśnie na taki niewielki oddziałek, aby móc go swemi małemi siłami zgnieść. W wielkiej tedy cichości i z ostrożnością zaczęliśmy zbliżać się do wspomnianego zaścianka. Stał on na małym pagórku, otoczony z jednej strony przez bagniste łąki, z drugiej zaś przez zachodzący z dwóch stron las; od strony drogi leżała wioska, niedawno opuszczona przez bolszewików.

Ażeby nieprzyjaciela łatwiej podejść, okrążyłem zaścianek i wpadłem nań od strony lasu, a uczyniłem to tak niespodziewanie, że miałem jeszcze czas zauważyć skrytą w rowie przydrożnym placówkę bolszewicką, wytężającą wzrok w kierunku Szarkowszczyzny, a nie przeczuwającą zupełnie, że jesteśmy już za jej plecami. Nic też dziwnego, że skoro Moskale nas dostrzegli podnieśli wielką wrzawę i, nie próbując nawet oporu, zaczęli zmykać na wszystkie strony. Ponieważ uciekać w kierunku wioski, leżącej na drodze do Szarkowszczyzny, nie mogli, gdyż przypuszczali, że i tam natkną się na naszych, a z lasu wypadli na nich moi ludzie, przeto pozostawała im jedna droga do ucieczki — błota. Największa tedy ich kupa pomknęła, co sił starczy, w kierunku jakiejś małej rzeczki, leniwie toczącej się po mokrych łąkach. Pozostawiając jedną sekcję w zaścianku przy jeńcach, sam z resztą pogoniłem za uchodzącym nieprzyjacielem.

Początkowo biegło się dość dobrze, lecz zaledwie zagłębiliśmy się w łąki i różne olszynki, nogi zaczęły nam lgnąć w błocie. Skakaliśmy z kępki na kępkę, wymachując zabawnie dla równowagi rękami. W pewnej chwili dobiegliśmy do małej bezimiennej rzeczułki i przebrnęliśmy ją w bród. Tuż na drugim brzegu dogoniłem jakiegoś starszego bolszewika, poznając jego stopień po trzymanym w ręku rewolwerze. Później dowiedziałem się, że był to dowódca pułku. Z odległości jakichś dziewięciu kroków palnąłem do niego z browninga i zacząłem wołać, aby się poddał. Bolszewik odwrócił się, a widząc wycelowany rewolwer, stanął. Myślałem, że zrezygnował z ucieczki i biegłem, aby go rozbroić. Tymczasem zamiast się poddać, strzelił do mnie z wielkiego nagana. Kula drasnęła mnie w ramię, co początkowo tak mnie oszołomiło, że padłem na ziemię. Przez chwilę byłem pewny, że zostałem ranny. Świadomość ta tak mnie rozzłościła, że w jednej chwili wyładowałem sześć kul w kierunku ponownie uciekającego bolszewika, który odwrócił się jeszcze raz, wymierzył drżącą ręką i strzelił, trafiając nie mnie lecz nadbiegającego żołnierza. Była to już ostatnia ziemska czynność komisarza, gdyż zaraz potem padł i jął kopać ziemię w przedśmiertnej agonji.

W ten sposób zginął dowódca bolszewickiego pułku, broniącego Szarkowszczyzny.

Z papierów znalezionych przy nim dowiedziałem się, że był to znaczny komunista, piastujący przedtem inne, cywilne urzędy.

Co wytrzymalsi bolszewicy uciekali dalej, podczas gdy słabszych, pozostających w tyle, chwytali nasi „Jasie". Wkrótce zaprzestaliśmy dalszej pogoni i, leżąc na ziemi, rozpoczęliśmy strzelaninę za maruderami, znikającymi już w ciemnozielonym lesie, widniejącym na dalekim horyzoncie.

ROZDZIAŁ XI.

W DRODZE DO DYNEBURGA.

Załadowałem swoich ludzi, karabiny maszynowe, amunicję i jeńców na osiemdziesiąt kilka jednokonnych, małych podwód białoruskich i wyruszyłem w kierunku odległych o kilkadziesiąt kilometrów Kozian.

Piasczysta droga pozwalała posuwać się tylko bardzo pomału. Żołnierze, zmęczeni marszami i wielodniowemi potyczkami, spali na wozach jak zabici, czuwała tylko straż przednia i tylna, umieszczona również na wozach.

W jakiejś małej wiosce spotkaliśmy szwadron uzupełniający 11 pułku ułanów, przysłany przed kilku dniami z kadry. Z podziwem oglądaliśmy jego świetne oporządzenie, nowe mundury koloru khaki, rosłe konie, a zwłaszcza, jako szczyt porządku, zasłonięte koloru ochraniaczami khaki białe otoki u czapek. Oddział ten miał z sobą takie mnóstwo wozów taborowych i podwód, że zaledwie z trudnością i z dużą zwłoką udało nam się przepchać przez wieś. Jak zwykle, gdy kawalerzyści stykali się z piechotą, nie było końca drwinom i naśmiewaniu się wzajemnemu żołnierzy. Ponieważ kawalerzyści byli rekrutami, a moi żołnierze, bądź co bądź starymi wyjadaczami, więc też w tych słownych utarczkach odnosili poważne sukcesy.

Dopiero na drugi dzień przybyliśmy do Kozian. Małe to miasteczko, wielokrotnie palone i niszczone przez różnych najeźdźców, przedstawiało jedną wielką ruinę. W nielicznych chatach rozkwaterowały się liczne dowództwa i sztaby, a dla

oficerów i żołnierzy zabrakło już nawet stodół. Ponieważ 5 pułk. piechoty legjonów przyszedł wcześniej, a znany był z „gospodarności", trudno więc było marzyć o dostaniu kwatery. Zrezygnowaliśmy tedy z dachu nad głową i ułożyliśmy się na jednej z uliczek, brudnej i cuchnącej. Przedtem jeszcze zameldowałem dowódcy kompanji swoje przybycie, a jeńców odesłałem gdzie należało.

W tym okresie rzadko kiedy nasze dowództwo zbierało takie duże siły, jak w Kozianach. Nie wiedzieliśmy dokładnie w jakim celu była zrobiona ta koncentracja i nikt nie przypuszczał, że pójdziemy daleko na północ, za Dźwinę, na zdobycie miasta Dyneburga. Wprawdzie chodziły o tem słuchy, ale traktowaliśmy je dość lekko, gdyż ów Dyneburg wydawał się nam równie daleki, jak sam Petersburg.

Z Kozian wyruszyliśmy całym pułkiem na drugi dzień rano. I znowu, jak zwykle, rozpoczęły się długie marsze bez wypoczynku. Mijaliśmy kraj pagórkowaty, pokryty lasami i rzadko porozmieszczanemi wśród nich wioskami i zaściankami. Spotykaliśmy tam, oprócz ludności białoruskiej i polskiej również i litewską, spoglądającą na nas nieufnie i podejrzliwie. Z tamtych czasów datuje się moja znajomość dwóch słów litewskich, bardzo podówczas wśród naszego wojska rozpowszechnionych: „margajte"—dziewczyna, oraz „kiełszynas"—jajka.

Pewnego dnia przymaszerowaliśmy do stacji kolejowej i miasteczka Ignalino, leżącego na linji Wilno — Święciany — Dyneburg. Stamtąd ruszyliśmy pociągiem w kierunku Dyneburga. Podówczas koleje szły nieco inaczej, aniżeli dzisiaj. Na tę samą drogę, na przebycie której obecnie potrzeba kilku godzin, zużyliśmy coś półtora dnia. Na każdej stacji trzeba było kłócić się i wymyślać, aby pociągowi dano wolny przejazd. Nam było wszystko jedno, ile będziemy jechać, gdyż jak zasiedliśmy do preferansa w Ignalinie, nie skończyliśmy go jeszcze nawet wtedy, gdy już pociąg stanął i trzeba było wysiadać. A wysiadać trzeba było w szczerem polu, opodal stacyjki Kałkuny, ostatniej przed Dyneburgiem.

Położenie pod tem miastem było dość dziwne. Po prawej stronie toru stało wojsko polskie, po lewej zaś litewskie. To ostatnie, zarówno jak i Łotysze, ucierający się z bolszewikami na przeciwnej stronie Dźwiny, miało wielką „chrapkę" na zdobycie letgalskiej stolicy.

Na dyneburskim odcinku działaliśmy zupełnie zgodnie z Litwinami. Przedłużeniem naszego lewego skrzydła pod Kałkunami były kompanje litewskie. Raz zdarzyło się, że jedna z tych kompanij zajmowała odcinek między naszemi.

ROZDZIAŁ XII.

RAMIĘ W RAMIĘ Z LITWINAMI.

Oddziały litewskie, walczące pod Dyneburgiem, składały się w dużej ilości z Polaków, obywateli litewskich, wziętych do wojska z poboru. Nie zdarzyło mi się przez cały czas wspólnych działań spotkać żołnierza, któryby nie znał zupełnie dobrze naszego języka. Pierwszy raz spotkałem się z żołnierzami litewskimi przy torze kolejowym, gdzie stali w odwodzie. Przechodząc mimo nich, usłyszałem taką rozmowę:

— Chłopy, a czyj to „kociełek"? — dopytywał się jakiś „Litwin" w najczystrzym języku polskim o kresowym akcencie.

— Smyrgnij do gnoja, jak nikt go niechce—odezwał się drugi.

Gdy mnie zobaczył ich „starszy", pewnie podoficer, zaszwargotał zaraz coś po litewsku. Żołnierze, słysząc jego słowa, spojrzeli na mnie i umilkli. Zbliżyłem się do nich i zacząłem rozpytywać skąd pochodzą; zagadywałem o wojnę z bolszewikami i inne sprawy. Żołnierze patrzyli na mnie z wielkiem zaciekawieniem, ale rozmawiali bardzo powściągliwie, często spoglądając na swego starszego, który od czasu do czasu coś pod nosem gulgotał. Między „Litwinami" znalazłem wielu Polaków. Znalazłem też i takie indywidua, które nie znając litewskiego języka, twierdziły doskonałą polszczyzną: „jestem Litwin". Między sobą używali oni stale albo języka polskiego, albo rosyjskiego. O Polsce i jej potędze wyrażali się z uznaniem, dodając zwykle, że i Litwa to też nie byle co, że i ona nie da sobą pomiatać nikomu.

Podczas pobytu na tych pozycjach zdarzało się wielokrotnie, że żołnierze litewscy, Polacy, porzucali szeregi obce i przechodzili do nas. Kilku z nich przesłużyło w naszym bataljonie całą wojnę, otrzymując zasłużone stopnie podoficerskie. Do ppor. Policzkiewicza z pierwszej kompanji zgłosił się taki Polak i po kilku dniach pobytu powrócił do Litwinów po to, aby namówić swoich kolegów do przejścia na naszą stronę. Koledzy ci, służący w karabinach maszynowych, nietylko przyszli sami, ale jeszcze przynieśli kompletny rosyjski karabin maszynowy z kilku tysiącami naboi.

W czasie walk pod Dyneburgiem zaczęły nadchodzić wieści, że w okolicach Kalwarji i Marjampola oddziały nasze ucierają się z Litwinami, a gazety litewskie, przychodzące do rowów strzeleckich, zapełnione były wrogiemi przeciw Polakom wystąpieniami. Położenie, w którem na jednym odcinku szliśmy ramię w ramię, a na innym prowadziliśmy wojnę, było dość dziwne i na dłuższą metę niemożliwe. Wprawdzie między żołnierzami bardzo rzadko dochodziło do zwad, ale zato nieporozumienia między dowódcami były na porządku dziennym. Opowiadano, że jednemu z naszych majorów zabrali Litwini kilka wozów taborowych, czem obrażony oficer otoczył dowództwo pułku litewskiego i cały sztab wziął do niewoli. Oczywiście po paru godzinach oficerowie litewscy zostali wypuszczeni, ale i wozy zwrócono. Naogół nieporozumień na większą skalę nie było, do czego prawdopodobnie przyczynił się w dużej mierze fakt, że pod Dyneburgiem stała 1 dywizja piechoty, a więc dywizja, w której znajdowało się bardzo wielu ludzi ideowych, nietylko wśród oficerów, ale także i między szeregowymi. Była to przecież dywizja, składająca się początkowo niemal z samych ochotników.

Homeryczny śmiech ogarniał mnie zawsze ilekroć słyszałem jak żołnierze obu krajów rozmawiali między sobą, każdy inaczej wychwalając swoją Ojczyznę. W pomoc „Jasiom" przychodzili litewscy Polacy, którzy wyśmiewali się z państwa kowieńskiego i wróżyli mu lada dzień upadek.

Pod Dyneburgiem pozycje były ustalone. Z naszego ba-

taljonu najpierw poszły do rowów strzeleckich kompanja 1-sza i 3-cia, 2-ga zaś i moja, czyli 4-ta, pozostały w odwodzie, aby po kilku dniach zmienić tamte. Miasteczko Kałkuny zajmowała kompanja porucznika Holinkowskiego[1]). Poszedłem tam przypatrzyć się nowym pozycjom. Porucznik Holinkowski, któremu bolszewicy poprzedniego dnia przestrzelili czapkę, ustrzygając nieco włosów, krzątał się po mieście i tropił jakąś szpiegowską organizację, posiadającą telefoniczne połączenie z nieprzyjacielem. Linję tę udało mu się przypadkowo odkryć i niecne zamiary unicestwić. Bolszewicka artylerja upatrzyła sobie miasteczko jako cel i rzucała pociski za pociskami. Nie można było pokazać się na odkrytych miejscach, gdyż doskonale ulokowani obserwatorzy rosyjscy kierowali odrazu w to miejsce ogień polówek. Naogół jednak nie przynosiły one wielkich szkód w ludziach; przeważnie ucierpiały budynki mieszkalne.

Na drugą noc obudziła nas taka silna strzelanina karabinowa oraz ogień działowy, że uszykowałem kompanję i ruszyłem bliżej linji. Okazało się jednak, że natarcie skierowane na odcinek 1 kompanji, spotkało się z należytym odporem i po kilkugodzinnych wysiłkach bolszewicy musieli odstąpić z kwitkiem. Jednak kompanja była tak dalece wyczerpana, że otrzymaliśmy rozkaz jej zmienienia. Przed świtem, jak zwykle, poszliśmy na zmianę. Zastaliśmy okopy w stanie bardzo prowizorycznym, gdyż na wykopanie porządnych nie było czasu. Między naszemi okopami, a okopami bolszewików, leżącemi również po lewej strony Dźwiny, znajdował się niewielki lasek sosnowy, stanowiący w czasie pokoju cel niedzielnych wycieczek dyneburskich mieszczan. Za tym laskiem leżało przedmieście Zemgale, a samo miasto na drugiej stronie szerokiej w tem miejscu Dźwiny. Okopy nieprzyjacielskie znajdowały się częściowo w lasku i dlatego był on bardziej w ich rękach, aniżeli w naszych. Po naszej stronie leżała wieś Starodworyszcze, przed którą, w odległości kilkudziesięciu kroków, znajdowały się oko-

*) Zabity później na Ukrainie; po śmierci mianowany majorem i kawalerem orderu „virtuti militari".

py 1-go bataljonu. W samej wiosce zajął kwaterę kapitan Kruszewski, dowódca bataljonu. W tem miejscu muszę nadmienić o pewnych zmianach w pułku. Przedewszystkiem przysłano majora Dragata, który objął dowództwo pułku od kapitana Kruszewskiego, przytem ostatni odszedł na dowódcę 1-go bataljonu. Adjutantem na miejsce podchorążego Zarychty został porucznik Wądołkowski, który w rok później zginął, jako dowódca bataljonu w 201 pułku piechoty. Kompanje posiadały następującą obsadę: 1-szą dowodził porucznik Romańczuk (obecnie w rezerwie, kawaler virtuti militari), 2-gą kpt. Marski-Marjański (zabity potem w bitwie pod Białymstokiem, kawaler virtuti militari), 3-cią porucznik Harasimowicz (obecnie kapitan-inwalida, kawaler virtuti militari), 4-tą podporucznik Sowiński (obecnie w rezerwie). Adjutantował w bataljonie, już bez przerwy do końca prawie wojny, podporucznik Jerzy Nowacki.

W dzień na tych pozycjach dokuczali nam bolszewicy bardzo mało, tylko artylerja kilku działami „macała" nieustannie okopy. Natomiast w nocy z byle jakiego, błahego powodu, zrywała się groźna strzelanina, trwająca całemi godzinami. Od czasu do czasu bolszewicy próbowali natarć i szli gęstemi linjami na rzeź. Rzadko udawało im się podejść blisko, na kilkanaście kroków, zwykle już zdaleka pierzchali, do czego pomagały im nasze maskowane wypady i podrywania się do przeciwnatarć.

Utrzymać wśród żołnierzy karność ogniową było bardzo trudno. Wystarczał swawolny okrzyk kogoś: „bolszewicy atakują", aby ludzie zaczęli wybiegać z ziemianek, i nie patrząc ani celując, strzelać bezładnie a zapamiętale. Przerwać ogień było ciężko, gdyż słowa komendy ginęły w huku strzałów. Zwykle taka strzelanina wywoływała odpowiednią reakcję u bolszewików, którzy zaczynali odpowiadać ogniem karabinowym, a nawet działowym.

Eigentum
Staatsarchiv Danzig

ROZDZIAŁ XIII.

NA NIEBEZPIECZNYM PATROLU.

Niedługo przed pierwszem walnem natarciem na pozycje nieprzyjacielskie przyszedł rozkaz, aby koniecznie schwytać jeńca. Przez kilka nocy z rzędu, chodził pod bolszewickie placówki kapitan Marski-Marjański, samowtór z jednym żołnierzem, w celu pochwycenia jakiejś czujki. Pomimo szaleńczej odwagi, szczęście mu niedopisywało — jeńca nie mógł przyprowadzić. Zkolei ja otrzymałem rozkaz przyprowadzenia bolszewika. Rozkaz otrzymałem o dziesiątej wieczorem w chwili, gdy przykrywałem się płaszczem, zamierzając przespać się. Zakląłem siarczyście, ale musiałem się podnieść i iść na patrol. Ponieważ wiedziałem o nieudałych wyprawach kpt. Marjańskiego, przeto wziąłem nie jednego żołnierza, a cały pluton i wyruszyłem na przedpole.

Noc była ciemna, bezksiężycowa, przepełniona woniami pól i lasów. Żołnierze rozumieli doskonale, że byłoby źle, gdyby nieprzyjaciel dostrzegł nas pierwej, aniżeli my jego, szli przeto ostrożnie i tak cicho, że gdyby kto o kilka kroków oddalił się od oddziału, mógłby się zgubić i zabłądzić. Posuwaliśmy się, jak duchy. Do linji nieprzyjacielskiej było około dwóch kilometrów. Gdy wyczułem, że odległość musiała zmniejszyć się do jakichś 200 lub 300 metrów, zatrzymałem ludzi, nakazałem im paść, a sam udałem się naprzód z jedną sekcją, mając nadzieję, że uda mi się pochwycić jakąś zaspaną czujkę lub patrol łącznikowy. Niestety, pomimo godzinnego włóczenia się tuż pod drutami, nie udało mi się nikogo złapać. Spróbowałem

jeszcze wysłać legjonistę Hornunga, znanego z niesłychanej odwagi, aby spróbował porwać kogo z samych rowów. Hornung po półgodzinie wrócił i zameldował, że bolszewicy mają przed rowami zaciągnięte gęste druty, że podarł sobie tylko portki, ale do linji nie dotarł.

To przekonało mnie ostatecznie, że bez większych ofiar jeńca nie pochwycę, a ponieważ rozkaz był wyraźny, że jeniec musi być, postanowiłem natychmiast uderzyć na bolszewików, porwać pierwszego z brzegu żołnierza i cofnąć się.

Pod osłoną nocy zbliżyliśmy się do samych drutów.

Tysiączne echo leśne pomnożyło stokrotnie nasze krzyki i huki pękających granatów ręcznych. Bolszewikom musiało zdawać się zapewne, że wszystkie siły generała Śmigłego spadły na ich odcinek.

Cały mój wysiłek okazał się jednak bezskuteczny, jeńca nie pochwyciłem. Trudność ta tłumaczyła się tem, że naprzeciw nas stały podówczas wyborowe pułki rosyjskie, składające się z robotników—komunistów. Przez cały czas walk pozycyjnych pod Dźwińskiem o „języka" było niesłychanie trudno.

Z wielkim wstydem cofnąłem się nieco wtył, przyczaiłem się z ludźmy w niewielkim parowie i przeczekawszy silną strzelaninę, udałem się znowu wzdłuż frontu, poszukując tego nieszczęsnego jeńca.

Między okopami leżała mała, zupełnie opuszczona wioszczyna, Połock. W tym Połocku były wielkie sady owocowe, do których zakradali się nocami żołnierze rosyjscy, a czasem nawet i nasi. Przypuszczałem, że może i obecnie znajdę tam jakiego łazika bolszewickiego. Z wielkiemi tedy ostrożnościami otoczyłem wioskę i zacząłem przeszukiwać ogrody i chałupy. Widocznie jednak bolszewicy, wystraszeni niezwykłym ruchem na przedpolu i strzelaniną, siedzieli w okopach i bali się niebezpiecznych wycieczek po jabłka i gruszki — w wiosce nie znalazłem nikogo.

Zrozpaczony niepowodzeniem, postanowiłem do kompanji nie wracać, tylko zaczaić się na dzień w sadach i znowu próbować szczęścia. O tem swojem postanowieniu zawiadomiłem

dowódcę kompanji, ten jednak kazał mi zaraz wracać, gdyż jeńca schwytał już ktoś inny.

Zaczęło się robić widno, gdy zameldowałem swój powrót.

Podporucznik Sowiński widząc moją strapioną minę zapytał:

— Cóż to tak nos spadł ci na kwintę?

Zakląłem brzydko.

— Całą noc, cholera, włóczyłem się, dwóch rannych w plutonie mam i nic. Któż tego draba złapał, o którym mówiłeś przez łącznika?

Sowiński zaczął śmiać się głośno, łapać za boki i aż z uciechy zataczać.

— Ha, ha, ha, wyobraź sobie, że nikt.

— Jakto nikt? — zapytałem zdumiony.

— No nikt.

— Mów, do djabła!

— Sam przyszedł, mój drogi, sam. Przyszedł sobie do naszych okopów i powiada: „nadojadło mi u chamów służyć i razowy chleb ćpać, przyszedł więc ja do was, do panów".

Zły byłem na bolszewika, że przyszedł sam, a ja przez całą noc nie mogłem złapać nikogo.

— Zadrwił sobie z nas wszystkich, a najwięcej z Marskiego, bo ten przez trzy noce łaził po lesie i nic nie zrobił.

Sowiński zaczął śmiać się znowu.

— A żebyś wiedział, jaki Marski był wściekły na tego draba! Nie masz pojęcia.

Pocieszywszy się nieco, że Moskal zadrwił sobie nietylko ze mnie, ale jeszcze i z kogo innego, poszedłem spać.

Spałem oczywiście przez cały dzień i obudziłem się dopiero w nocy. Prawdopodobnie nie obudziłbym się i w nocy, a spałbym do drugiego rana, gdyby nie to, że przyszedł żołnierz z jakąś kartką.

Przetarłem oczy i zacząłem czytać.

Jeszcze nie doczytałem końca, gdy wytrzeźwiałem momentalnie i zerwałem się na równe nogi.

Tej nocy spodziewany był atak gazowy!

Brrr! Gazy.

W pułku nie było ani jednej maski gazowej.

Kartka zawierała dość prymitywny sposób obrony. Przed okopami trzeba było układać wielkie kupy słomy i chrustu, które należało w chwili ataku podpalić. Miało to pomagać. Jako drugi sposób, równorzędny, polecono zbierać mocz ludzki w beczki i ustawiać je w okopach. W moczu tym miało się maczać chustki i obwiązywać sobie niemi nos i usta.

Pobiegłem natychmiast do okopów i wkrótce straszne słowa „atak gazowy", przebiegły wzdłuż linji.

Nie było pod ręką beczek na mocz, ani chrustu, więc żołnierze co prędzej zaczęli opróżniać puszki z konserwami i zapełniać je drogocennym płynem. Kto nieoględnie a rozrzutnie pozbawił się, na krótko przed wiadomością o napadzie tak potrzebnej wilgoci, biegał teraz, jak szalony, po rowach i prosił o pożyczenie mu choć paru kropelek.

Była to obrzydliwa noc. Nikt nie spał. Wszyscy wyczekiwali napadu w nerwowem podnieceniu i nad ranem, kiedy spodziewaliśmy się, że lada chwila dojdą naszych uszu uderzenia w gongi, porozmieszczane koło czujek, znak o zbliżaniu się chmur gazów, wolałbym żeby nastąpiło to już natychmiast. Przypuszczałem, że nic gorszego od tego ohydnego, świadomego czekania na śmierć, nastąpić nie może.

Napadu gazowego jednak nie było ani tej nocy, ani następnej, ani żadnej innej w czasie mego wojowania z bolszewikami.

Alarm miał tylko ten skutek, że wkrótce potem dostaliśmy świetne maski gazowe francuskie, umieszczone w niezgrabnych i niewygodnych puszkach blaszanych.

ROZDZIAŁ XIV.

NATARCIE NA DYNEBURG.

Już na kilka dni przed 27 września 1919 r., dniem natarcia na bolszewickie przedmoście Dyneburga, krążyły wśród oficerów wiadomości o zamierzonem uderzeniu, o sprowadzeniu z Łodzi czołgów i o przyjeździe generała Rydza-Śmigłego, który osobiście miał kierować działaniem.

Wśród żołnierzy, starych wyjadaczy, dawno już panowało zdziwienie, że siedzimy w rowach strzeleckich, nie próbując zająć miasta, a przynajmniej wyrzucić nieprzyjaciela za Dźwinę. W przeddzień natarcia stało się wiadomem, że pójdziemy naprzód. Wiadomość tę przyjęto jako coś naturalnego, coś, co właściwie już dawno powinnoby się stać.

Na dzień przed natarciem przyszli zwiedzić nasze pozycje oficerowie francuscy od czołgów. Czwarta kompanja zajmowała odcinek tuż przy wsi, przy drodze, i dlatego zapewne zjawili się w niej ci oficerowie. Ponieważ w dzień bolszewicy rzadko strzelali, chodziliśmy po nasypie okopów, a nawet niekiedy zmienialiśmy we dnie czujkę podsłuchową, wysuniętą o kilkadziesiąt metrów naprzód. Zachciało się tym oficerom pójść aż do tej czujki. Początkowo bolszewicy zachowywali się spokojnie, Francuzi mogli więc bezpiecznie obserwować teren lornetkami. Spokój jednak trwał krótko. Już w kilkanaście minut później zaczęły padać gęste strzały, które oficerowie francuscy przyjęli padnięciem plackiem na ziemię. W tej okazji znaleźli się bardzo pięknie nasi żołnierze z czujki: wyskoczyli z rowu, zaprosili tam oficerów

a sami, w gradzie kul, stali odważnie obok. Na szczęście nikt nie został zabity ani ranny.

Dnia 27 września rano, jeszcze przed świtem, usłyszeliśmy głuche dudnienie, a wkrótce potem ukazały się naszym oczom potworne czołgi, powoli pełznące. Przy okopach zatrzymały się chwilę. Żołnierze oglądali je po raz pierwszy, natchnęły ich one pewnością zwycięstwa i poczuciem potęgi naszego wojska.

O godzinie czwartej rano pięćdziesiąt armat polskich, zgrupowanych pod Dyneburgiem, rozpoczęło groźny, huraganowy ogień. Kilkukilometrowy front bolszewicki na przedmościu dźwińskiem stanął w ogniu. Przerażone baterje rosyjskie zaczęły nieśmiało odpowiadać, lecz ich przeciągłe, złe ujadanie, ginęło w nieprzerwanym huku polskich dział. Nasz pociąg pancerny podjechał niemal nad sam brzeg Dźwiny i prażył polówkami wraże stanowiska.

Wyborowe oddziały komunistyczne ogarnął strach. Na kilka chwil cała ich linja rozgorzała silną strzelaniną karabinową i zjadliwym, a natrętnym terkotem maszynek. Jeszcze nie zdążyły jednak nasze tyraljery dopaść drutów, gdy Rosjanie pierzchli w nieładzie.

Podczas tego pierwszego natarcia został ranny podporucznik Klepacki z trzeciej kompanji, oraz podporucznik Bethley, który zmarł później w szpitalu. Śmierć podporucznika Bethley'a, w pułku bardzo lubianego, człowieka niesłychanie cennego tak pod względem zdolności wojskowych, jak i zalet osobistych, wywołała wiele komentarzy i gadania o stosunkach panujących w naszem ówczesnem szpitalnictwie wojskowem.

Nad samą rzeką, w pobliżu mostu, bolszewicy próbowali opierać się. Opór jednak trwał krótko, gdyż impet naszej piechoty był nie do powstrzymania. Został tam ranny w nogę jeden z oficerów francuskich.

Opowiadano mi potem, że Francuzi nie chcieli puścić czołgów przez drewniany most, gdyż uważali to za szaleństwo. Miało tam podobno dojść do wymiany zdań między nimi, a ma-

jorem Dębem-Biernackim, który zawsze robił „szaleństwa" i zawsze bolszewików bił.

Trzecia kompanja naszego pułku, wraz z plutonem karabinów maszynowych, idąc bolszewikom na karku, wpadła za nimi na most i doszła do miasta. Chwilę tę uwiecznił aparatem fotograficznym kapelan pułkowy, ksiądz Tyczkowski, który, jak rzadko jaki kapelan, zawsze znajdował się w pierwszej linji.

W tym czasie jakoś, a było to jeszcze przed południem, bolszewicy opatrzyli się z pierwszego przerażenia i zaczęli obrzucać pociskami artyleryjskiemi drewniany most. Po chwili most ten stanął w płomieniach. Wtedy żołnierze nasi, znajdujący się na drugim brzegu, zaczęli cofać się. W nocy poszedł patrol po zwęglonych przęsłach szukać trupów i przyniósł je na brzeg. Między innymi był tam trup szeregowca, który jeszcze po śmierci trzymał mocno, w zaciśniętych rękach, miotacz granatów, powszechnie zwany „bombomiotem".

W tym dniu zlikwidowaliśmy ostatecznie dźwińskie przedmoście i opanowaliśmy lewobrzeżne przedmieście, zwane Grzywa. Samo miasto, leżące na drugiej stronie rzeki, zostało zdobyte dopiero w cztery miesiące później. Zdobył je również pierwszy pułk, przechodząc rzekę po lodzie.

Kiedy wybiegłem z lasu na nadrzeczną równinę, rzucił mi się w oczy okropny widok. Tuż przy drodze klęczał jakiś bolszewik, którego twarz przedstawiała jedną krwawą ranę. Nieszczęsny kręcił głową, jakby się czemuś dziwując. Gdy podszedłem doń bliżej, zauważyłem, że odłamek granatu urwał mu całą brodę, nos i kawałek szyi.

Przez pierwszych kilka dni po natarciu czujnie baczyliśmy, czy nieprzyjacielowi nie przyjdzie ochota wyprzeć nas z nowozajętych pozycyj, lecz wkrótce przekonaliśmy się, że nie żywi on takich zamiarów.

ROZDZIAŁ XV.

NA „HINTERLANDZIE".

Dziennik personalny, w którym było umieszczone mianowanie mnie podporucznikiem, zawierał równocześnie przeniesienie do 2 p. p. leg. Przenosiny te nastąpiły zupełnie bez mojej i pułku wiadomości, a były następstwem tego, że w legjonach służyłem właśnie w tym oddziale.

Nie miałem wcale chęci jechać do drugiego pułku, ani wogóle zmieniać przydziału, gdyż w 1 p. p. leg. zaklimatyzowałem się i czułem się w nim, jak w rodzinie. Przez kilka miesięcy nie zgłaszałem się wcale po dokumenty, a dowództwo pułku, nie chcąc pozbawiać się oficera, również nie wydawało mi rozkazu. Trwało to tak aż do września, czyli do czasu, w którym zaczęły nadchodzić surowe rozkazy w sprawie natychmiastowego regulowania otrzymanych przydziałów. Rad nie rad, musiałem udać się na nowe miejsce przeznaczenia. Jeszcze przed wyjazdem złożyłem podanie do Ministerstwa Spraw Wojskowych o ponowne przeniesienie do 1-go pułku. Nie czekając na wynik prośby wziąłem dokumenty i udałem się najpierw na urlop, a potem do bataljonu zapasowego 2 p. p. leg., stacjonowanego w Piotrkowie.

Wsiadłem do wagonu w pobliżu stacji Turmonty i po kilkunastogodzinnej jeździe dotarłem do Wilna. W mieście wciąż jeszcze stało dowództwo 1 dywizji piechoty legjonów i kwaterował generał Śmigły.

Między Wilnem a Warszawą pociągi kursowały normal-

nie, czego nie można byłoby powiedzieć o połączeniach w kierunku Dyneburga.

W Warszawie znalazłem się w pierwszych dniach października. W tym czasie wojsko nasze posiadało najbardziej różnolite ubrania. Oprócz mundurów polskich noszono również francuskie i austrjackie, a także rosyjskie, zaledwie zlekka przerobione. Maciejówki, rogatywki wzoru używanego dzisiaj, hallerowskie, „poznańskie", czapki angielskie i furażerki, mundury niebieskie, „khaki", mundury ochronnego koloru rosyjskiego, niemieckiego i austrjackiego, tworzyły jedyną w swoim rodzaju pstrokaciznę. Na dobitek wszystkiego, krawcy nie umieli szyć mundurów podług nowych wzorów polskich i każdy na swój sposób interpretował wydane w tym kierunku przepisy. Nie jest to wcale żart, że w owym czasie trudno było znaleźć dwóch żołnierzy, a tembardziej dwóch oficerów, ubranych jednakowo.

Żołnierza przybyłego z frontu, gdzie panował wielki brak oficerów i gdzie bataljonami dowodzili młodziutcy porucznicy, a pułkami równie młodzi kapitanowie, uderzał niemile natłok oficerów na tyłach, a zwłaszcza w stolicy. Trudno było przejść przez główne ulice, tylu kręciło się wyższych oficerów, których, niestety, w całej 1 dywizji piechoty legjonów znajdowało się coś 2-ch czy 3-ch.

Po ukończeniu urlopu zameldowałem się u dowódcy bataljonu zapasowego 2 pułku piechoty w Piotrkowie. Był nim jakiś starszy wiekiem kapitan z dużemi wąsami, silnie uczernionemi. Zostałem przydzielony, jako młodszy oficer, do kompanji porucznika Zielińskiego. Wkrótce potem wskutek cichej walki, jaką prowadzili niektórzy oficerowie tego bataljonu z dowódcą, ten ostatni został przeniesiony, a dowództwo objął major Stawarz, przysłany z pułku, z frontu. Majora Stawarza, oficera dawnej II brygady legjonów znałem jeszcze z czasów wielkiej wojny.

Bataljon zapasowy, w którym przeciętnie znajdowało się po 2 do 3 tysięcy ludzi, kwaterował i był szkolony w okropnych warunkach. Koszary stare, budowane jakoby jeszcze za

„polskich" czasów, wilgotne, brak sienników, koców i wszelkiego sprzętu kwaterunkowego — oto główne cechy tych warunków. Wielu żołnierzy nie chodziło na ćwiczenia, gdyż nie miało trzewików, wielu chorowało, a jeszcze więcej siedziało w aresztach za różne przewinienia, z których „samowolne oddalenie się od oddziału" trzymało prym. Ciągłe zapotrzebowania na „marszówki" doprowadzały do tego, że poza musztrą formalną i odrobiną luźnej żołnierza nie można było niczego innego nauczyć. Największe wysiłki oficerów nic tu nie mogły pomóc. W koszarach panowała taka atmosfera, że wyjazd na front uważano za największą nagrodę, zresztą, był to skutek nietylko złych warunków, lecz w równej mierze pobudek patrjotycznych i wielkiego zapału wojennego, ożywiającego młode pokolenie.

W Piotrkowie zdarzyło mi się to, co młodemu człowiekowi wcześniej czy później zawsze zdarzyć się musi — zakochałem się. Byłoby to jeszcze pół biedy, gdyby nie to, że jednocześnie zgoła inna niewiasta zakochała się we mnie. To już było gorzej. Po pewnych tarapatach, jednej z nich wytłumaczyłem, żeby sobie wybiła mnie z głowy, a drugą starałem się przekonać, że kocham ją mocno i stale. Dziwny splot różnych zdarzeń i przemyślań spowodował, że nie ożeniłem się z Ewą ani wtedy, ani później. Wiele myślałem nad tą swoją pierwszą miłością w życiu, wiele zastanawiałem się nad słodkiem wspomnieniem gorących zachwytów, nad głębokiemi, opalowemi oczami tej dziewczyny i wiele razy ogarniał mnie żal do samego siebie za lekkomyślne ominięcie szczęścia. Być może, że życie moje z kobietą u boku popłynęłoby innem korytem, być może, że nie byłoby tak barwne, więcej jak pewne, że nie pojechałbym wówczas nigdy do pięknych dżungli Brazylji, nie przemierzałbym uroczych piasków Senegalu, ani nie wędrował po skalistych górach Małego Atlasu. Kto jednak potrafi odpowiedzieć na pytanie: „co to jest szczęście"?

Kilkumiesięczny pobyt w Piotrkowie był dla mnie chwilą przełomową. Do tego czasu byłem młodym chłopcem, którego nic poza sprawami wojska nie interesowało, albo interesowało tylko w małym stopniu. W Piotrkowie zmieniłem się

gruntownie, na życie i jego zjawiska zacząłem patrzeć poważnie.

W owym czasie na terenie b. okupacji austrjackiej oficerowie dostawali gażę w koronach, przytem obliczano tę pensję tak, że dostawaliśmy o kilkanaście procent więcej, aniżeli w b. okupacji niemieckiej, gdzie płacono markami. Materjalne położenie oficerów było wtedy dość dobre i nie słyszało się wcale, tak powszechnych poźniej narzekań na złe uposażenie.

Dowódcą okręgu generalnego Kielce[1]) był generał Roja. Podczas mojego pobytu inspekcjonował raz garnizon piotrkowski, swoim sposobem tę inspekcję przeprowadzając. Sposób ten polegał przedewszystkiem na dokładnem obejrzeniu wszystkich ubikacyj przeznaczonych na żywność i magazyny, przytem wszelkiego rodzaju funkcyjnym oberwało się niemało. Generał specjalnie wykwintnych słów nie dobierał na wyrażanie swego niezadowolenia i obszerne podwórze koszarowe, aż grzmiało od soczystych określeń.

W grudniu objąłem dowództwo szkoły podoficerskiej. Od tego czasu datowała się moja wytężona praca. Na krótko przed opuszczeniem bataljonu znalazłem się w kompanji kapitana Cybulskiego.

W ostatnim dzienniku personalnym z 1919 roku pomieszczony został rozkaz o moim ponownym przydziale do 1 pułku piechoty legjonów. Znaczyło to, że podanie skierowane do ministerstwa jeszcze z pod Dyneburga uzyskało przychylną opinję moich przełożonych, a co zatem idzie zostało uwzględnione. W 1919 roku dziennik personalny nie był jednak otaczany takim szacunkiem jak dzisiaj, bo gdy zgłosiłem chęć udania się na nowe miejsce przydziału, adjutant bataljonu, porucznik Ilg, wyśmiał się ze mnie.

— Co? pan myśli, że pan pojedzie?

Zrobiłem zdumiony wyraz twarzy.

— No, jakto? Przecież w rozkazie stoi jak wół...

Porucznik Ilg machnął ręką.

---

[1]) Piotrków należał wówczas do D. O. G. Kielce.

— Rozkaz rozkazem, ale to, że w bataljonie oficerów brak, to też jak wół w raportach stoi.

Zląkłem się nie na żarty, że zatrzymają mnie jeszcze Bóg wie, jak długo, więc zacząłem się kłócić.

— A co mnie, drogi adjutancie, obchodzi to wszystko? Starajcie się o oficerów.

Adjutant uśmiechnął się dobrodusznie.

— To też staramy się, jak możemy, najlepszy macie dowód w tem, że bataljon nie puszcza was.

Obawy, że zatrzymają mnie w Piotrkowie jeszcze długo, spełniły się. Dopiero w marcu udało mi się przezwyciężyć wszelkie trudności, w czem pomogły mi kilkakrotne jazdy do Kielc, gdzie podówczas znajdowało się Dowództwo Okręgu Generalnego.

Człowiek jest jednak zawsze człowiekiem. Skoro uzyskałem już możność wyjazdu na front do swojego 1 pułku, który tak polubiłem w czasie bojów o Wilno i na Białej Rusi, zaczął ogarniać mnie żal za Piotrkowem, a właściwie za tą moją miłością. Ostatnie dni przed wyjazdem zatruwałem sobie wyrzutami, że oto sam przyczyniłem się do tego, że teraz spotykam Ewę z czerwonemi od płaczu oczami i z niemym w nich wyrzutem.

Zlikwidowałem wreszcie wszystkie sprawy w Piotrkowie, wsiadłem do pociągu i z cierniem głęboko tkwiącym w sercu wyruszyłem znowu na wojnę.

ROZDZIAŁ XVI.

W PRZEDEDNIU WIELKIEJ OFENSYWY.

W połowie marca 1 pułk znajdował się w Dyneburgu. Po zdobyciu tego miasta 3 stycznia 1920 r., przeszedł on ciężką kampanję zimową na terenach dzisiejszej Łotwy, a dawnych naszych Inflant. Stoczył tam dziesiątki bitew i potyczek, krwawiąc w obronie sprzymierzonej republiki łotewskiej.

Zima 1920 roku była sroga. Setki żołnierzy szło do szpitali z odmrożonemi rękami, nogami, uszami. W olbrzymich zaspach śniegu stoczył 1 pułk wiekopomny bój pod Lanckoroną. Po pas zapadając w białe puchy chadzały nasze tyraljery, a maszerujące kolumny piechoty przemieniały się w nieprzejrzane sznury idących pojedyńczo, jeden za drugim, żołnierzy. Bitwy przybierały jakiś dziwny, zgoła niefachowy charakter.

Po twardej służbie w czasie wielkich mrozów zaznawał pierwszy pułk spoczynku. Ale zaznawał go krótko. W drugiej połowie marca nadszedł rozkaz, nakazujący natychmiastowy odjazd do Baranowicz.

Tak się zdarzyło, że mniej więcej w tym czasie, gdy wyjeżdżałem z Piotrkowa, pułk wyjeżdżał z Dyneburga. Spotkaliśmy się w Wilnie. Transporty z żołnierzami i taborami właśnie dojeżdżały do stacji, gdy wysiadałem z pociągu. Nie udałem się jednak wraz z pułkiem, tylko zatrzymałem się w Wilnie, mając tam do załatwienia pewne sprawy.

Gdy w dwa dni później przyjechałem do Baranowicz, pułk wymaszerował już do okolicznych wsi na kwatery. Dowództwo

pułku i pierwszy bataljon ulokowano cztery kilometry od stacji, w miasteczku Nowa Mysz.

Bataljonem dowodził wówczas kapitan Jankowski-Jasiński; pierwszą kompanją por. Romańczuk, drugą kapitan Marski-Marjański, trzecią por. Harasimowicz, czwartą podporucznik Nowicki, zwany „senjorem", w odróżnieniu od swego brata „juniora", zabitego w bitwie pod Mejszagołą. Z oficerów młodszych byli: ppor. Policzkiewicz, ppor. Gutkowski, ppor. Bielski, ppor. Klepacki, ppor. Nowacki, ppor. Jarosz, ppor. Soja i ppor. Wasiutyński, który zginął potem w bitwie pod Sejnami. Kompanją karabinów maszynowych dowodził ppor. Emil Fildorf, mając, jako oficerów młodszych, podporuczników: Supińskiego i Balińskiego.

Kapitan Jankowski (zginął potem na Ukrainie) uważając, że skoro przyjeżdżam z tyłów, muszę być specjalnie dobrym instruktorem, kazał mi prowadzić kurs doszkolenia podoficerów. Douczałem tedy przez kilkanaście dni, klnące na czem świat stoi, wszystkie szarże bataljonu, niezadowolone z tych nieprzewidzianych zupełnie zajęć. Przydział dostałem do 1 kompanji i w niej już pozostałem do końca wojny.

Tak jak w byłej okupacji austrjackiej dostawaliśmy gaże w koronach, wychodząc na tem bardzo dobrze, tak znowu tam wszędzie, gdzie sięgała ręka intendenta kpt. Thorna, dostawaliśmy je w carskich rublach, wychodząc na tem jeszcze lepiej, gdyż wypłacano nam tyle rubli, ile należało się marek, a rubel podówczas był wart przeszło 2 marki polskie. W takich warunkach nikomu pieniędzy nie brakowało i wszyscy bawili się ochoczo, każdy na swój sposób.

Specjalnie hucznie obchodziliśmy święta Wielkiej Nocy. Kapitan Jankowski kazał ludności cywilnej całą Nową Mysz wyczyścić starannie i przystroić zielenią. Tamtejsi Żydkowie twierdzili kategorycznie, że miasteczko nigdy nie wyglądało tak czysto i porządnie — „nawet za Niemca" — dodawali z zachwytem, aby położyć kres wszelkim wątpliwościom.

Tajemnice wojskowe były u nas dobrze strzeżone, czego niewątpliwym dowodem był fakt, że chociaż do zdobycia Kijowa brakowało zaledwie kilka tygodni, to jednak u nas, w ba-

taljonie, o przygotowywanej ofensywie wiedziano bardzo mało, prawie nic. Coś tam przebąkiwano, że pojedziemy na Ukrainę, że będzie podobno jakiś ruch na froncie, ale nikomu nie przychodziło nawet do głowy, aby miało to oznaczać posunięcia tak ważne, o historycznem znaczeniu. Nawet wtedy, gdy załadowano nas do wagonów, nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie wysiądziemy.

W roku 1920 wiosna nadeszła wczesna. Kiedy w początku kwietnia nasze długie transporty opuszczały Baranowicze, wszystkie lasy były już zielone, a upał dokuczał porządnie. Jechaliśmy linją kolejową przez Łuniniec do Zwiahla. Droga ta, którą normalnie można odbyć w kilkanaście godzin, trwała trzy dni. Oficerowie pierwszego bataljonu zajęli jeden otwarty wagon, czyli tak zwaną „lorę" i, naładowawszy siana i słomy, grali w karty od chwili wyruszenia, aż do przybycia na miejsce przeznaczenia.

W Zwiahlu zastaliśmy już takie mnóstwo wojska, że o kwaterach w spalonym do połowy mieście, nie było co marzyć. Rozłożyliśmy się tedy poza miastem, w namiotach. Odcinek przed Zwiahlem zajmował 26 p. p. ze składu 7 dywizji piechoty. Jeszcze podówczas nie mieliśmy pewnych wiadomości o ofensywie i wciąż jeszcze przypuszczaliśmy, że przysłano nas do reperowania frontu, na który bolszewicy mieli usilnie nacierać. Jednak już tego dnia, w którym przybyliśmy, doszły nas słuchy, że Rosjanie zostali na przedpolu Zwiahla pobici, co pozwoliło się domyślać, że będziemy mieli jakąś większą ofensywę. Jakoś na krótko przed akcją na Kijów odszedł od nas kpt. Jankowski do 6 pułku piechoty, a dowództwo bataljonu objął po nim dowódca 2 kompanji, kpt. Marski-Marjański. Od tego czasu, aż do śmierci, dowodził kompanją drugą ppor. Wasiutyński. Do Zwiahla przyjechał z urlopu ppor. Sowiński, lecz w pułku nie pozostał i więcej już do niego nie wrócił.

W przeddzień ofensywy mieliśmy odprawę w dowództwie bataljonu, na której dowiedzieliśmy się o zamiarach i planach Naczelnego Wodza. Na wieść, że mamy iść daleko na wschód, w ziemie deptane kopytami nieporównanej jazdy dawnych

hetmanów polskich, w ziemie uparcie bronione przez Wiśniowieckich i Sobieskich, iść szlakiem Chrobrego do złotych bram Kijowa, ogarnął nas niepomierny entuzjazm i duma, że nam właśnie to szczęście przypadło w udziale. To, że Kijów zdobędziemy, że Ukrainę prawobrzeżną, a kto wie, może i Zadnieprze, od moskiewskiej tyranji oswobodzimy, było dla nas rzeczą pewną. Gdyby nas wtedy kto chciał przekonać, że w półtora miesiąca później będziemy już zdobyty Kijów opuszczać, wyśmielibyśmy go i wydrwili. Rozpierała nas tężyzna, siła i pewność siebie. Przyszłość jednak pokazała, że mało być wojskiem odważnem i pewnem siebie, trzeba być przynajmniej tak licznym, jak nieprzyjaciel.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy zgromadzeni w niskiej izbie przedmiejskiej chałupiny, z bronią przy boku, w bojowych hełmach na głowie, staliśmy pochyleni nad mapą dowódcy bataljonu, który objaśniał pierwszy okres ofensywy.

— O drugiej w nocy wyruszamy, a za trzydzieści godzin będziemy w zdobytym Żytomierzu — rzucił twardo i pewnie kpt. Marski.

W kilka godzin potem cały Zwiahel drżał od miarowego stuku maszerującej piechoty i głuchego hurkotu ciągnącej w kierunku frontu artylerji.

ROZDZIAŁ XVII.

SZLAKIEM CHROBREGO.

Ciemno jeszcze było zupełnie, gdy oddziały 5 pułku piechoty uderzyły na odcinek bolszewicki pod Zwiahlem. Uderzenie to zrobiło wrażenie uderzenia w papierową ścianę — front prysł po kilkunastominutowej walce. Najwidoczniej nie uszły uwagi bolszewików nasze poprzednie przygotowania, odbierając im odwagę i chęć do walki. W ciemnościach, w splątanej masie nieprzeliczonych taborów, kolumn samochodowych i artylerji, przeciskaliśmy się z trudem w kierunku wyznaczonego miejsca zbiórki. Jak zwykle przed większemi operacjami, panowała w wojsku powaga i cisza.

Pierwszy pułk piechoty otrzymał rozkaz załadowania się na samochody w pobliżu Kropiwnej, wsi leżącej w odległości kilku kilometrów od Zwiahla. Pomimo tego, że na samochody, które nam dostarczono, pakowaliśmy po tylu ludzi, ilu się zmieściło, dla III bataljonu już miejsca zabrakło i musiał on maszerować z 5 pułkiem na piechotę. Punktem końcowym pierwszego okresu ofensywy był dla nas Żytomierz, jednak marszrutę doń mieliśmy wytkniętą nie szosą, lecz drogą boczną. Droga była piasczysta, dla samochodów niesłychanie ciężka, to też wciąż musieliśmy schodzić, i wyciągać koła z piasku i różnych dziur. Przed piechotą jechał samochód pancerny, a zaraz za nim parę lekkich „Fordów" z żołnierzami, którzy nakazywali chłopom z przydrożnych wsi poprawiać chwiejne mostki. W tamtych stronach mieszka wielu kolonistów Niemców i Czechów, którzy mając bardzo mało

wspólnego z bolszewizmem i nienawidząc go, chętnie zbiegali się i pomagali nam przebywać trudniejsze odcinki drogi. Olbrzymia ilość samochodów, o różnej dobroci silnikach i szoferach, rozciągnęła się na przestrzeni kilku kilometrów. Jak okiem sięgnąć, widziało się tylko chmury kurzu i słyszało nieustanne, głuche warczenie silników.

Jechaliśmy przez jakieś wioski, mijając je i nie pytając nawet o nazwę. Przed większą miejscowością, Sokołowem, zobaczyłem kilka trupów leżących przy drodze, a nieco dalej musiałem zatrzymać samochód, aby dać parę salw w kierunku umykającego w dali kawaleryjskiego oddziału rosyjskiego. Mieliśmy jednak rozkaz posuwania się tak szybko, jak tylko jest to możliwe, więc nie bawiąc się w żadne przeszukiwania wiosek czy miasteczek, jechaliśmy coraz dalej, spadając na nieszczęsnych bolszewików wcześniej jeszcze, aniżeli wieść o naszym niesłychanym zagonie samochodowym dojść ich mogła.

Stare gruchoty, z jakich składała się nasza kolumna samochodowa, nie mogły jednak wytrzymać długiej podróży po piaskach i dziurach wołyńskiej drogi. Coraz częściej zaczęły stawać, coraz częściej szoferzy musieli coś tam w nich poprawiać, aż wreszcie ten i ów wóz okazywał sie niezdatny do użytku. W odległości 10 kilometrów od miasteczka Wilska, również i mój samochód stanął, a szofer oświadczył krótko:

— Panie poruczniku, nie da rady jechać dalej.

Zakląłem siarczyście, a brzydko i wysłałem natychmiast ludzi do pobliskiej wsi po podwody. Ponieważ nie znałem dokładnie tamtejszych wsi, przeto nie spodziewałem się dostać podwód, sądząc, że chłopi już dawno schowali wszystkie konie w lesie. Pomaszerowałem tedy, wyciągając nogi i pocąc się porządnie. Obliczenia moje co do przezorności chłopów nie okazały się jednak zupełnie ścisłe, gdyż w pół godziny potem dopędzili mnie żołnierze, prowadząc z sobą piętnaście wozów.

Nasz samochód pancerny, jadący na przedzie, wjechał do Wilska, zajętego jeszcze przez oddziały bolszewickie, nic nie wiedzące o naszych dotychczasowych powodzeniach, a więc nie spodziewające się nieprzyjaciela w odległości 40 kilometrów od frontu. A front ten był przecież niewzruszony jeszcze

kilka godzin temu! Nic też dziwnego, że widząc samochód w konstrukcji identyczny z sowieckiemi, zaczęto się zbiegać zewsząd do niego, biorąc go za swój. Tymczasem załoga, dopuściwszy ich na odległość paru kroków, otworzyła ogień z karabina maszynowego, kładąc całe szeregi trupów. Na odgłos strzałów zatrzymały się nadjeżdżające z czwartą kompanją samochody ciężarowe, żołnierze wyładowali się, a dowódca rzucił ich niezwłocznie na miasteczko. Robota była krótka, gdyż nieprzyjaciel, przerażony tym niespodziewanym atakiem, pierzchał natychmiast albo poddawał się. W ten sposób został zajęty Wilsk. Kiedy nadjechałem, w miasteczku panował już zupełny spokój.

Zanim pościągały wszystkie samochody, pozjeżdżały podwody wiozące żołnierzy, dołączyli wszelkiego rodzaju łazicy i maruderzy, zaczął zapadać mrok. Do Żytomierza, czyli do punktu, na którym miał się skończyć pierwszy okres ofensywy, pozostawało nam zwykłą drogą przez Kamionkę tylko 15 kilometrów; jednak dalej również mieliśmy iść nie drogą najbliższą, lecz wykonać obejście i uderzyć na Żytomierz od strony Kijowa. Czekał nas wskutek tego marsz nie piętnasto, a dwudziestokilko-kilometrowy.

Z Wilska wyruszyliśmy przed samą północą, robiąc tem wielką niespodziankę wszystkim śpiochom i notorycznym niedołęgom, którym zdawało się niemożliwe maszerowanie dniem i nocą. Skierowaliśmy się na Wyszpol, Hoholewkę i Smokówkę. Pod Wyszpolem stoczyliśmy pierwszą większą w tej ofensywie potyczkę. Na czele szła kompanja czwarta z ppor. Nowickim, jako dowodcą, i świetnym młodszym oficerem, ppor. Bielskim. Początkowo nieprzyjaciel cofnął się, lecz w kilkanaście minut potem ruszył do przeciwnatarcia. Pierwsza kompanja (w której znajdowałem się podówczas jako młodszy oficer) stała już we wsi, gdy bolszewicy, krzycząc donośnie swoim zwyczajem „ura, ura", rzucili się na czwartą kompanję. Kule zagwizdały żałośnie między domami i jęły wyśpiewywać swoją muzykę. Jakby w odpowiedzi na te jękliwe tony zaterkotały nasze maszynki. W pewnej chwili dobiegł nas i minął podawany z ust do ust, rozkaz „kawalerja na czoło". Za chwilę

przemknął koło nas, jak wicher, oddziałek kawalerji, przydzielony do naszego pułku. Bolszewicy snać uparcie bili się, skoro kapitan Kruszewski uznał za konieczne wysłać czwartej kompanji posiłki. Ruszyliśmy i my. Pierwsza kompanja weszła spokojnie i cicho między opłotki, ogródki i stodółki. Kiedy roztoczyła się przed nami otwarta przestrzeń pól i łąk, pokrytych sinemi dymkami, kompanja sprawnie rozbiegła się w tyraljerę i szła w kierunku wrażych linij. Ale linje te zaczynały się już chwiać i cofać; biegliśmy za niemi przez chwilę, lecz któżby bolszewika dogonił? Wkrótce ściągnęliśmy znowu na drogę i pomaszerowaliśmy dalej. Pod Hoholewką mieliśmy jeszcze krótką przeprawę z kawalerją rosyjską, a niedaleko Żytomierza nielada strachu napędził nam nadjeżdżający pociąg, który początkowo wzięliśmy za pancerny. Jak się potem okazało był to zwyczajny pociąg, wiozący nieco siana i składający się przeważnie z pustych wagonów. Pociąg ten obsypaliśmy strzałami, ale maszynista dodał pary i umknął. W kilka godzin potem i pociąg i maszynista wpadli w nasze ręcę w Żytomierzu.

Dnia 26 kwietnia o godzinie 8 rano dotarliśmy do szosy na wschód od Żytomierza. W kilkanaście minut potem zaatakowaliśmy dworzec kolejowy i samo miasto. Bolszewicy próbowali stawiać opór, pchali jedne linje tyraljerskie za drugiemi, lecz zdemoralizowany żołnierz pierzchał na sam widok naszych hełmów. Atak był tak niespodziewany, że bolszewicy nie zdążyli nic z Żytomierza zabrać. Na stacji zdobyliśmy nieprzeliczoną ilość artylerji i samochodów, załadowanych na wagony i gotowych do wywiezienia w głąb kraju; na przeprowadzenie ewakuacji nie starczyło jednak władzom sowieckim czasu. Kilkanaście pociągów, każdy po kilkadziesiąt wagonów, naładowanych przeróżnym sprzętem, a także osobistemi rzeczami uciekających komisarzy i czerwonych oficerów, przypadło nam w udziale, jako zdobycz wojenna. Rzeczy te zwożono z całego miasta dorożkami, wozami i nawet tramwajami elektrycznemi, które wypchane walizami i różnemi tłomokami, spotykaliśmy potem na wszystkich ulicach miasta. Jeszcze nie zdążyłem rozejrzeć się po stacji, jeszcze w mieście buszowały

oddziały nieprzyjacielskie, gdy dostrzegłem kapitana Thorna, intendenta, jak biegał około zabranego na stacji dobra i krzątał się nad zabezpieczeniem go przed grabieżą.

Z dworca ruszyliśmy do środka miasta, nie wiedząc czy jest ono już zajęte przez 5-ty pułk, który miał uderzyć od strony drogi zwiahelskiej. Gdy wyszliśmy na ulicę Kijowską, jedną z główniejszych ulic Żytomierza, otoczył nas tłum Polaków, a także wrogo względem bolszewików nastrojonych Ukraińców i Rosjan, wznoszących na naszą cześć okrzyki. Pierwszą kompanją, która szła na przedzie, dowodził wówczas porucznik Romańczuk, rodem z Żytomierza. Łatwo sobie wyobrazić, co musiało dziać się w sercu tego żołnierza, gdy wśród tłumu dostrzegł swoją siostrę, a wkrótce potem i narzeczoną. Miasto okazało się już przez nieprzyjaciela opuszczone, to też maszerowaliśmy z pieśnią na ustach, zupełnie bezpiecznie, nie spodziewając się wcale, że w kilka minut potem poniesiemy ciężkie straty.

Jak już wspomniałem, na czele szła pierwsza kompanja, a przed nią jechał na małym wózeczku, gdyż dokuczała mu wtedy stara rana w nodze, dowódca pułku, kapitan Kruszewski. W pewnej chwili z za zakrętu wyjechało pancerne auto i skierowało się na nas. Podobnie, jak bolszewicy poprzedniego dnia w Wilsku nie spodziewali się Polaków, tak obecnie my, nie mogliśmy przypuszczczać, że od strony Zwiahla, od strony naszego 5 pułku, mógłby nadciągnąć inny samochód, niż nasz. Pewność tę wkrótce przypłaciliśmy srogo. Samochody używane przez nas na tym odcinku pochodziły przeważnie ze zdobyczy, a więc dlatego różniły się od nieprzyjacielskich bardzo niewiele; — bolszewickie posiadały czerwone napisy na przedzie, czego nie miały nasze, i to była cała różnica. Nic też dziwnego, że gdy dostrzegłem jadący wóz, nie wątpiłem ani na chwilę, że to nasz, na wszelki jednak wypadek zawołałem w stronę dowódcy pułku.

— Panie kapitanie, czy to nasz samochód?

Nie usłyszałem już żadnej odpowiedzi, natomiast zauważyłem rozpaczliwe machnięcie ręki, które mogło oznaczać

„padnij" i dostrzegłem, jak kapitan zeskoczył z bryczuszki na trotuar. W tym momencie nie potrzebowałem już żadnych wyjaśnień, gdyż z samochodu odezwał się przeciągły, równomierny, twardy terkot karabina maszynowego. W jednej sekundzie ulica pokryła się ciałami zabitych i rannych żołnierzy. W chwilę potem odezwało się parę krótkich wybuchów ręcznych granatów, rzuconych wślad za uciekającym potworem. Tłum żołnierzy, uchodzący ze środka ulicy pod ściany domów, porwał mnie, przewrócił i przykrył dziesiątkiem ciał. Na kilka minut straciłem zupełnie przytomność i z tej strasznej chwili pozostała mi w pamięci tylko wykrzywiona okropnym, nieludzkim jakimś śmiechem twarz kobiety, wyglądającej przez okno pobliskiego domu. Twarz ta zdawała się cieszyć i radować widokiem krwi polskiej, obficie płynącej po bruku. W pół godziny potem dom ten przeszukałem, lecz nie znalazłem nikogo z mieszkańców; było to jedno z licznych biur sowieckich.

Samochód nie zatrzymał się przy nas ani sekundy, lecz oddalił się tak szybko, jak mu silnik pozwolił. Był to jeden z tych wozów pancernych, które walczyły przeciwko 5 pułkowi. Uciekając w kierunku Kijowa, natknął się na moją kompanję. O tem wszystkiem jednak wtedy nic nie wiedzieliśmy i gotowaliśmy się na jakąś walną w mieście przeprawę. Obsadziłem sąsiednie domy, kazałem wiązać w pęki granaty ręczne i przygotowywać miotacze bomb. Nieprzyjacielski samochód nie ujechał jednak daleko, na jednej z najbliższych ulic został przez nasze oddziały zdobyty, a załoga składająca się z dwóch ludzi, zabita. Żołnierze nasi, usposobieni względem wroga walczącego wręcz bardzo łagodnie, do załóg samochodów pancernych, płatowców czy też pociągów pancernych odnosili się nadzwyczaj nienawistnie. Wiedzieli o tem bolszewicy i niejednokrotnie byliśmy świadkami zaciętej obrony tych żołnierzy, nie spodziewających się wielkiej łaski.

Uczuliśmy się zabezpieczeni od wszelkiego rodzaju natarć dopiero wtedy, gdy nadjechało parę dział artylerji ciągnikowej i ustawiło się na jednej z ulic.

Piąty pułk piechoty, dzielny w boju, potrafił jeszcze o tej

swojej dzielności tu i ówdzie wspomnieć, czyli posiada zaletę, na której pierwszemu pułkowi, współzawodnikowi i zarazem przyjacielowi piątego, w zupełności zbywa. Otóż zapewne dlatego, w opisach zdobycia Żytomierza mówi się w niektórych książkach, że wszedł tam pierwszy, witany owacyjnie przez ludność — pułk piąty. Jest w tem pewna, niewielka zresztą, nieścisłość; do centrum miasta, witany owacyjne, wszedł właśnie pierwszy, a nie piąty, pułk piechoty. Oczywista rzecz, że zdobywały go oba jednocześnie i zasługa ich obu jest najzupełniej jednakowa, jednak nie mogłem się powstrzymać od tego małego sprostowania.

Żytomierz, karmiony wiadomościami o Polsce i wojsku polskiem ze źródeł sowieckich, sądził, że nasze oddziały, to jakieś bandy, ubrane w łachmany, nawpół rozbójnicze i żyjące z rekwizycji. Tymczasem zobaczył coś wręcz przeciwnego, coś, co zaskoczyło go zupełnie. Powitaniom licznych tam Polaków i innych narodowości, nieprzyjaźnie do ustroju sowieckiego nastrojonych, nie było końca. Na ulicach słyszało się pochlebne szepty i uwagi. Wielu Rosjan, którzy mieli zamiar, po zajęciu miasta przez Polaków, uciekać gdzieś zagranicę, teraz oświadczało, że ani im się śni jechać dalej, jak do Polski. Oficerów wyrywano sobie na ulicach z rąk, chcąc mieć ich u siebie na kwaterach. Dziewczęta biegały za żołnierzami w sposób zgoła natarczywy.

W parę godzin po zajęciu miasta na murach ukazały się plakaty miejscowej P. O. W., ogłaszającej mobilizację członków.

Na drugi dzień na ulicach rozlepiono mnóstwo proklamacyj. Więc przedewszystkiem zbierały się wielkie tłumy przed odezwą Naczelnego Wodza, wydrukowaną w dwóch językach: polskim i ukraińskim. Nie brakło też czytelników przed odezwami Petlury, ani przed pomniejszemi, wydanemi przez nowe władze polskie.

Do Żytomierza przyjechało kilku korespondentów pism zagranicznych, których niezmiernie interesowały bolszewickie okrucieństwa, popełniane na ludności. Nie trudno było o fakty i dowody tych okrucieństw. W jednem miejscu wydobyto

kilkanaście zwłok, w innem znowu, w podziemiach, odnaleziono trupy pomordowanych Polaków, oskarżonych o rzekome szpiegostwo. Zagraniczni korespondenci fotografowali te dowody i skrzętnie notowali szczegóły w swoich reporterskich grubych notesach.

O okrutnem postępowaniu bolszewików słyszało się wiele rzeczy przez cały czas wojowania, ale na Ukrainie fakty mnożyły się jeden po drugim, aż wreszcie urosły do potwornych rozmiarów. Nie wchodzę w to, w imię jakiej idei popełniano te tysiączne morderstwa, zgwałcenia, pobicia i rabunki. Dla mnie wystarczał sam fakt ich istnienia, aby napełnić mnie obrzydzeniem do społeczeństwa, które pławiło się w tem przez całe lata.

Bolszewicy uciekając zabrali z sobą, w ostatniej niemal chwili, zakładników — Polaków, między którymi znajdował się mąż pani, u której stanąłem na kwaterze. Na szczęście inne oddziały polskie przecięły drogę pociągom uchodzącym z władzami żytomierskiemi oraz zakładnikami i zawróciły je zpowrotem do miasta. Radość nieszczęsnych zakładników była równa rozpaczy bolszewickich komisarzy.

Niedługo popasaliśmy w Żytomierzu. Już na drugi dzień wieczorem otrzymaliśmy rozkaz wymarszu do miasteczka Lewkowa, leżącego o 8 kilometrów na wschód od Żytomierza. W Lewkowie rozkwaterowaliśmy się wygodnie po chatach. W całem miasteczku było zaledwie 8 rodzin polskich, ale tak zruszczałych, że po polsku mówiły bardzo słabo i odróżniały się od Ukraińców tylko religją. Nazywali oni siebie nie Polakami a katolikami. W tamtych okolicach nigdzie bolszewików nie było,przeto wypoczęliśmy porządnie, przygotowując się do dalszej ofensywy na Kijów.

Tymczasem wcześniej od nas pomaszerował 6 pułk legjonów, który już 29 kwietnia rano ruszył szosą w kierunku Kijowa i już w kilka godzin później natknął się na bolszewików pod miejscowością Koczerowo. Wywiązała się walka, podczas której rozbity nieprzyjaciel wycofał się na wschód. Jednocześnie wyruszyła 3 brygada kawalerji, z przydzielonym

1 bataljonem 5 pułku leg., w kierunku na Fastów. Kawalerja doszła do Fastowa w dniu 30 kwietnia, jednak miasta nie zdołała zająć; dopiero na drugi dzień zdobył je wspomniany bataljon piechoty. W walkach o to miasto zginął znany powszechnie i ceniony oficer, kapitan Młot-Parczyński.

Około 1 maja nasz pułk i resztę 5-go podciągnięto bliżej frontu, który tymczasem odsunął się daleko na wschód od Żytomierza. Znaleźliśmy się podówczas w okolicy Zabiełocze — Osowce — Ozieranie — Karabaczyn. Szósty pułk, wciąż znajdujący się na czole, wysłał kapitana Jasińskiego-Jankowskiego (poprzednio służył w 1 pułku) z dwiema kompanjami na wypad, nad rzekę Irpień, gdyż tam właśnie nieprzyjaciel zamierzał bronić Kijowa. Kapitan Jankowski tak zastraszył broniących rzeki, że po krótkim oporze umknęli aż za Dniepr. Okazało się wtedy, że bolszewicy nie mają zamiaru bronić stolicy Ukrainy i że oddziały, pilnujące przepraw na rzece Irpień, były właściwie tylko tylnemi strażami cofających się sił sowieckich.

Wobec wiadomości, komunikowanych przez ludność cywilną, które niezmiennie brzmiały, że Rosjanie Kijów opuścili i że jest on bezpański, podpułkownik Dąb-Biernacki, dowódca 1 brygady piechoty legjonów, postanowił wysłać tam kompanję piechoty w celu stwierdzenia stanu rzeczy. Kompanja ta (8-ma 5 p.p. leg.) wkroczyła do opuszczonego Kijowa 7 maja, zastając tam oddziały 1 pułku szwoleżerów, zajmującego miasto już od rana.

W tym czasie 1 pułk znajdował się od kilku dni w drodze, zmierzając dniem i nocą w kierunku Kijowa. Już o 6 rano 8 maja wkroczyliśmy do tego miasta. Pomimo wczesnej godziny, Bibikowski bulwar, którym szliśmy, przepełniony był tłumem ludzi, witających nas owacyjnie. Kobiety obdarzały nas kwiatami, a ponieważ był to czas kwitnięcia bzów, żołnierze nasi wprost tonęli w powodzi pięknych liljowych kwiatów. Narazie udaliśmy się na dworzec, który w myśl rozkazu operacyjnego miał zająć nasz bataljon.

Żołnierze byli tak zmęczeni, że skoro tylko zatrzymaliśmy się na peronie, wszyscy legli pokotem na ziemię i momentalnie zasnęli. My, oficerowie, udaliśmy się do tuż przy stacji stojącego domu i również pokładliśmy się spać. Kiedy tak błogo spoczywaliśmy, nadjechał samochodem Naczelny Wódz, marszałek Piłsudski. Nikt nie poskoczył do niego zameldować się, ani przywitać, zaledwie oniemiały posterunek alarmowy łupnął obcasami i patrzał na wodza, jak zaczarowany. Komendant wysiadł z samochodu i jął przechadzać się wśród śpiących żołnierzy, okraczając leżących mu na drodze. Upłynęła dobra chwila, zanim któryś z żołnierzy pobiegł budzić oficerów. Pierwszy przybiegł kapitan Marjański, dowódca bataljonu, zaspany i nawpół przytomny. Komendant ani się dziwił, ani nie wyrzekł słowa nagany, zwyczajnie jak człowiek, znający żołnierskie rzemiosło i żołnierski trud. Kiedy ja i reszta kolegów przybiegliśmy do kompanij, marszałek już odjeżdżał. Wstyd nas wtedy ogarnął wielki i żal, że pospaliśmy się jak rekruci; kapitan Marjański wpadł w istny szał — urągał na wszystkie strony i klął w sposób tak wyszukany, że mniej do niego przyzwyczajonym oficerom włosy stawały dęba. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy dał nam wszystkim po trzy dni aresztu koszarowego.

Ze stacji odmaszerowaliśmy do jakiegoś pałacu, który bolszewicy przerobili na koszary, i tam, na Bibikowskim bulwarze, pozostawaliśmy, z małą przerwą, przez cały czas pobytu w Kijowie.

ROZDZIAŁ XVIII.

POLSKIE W KIJOWIE GODY.

Od czasu przegrania przez Rosję wojny, Kijów przechodził nieustannie z rąk do rąk. Sprawowali tam rządy naprzemian Niemcy, Ukraińcy, denikinowcy i komuniści, aż nareszcie w maju 1920 roku przybyli Polacy. Miasto za każdym razem podlegało rabunkom, rekwizycjom i kontrybucjom. Gdy zajmowały je oddziały regularne i karne, to rabowały męty podmiejskie, gdy zaś zajmowały je czerwone pułki komunistyczne lub różowe ukraińskie — rabowali razem z mętami i żołnierze. Jedni Niemcy tylko pozostawili wspomnienie ładu i porządku, ale jednocześnie i niesłychanego ucisku gospodarczego.

Kijowianie, na podobieństwo mieszkańców Żytomierza, zasugestjonowani przez prąsę czerwoną, tak rosyjską jak ukraińską i polską, wyobrażali sobie wojsko polskie, jako naprędce zorganizowane „białogwardyjskie" bandy, dowodzone przez Francuzów i Anglików. Mniemanie to łączono zawsze z okropnościami, jakich wojsko to miało się dopuszczać przy zajmowaniu nowych obszarów. Spodziewano się tedy, że pierwszym krokiem Polaków w Kijowie będzie nałożenie kontrybucji, zrabowanie bogatszych mieszkańców i wywiezienie resztek mienia do Polski. Propaganda sowiecka była prowadzona tak usilnie, że uległo jej nawet wielu Polaków, dobrych patrjotów. Opowiadał mi pewien doktór, przebywający podówczas po stronie sowieckiej (obecnie oficer zawodowy), że opinję mieliśmy tak złą, że gdy nasi rodacy zobaczyli świetnie umundurowane

dywizje, zaopatrzone w doskonałą broń, w pełne oporządzenie, najedzone i karne, wpadli poprostu w szał radości.

Nie mniejszy podziw ogarnął Ukraińców, Rosjan i Żydów, którzy nie mogli uwierzyć, że te świetne pułki—to owe „bandy", owe „polaczyszki", o których bajała im propaganda komunistyczna.

Nowem zdumieniem był brak oficerów obcych.

— A gdzie są Francuzi i Anglicy?—dopytywano się wielokrotnie, nie przypuszczając, aby Polacy potrafili odrazu stworzyć wielki korpus oficerski.

Tego samego dnia mój ordynans wyszukał kwaterę u pewnej rodziny rosyjskiej, mieszkającej przy ulicy Puszkina.

Składała się ona z samych kobiet.

Mężczyźni, jedni zginęli na wojnie, innych rozstrzelali komuniści, jeszcze inni znajdowali się w wojsku generała Wrangla na Krymie. Panie te, aczkolwiek dla Polaków nastrojone bardzo przychylnie, miały o nas wyobrażenie podobne do tego, jakie miał cały Kijów. Niesłychanie je zdziwił napis na moim bilecie wizytowym: „ppor. 1 pułku piechoty legjonów".

— Przecież pan chyba nie jest legjonistą, ani to wojsko, które przyszło do Kijowa, „legjonami" — zapytała jedna z pań.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

— Ależ tak, większość oddziałów w Kijowie to pułki tak zwane „legjonowe". Czemu jednak panią to dziwi? — zapytałem zaintrygowany.

— Byłyśmy przekonane, że legjony to „nieregularne" oddziały — odpowiedziała delikatnie panienka.

Później dowiedziałem się, że „legjony" w propagandzie sowieckiej oznaczały specjalnie krwiożercze bandy. Tę propagandę dawało się odczuć w Kijowie na każdym kroku. Potrafiła ona z doskonale zorganizowanego naszego wojska zrobić jakieś półdzikie, żądne krwi watahy.

Miasto przedstawiało bardzo smutny widok. Nawet w śródmieściu, na ładnej ulicy Kreszczatiku, wiele domów było rozbitych pociskami działowemi, a wszystkie były odrapane i brudne. Handel w mieście prawie nie istniał, cały koncentro-

wał się na dużych placach przedmiejskich, na których dawniej odbywały się targi. Ludność przestała przyjmować papierowe pieniądze, a ponieważ złoto i srebro z obiegu znikło już oddawna, przeto wszyscy powrócili do dawnych form handlu, do handlu zamiennego.

Zubożała przez rewolucję „burżuazja" i inteligencja niosła na targ biżuterję, ubrania i bieliznę, otrzymując wzamian mąkę, kaszę i kartofle. Temi produktami prawie wyłącznie odżywiali się ludzie w Kijowie za czasów naszej bytności. Na targach można było dostać wszystkiego. Szumowiny całej Ukrainy, zrabowawszy ją, gromadziły się w Kijowie i w nim spieniężały swój „krwawo" zapracowany łup. Nie było rzadkością zobaczyć tam bogaty ornat księdza katolickiego, karabelę, kształtem i ozdobami przypominającą stare pamiątki rodzinne z dworów szlacheckich, złote pierścienie herbowe, kolczyki ze wspaniałemi kamieniami i mnóstwo innych przedmiotów ze szlachetnych metali. A przedmioty te często nosiły jakieś dziwne, rdzawe plamy...

Ludność przechodziła straszliwy kryzys głodowy. Twarze przechodniów zdradzały niezwykły stopień wyczerpania i wynędznienia, ubranie ich składało się z łachmanów i to łachmanów brudnych. Przed naszą intendenturą bataljonową, przy ulicy Bibikowskiej, w czasie wydawania chleba, gromadził się zawsze wielki tłum ludzi, obserwujący w milczeniu niezwykły widok dużej ilości białego chleba. Tak, białego! Biały chleb był podówczas w Kijowie czemś tak niezwykłem, jak u nas ananasy lub inne, z dalekich stron sprowadzane, owoce.

Nasi żołnierze, widząc nędzę, a nie orjentując się w tem, że to tylko chwilowy objaw, nabierali coraz to większej dla Rosji pogardy. No i rzeczywiście, porównywając ówczesny stan Kijowa ze stanem przeciętnego miasta polskiego, możnaby nabrać o naszym wschodnim sąsiedzie jak najgorszego wyobrażenia.

Z głodem szła w parze okropna demoralizacja. Nędza zmuszała kobiety do handlowania swojem ciałem, mężczyzn do wszelkiego rodzaju szacherek i oszustw. Nawet odporna na to inteligencja, zmuszona głodem do uległości, wchodziła

ze swojem sumieniem w kompromis, albo pomnażała liczne kadry „sowieckich służaszczych".

Elementy niegdyś zamożne, w dobrym pozostające bycie, a przez rewolucję sproletaryzowane, spodziewały się po przyjściu Polaków złotych gór. Nie wspominając już o przebywających tam rodakach, którzy sądzili, że wraz z wojskiem polskiem przyjdzie dla nich dobrobyt materjalny; to samo przypuszczali liczni Ukraińcy, zwolennicy porozumienia i federacji z Polską, oraz ci Rosjanie, którzy umysłowością tkwiąc w starym porządku rzeczy, uważali nas za awangardę europejskiego kapitału, mającą przynieść w wyniku „jedinuju, niedielimuju Rassiju". Wykolejeńcom tym zdawało się, że przyjście Polaków będzie różdżką czarodziejską, która natychmiast zmieni stosunki i zaprowadzi ogólny dostatek.

Tymczasem tak nie było.

Produktów spożywczych, oczywiście, nikt z Polski nie przywoził, gdyż i w Polsce niebardzo się „przewalało", zaś chłopi okoliczni, lękając się „panów", nie przyjeżdżali ze swemi skromnemi zapasami. Wynikiem tego był wzrost drożyzny, podczas której kupno odrobiny obrzydliwej kaszy, lub napół zgniłych ziemniaków, przedstawiało coraz większe trudności. Na tle braku artykułów pierwszej potrzeby sarkano pocichu i ostatecznie tracono nadzieję, aby kiedykolwiek miały nadejść normalne czasy. Najbardziej zawiedzeni byli „istinno - ruscy" ludzie, którzy najrychlej przekonali się, że Polacy ani nie myślą odbudowywać im „jedinej Rassiei", lecz przeciwnie, zawarli układ z Petlurą w celu stworzenia niezależnej, związanej z Polską układami, niepodległej Ukrainy.

Komuniści, uchodząc z Kijowa, pozostawili w mieście całą sieć szpiegów i agitatorów. W szpiegostwie i agitacji są oni mistrzami, nic też dziwnego, że podczas naszej bytności, bodaj przez cały czas, wychodziło pismo komunistyczne, a miasto stale było zarzucane odezwami zapowiadającemi rychły powrót dawnych panów. Nasza żandarmerja zwalczała tę podziemną robotę jak mogła. Od czasu do czasu alarmowała nas

zapowiedziami powstania ludności, co jednak ani razu się nie sprawdziło.

Pierwszy pułk piechoty otrzymał rozkaz pełnienia służby garnizonowej, a kpt. Wenda (już podówczas inwalida) został mianowany komendantem miasta. Budynek komendantury był dniem i nocą otoczony przez tłum ludzi, pragnących otrzymać przepustki na wyjazd do Polski. Przepustki te wydawano bardzo oględnie, nie chcąc aby do Polski dostawały się elementy niepożądane. Większość chcących wyjechać składała się z Polaków, którzy zjechali się z całej Ukrainy, uciekając przed prześladowaniami rządów komunistycznych. Jednak oprócz Polaków nie brakowało i Rosjan, a zwłaszcza Żydów, którzy, w obawie, że panowanie Polaków może być krótkie, chcieli jak najprędzej skryć się w strony nie objęte pożogą rewolucji społecznej.

Pewnego razu, w nocy, otrzymaliśmy rozkaz porozdzielania kompanij na mniejsze oddziały i zajęcia różnych punktów w mieście. Przez kilka dni spodziewaliśmy się lada chwila wybuchu buntu, napadów, czy też innych jakich wystąpień. Żołnierze otrzymali rozkaz chodzenia po mieście z karabinami i to w miarę możności, po dwóch i więcej. Alarm jednak okazał się fałszywy — nikt w mieście spokoju nie zakłócał i wszędzie panował wzorowy porządek.

Już w kilka dni po zajęciu Kijowa ludzie zaczęli przyzwyczajać się do nowego porządku. Zaczął wychodzić „Dziennik Kijowski" i jakieś pisma rosyjskie, wyśpiewujące hymny pochwalne na cześć „wspaniałego" wojska polskiego.

Wślad za wojskiem przywlokło się do Kijowa mnóstwo różnych kantyn, gospód, Biały Krzyż i inne instytucje pomocy żołnierzowi. Ze wszystkich tych towarzystw najpopularniejsza była amerykańska YMCA. YMCA rozłożyła się obozem w jednym z wielkich sklepów na jednej z ulic, leżących tuż przy Kreszczatiku i za śmiesznie niską cenę sprzedawała wielką ilość porcyj czekolady. Urzędował tam wysoki, sympatyczny, o męskich rysach twarzy Amerykanin, i kilkanaście pań, panienek i paniuś.

Przybyła również do Kijowa filja Głównej Księgarni Wojskowej, funkcjonowało kino wojskowe, a wkrótce przyjechał jakiś teatr polski i zorganizowała się ukraińska operetka. Również przez cały prawie czas naszego pobytu w Kijowie była czynna tamtejsza opera, mieszcząca się we wspaniałym gmachu przy ulicy Funduklejowskiej. Wojskowi otrzymywali na wszystkie przedstawienia bilety ulgowe, bardzo tanie. W operze tej wystawiono również i Halkę, oczywiście po rosyjsku.

Restauracje nie były czynne i dopiero w drugiej połowie maja zaczęto je otwierać. Największą popularnością wśród oficerów 1 pułku cieszyła się tak zwana „Café Artistique", w której usługiwały damy z arystokracji rosyjskiej i polskiej, zrujnowane przez rewolucję.

Około 10 maja zgłosiła się do władz delegacja kupców z prośbą, aby wydano rozkaz otwarcia wszystkich sklepów. Prośbę kupcy motywowali tem, że chcą handlować, lecz boją się bolszewickiej zemsty za zlekceważenie obowiązujących pierwej przepisów. Władze prośbę uwzględniły i obwieściły proklamacjami, rozlepionemi na wszystkich rogach, że sklepy natychmiast mają być otwarte. Wynikły z tego dość śmieszne historje, gdyż wielu kupców ani nie miało towarów, ani ich mogło skądkolwiek dostać, siedzieli oni przeto za pustemi (dosłownie) ladami. Jednak sprytniejsi potrafili zaopatrzyć się czy też wydobyć z ukrycia różne materjały i towary. Najwięcej otwarto sklepów z kosztownościami, od których aż zaroiło się na głównych ulicach. Za „psie pieniądze" można było dostać wspaniałe pierścienie, brosze, srebra stołowe i inne drogocenne rzeczy. Niektórzy oficerowie kupowali za swoje oszczędności różne drobiazgi, a przedewszystkiem starą broń, na którą wszyscy u nas byli bardzo łasi. Kupcy często proponowali tranzakcje zamienne, za chleb, mąkę czy też cukier.

Ludność Kijowa składa się w większości z Rosjan i Żydów. Ukraińcy stanowią stosunkowo niewielki procent. Jednak koncepcja porozumienia z Polską znalazła tam podatny grunt. Przyłączyło się do niej wielu eserów rosyj-

skich[1]), zaciętych wrogów bolszewizmu. Nic też dziwnego, że wiadomość o przyjeździe twórcy tej idei, atamana Petlury, przyjęto z wielką radością. Wszyscy chcieli go zobaczyć, wielu przypuszczało że jego przyjazd przyniesie im polepszenie losu, a wszyscy spodziewali się, ze stworzy jako tako normalne warunki bytu.

Pewnego dnia jedna z kompanij naszego pułku otrzymała rozkaz udania się na stację kolejową, jako kompanja honorowa na przywitanie przyjeżdżającego atamana. Wiadomość o przyjeździe człowieka, na którym pokładano ostatnie nadzieje uratowania z bolszewickiej toni, rozeszła się po mieście błyskawicznie. Na wielkim placu, przy wspaniałej cerkwi, zebrały się nieprzejrzane tłumy ludzi. Wszystkie okna, balkony i dachy przepełnione były ciekawymi. Poszedłem również oglądać „bohatera narodowego". Ponieważ na placu stał wielki tłum, udałem się do jednego z mieszkań prywatnych i poprosiłem o pozwolenie obserwowania uroczystości z balkonu.

Petlura nadjechał powozem, zaprzężonym w parę ładnych koni, i zatrzymał się tuż pod moim balkonem, przed którym ustawione były oddziały wojska ukraińskiego, zorganizowane poprzednio w Polsce. Był to mężczyzna jeszcze młody, wyglądał na lat czterdzieści, wygolony, ubrany w bluzę szarą, zapiętą pod szyję i kaszkiet kroju rosyjskiego. Wysiadł z powozu i rozpoczął przegląd wojska. Wojsko to, ubrane w mundury koloru „khaki" i metalowe hełmy angielskie, z namalowanym na nich herbem demokratycznej Ukrainy, prezentowało się bardzo dobrze.

Balkon, z którego obserwowałem Petlurę i rewję należał do jakiejś rodziny żydowskiej. Gospodarz domu, starszy jegomość, pokazał mi pocztówkę, kolportowaną podówczas szeroko, z fotografjami Piłsudskiego i Petlury, pod któremi widniał napis po polsku i ukraińsku: „bohaterowie narodowi".

Pokazując mi ją, gospodarz rzekł:

— Dziwi mnie to, że Polacy pozwalają na jednej karcie

[1]) Członków partji socjal-rewolucjonistów.

umieszczać podobiznę swojego Naczelnika Państwa z tym bandytą — mówiąc to wskazał na przemawiającego właśnie Petlurę.

Osobistość Petlury była mi mało znana, przeto zapytałem:

— Czy pan jest tego pewny, że Petlura zasługuje na taką nazwę, jaką pan mu nadał?

— W zupełności — potwierdził żywo gospodarz — mógłbym przytoczyć mnóstwo wypadków, gdy dawał rozkazy swoim żołnierzom, jeszcze przed sojuszem z Polską, aby urządzali pogromy Żydów.

Znając drażliwość Żydów, którzy byle awanturę nazywają pogromem, niebardzo uwierzyłem w opowiadanie jego, jednak przytaczam je, chcąc oświetlić stosunek dużej ilości żydostwa kijowskiego do demokratycznej republiki petlurowskiej. Nie był to jedyny wypadek, w którym słyszałem narzekania na Petlurę i wyrażanie zdziwienia, jak mogła Polska, kraj kulturalny, wejść w porozumienie z człowiekiem tak „dzikim". Oczywiście zupełnie innego zdania byli liczni jego zwolennicy.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że między wojskiem Petlury, a oddziałami polskiemi nie zachodziły nigdy żadne konflikty, a przynajmniej nigdy o nich nie słyszałem. Oficerowie ukraińscy byli niesłychanie grzeczni i salutowali zawsze pierwsi, niezawsze nawet zważając na stopień. My, widząc tę dobrą wolę z ich strony, traktowaliśmy ich równie uprzejmię. Wielu naszych oficerów, pamiętając dawne czasy, gdy nie mieliśmy niepodległości i gdy trzeba było służyć w legjonach i różnych wojskach zaborczych, odnosiło się do petlurowców z dużym sentymentem. Nierzadko ten i ów mówił: „biedny naród, kto chce to do kraju mu włazi; żal patrzeć na tę ich niedolę".

Zaraz po zajęciu miasta generał Rydz Śmigły postanowił zdobyć przeprawę na Dnieprze i przez utworzenie rozległego przedmościa zabezpieczyć Kijów od bombardowania. Już w dniu decyzji most zdobyto, a przedmoście zorganizowano. Kończyło się ono za stacją Browary, zajmował je 41 pułk piechoty.

W tym czasie zdarzył się ów sławny incydent, polegający na jakiejś dziwnej pomyłce, wskutek której komunikaty oficjalne, przez kilka dni zrzędu podawały, że walki toczą się na

„przedmieściach .Kijowa", podczas, gdy toczyły się one na „przedmościu Kijowa". Mylna ta wiadomość konsternowała przez jakiś czas opinję publiczną kraju, pilnie obserwującą przebieg naszej ofensywy na Ukrainie.

W połowie maja zabrakło intendenturze żywności. Otrzymałem rozkaz udania się do okolicznych wsi, celem zakupu kilku sztuk bydła. Oficer gospodarczy dał mi całą tekę pieniędzy petlurowskich, tak zwanych „karbowańców", oraz duży zeszyt pokwitowań z kuponami na premje. Z temi premjami było tak: każdy wieśniak, sprzedający bydło, mąkę, czy jakąś inną żywność lub paszę, otrzymywał, zależnie od wielkości zakupu, premję na pewną ilość kilogramów soli. O soli na Ukrainie było niesłychanie trudno i pomysł rozdawania ej, jako premji, był, bezwątpienia, szczęśliwy.

Wziąłem z sobą czterech żołnierzy i pojechałem.

W odległości dwudziestu kilometrów od Kijowa zacząłem robić zakupy. Oczywiście, żaden chłop ani myślał sprzedać czegokolwiek dobrowolnie. W każdej wsi musiałem udawać się do sołtysa, nazywanego tam „starostą" i wyjawiać mu cel swojego przybycia. Starosta zaczynał zwykle od zaklinania się, że w wiosce niema ani śladu krów lub wołów, a nawet najmniejszej rzeczy godnej tak delikatnego podniebienia, jakiem jest podniebienie wojsk „pańskich". Mieliśmy ostre rozkazy, nakazujące delikatnie i wyrozumiale postępować z ludnością, przeto wdawałem się z chłopami w rozmowy, tłumacząc cierpliwie, że płacimy gotówką za wszystko, co weźmiemy. Wieśniacy niebardzo wierzyli, zresztą mieli nieco racji, gdyż petlurowskie karbowańce były zaledwie nędznym surogatem pieniędzy i to surogatem nie uznawanym nawet przez samych petlurowców. Nic też dziwnego, że płacenie niemi traktowano jako zwykłą rekwizycję, niektórzy nawet woleli otrzymać zamiast tych „pieniędzy" kwit, przypuszczając, że może kiedyś będzie zapłacony.

W niektórych wsiach, zbierani przez starostów chłopi burzyli się i podnosili ponure głosy przeciw wszelkiego rodzaju władzy, a „pańskiej" w szczególności. Zawsze jednak dobrze nadstawiałem uszu i gdy tylko zaczęły rozlegać się groźne

pomruki, demonstracyjnie wydawałem żołnierzom rozkaz obejrzenia broni i sprawdzenia, czy naboje tkwią w lufach. Taka manipulacja zwykle pomagała, chłopi mitygowali się, milkli i stawali się ustępliwsi. Doświadczenie z wielu wojskami nauczyło ich szanowania nabitych karabinów.

W wioskach w pobliżu Kijowa mieszkało bardzo mało Polaków, poza tem byli tacy, którzy po polsku już prawie nie mówili. Sąsiedzi traktowali ich jednak zawsze jako „polaczyszków", również za takich mieli się oni sami, różniąc się od otaczającej ludności religją. O ile w której wsi znajdowały się jakieś rodziny polskie, to zebranie chłopskie zwykle im nakazywało dostarczanie dla nas żywności. Tłumaczono to tem, że Polak powinien pomagać Polakowi. Oczywiście, chodziło im przedewszystkiem o zaoszczędzenie swego dobytku. Steroryzowani nasi dalecy rodacy bali się żalić przede mną i dawali co mieli. Dopiero na drugi czy trzeci dzień jedna z bab, nie mogąc przeboleć straty ulubionego barana, rozpłakała się i opowiedziała mi o tych praktykach. Barana babie oddałem, a z wioski wziąłem dwa razy więcej bydła, aniżeli pierwotnie staroście obiecałem.

W czasie tych wędrówek trafiłem pewnego razu do jednego z zarządów gminnych. Dostrzegłem tam już rękę władzy petlurowskiej, obsadzającej te urzędy swoimi ludźmi. Sekretarzem gminy był młody ideowiec niepodległościowego ruchu ukraińskiego. Miły ten człowiek rozmawiał ze mną czas dłuższy. Z rozmowy wyniosłem bardzo sympatyczne wspomnienia, wspomnienia słów, których, przypuszczałem, nikt już na Ukrainie nie mówi. Tradycja wiernych Rzeczypospolitej kozaków jeszcze wciąż kołatała się po białych chatach naddnieprzańskich wiosek.

Wróciłem wreszcie do Kijowa, wioząc i prowadząc różnego rodzaju bydło i nierogaciznę.

W czasie mej kilkudniowej nieobecności w pułku nic nowego nie zaszło, natomiast już na drugi dzień zaczęły nadchodzić dziwne wiadomości z frontu północno-wschodniego. Był to początek ofensywy sowieckiej, szybko sparaliżowanej uderzeniem armji rezerwowej generała Sosnkowskiego. Na

przedmościu Kijowa również zaznaczyły się poważniejsze natarcia, jednak wszystkie odparto bez naruszenia naszego stanu posiadania.

W szeregach wciąż panował nastrój optymistyczny i niepowodzenia na północy traktowano jako wynik niedołęstwa tamtejszych oddziałów. Żołnierze, pamiętający nieustanne zwycięstwa I dywizji legjonów na tym samym froncie i w tych samych miejscowościach, pod któremi później bito inne oddziały, kładli wszystko na karb braku naszych pułków w tamtych stronach. Niepowodzenia te przyczyniły się niemało do spotęgowania u żołnierzy pierwszego pułku pewności siebie i przeświadczenia o swej wielkiej wartości bojowej.

W końcu maja i w początku czerwca zaczęły nadchodzić trwożne wieści o wielkich masach kawalerji, przygotowywanych przez bolszewików do rzucenia na nasze tyły. Wieści tych dostarczali Żydzi, którzy zwykle najlepiej byli poinformowani. Przepowiadali oni, względnie powtarzali proroctwa komunistów, że Polacy opuszczą Kijów w najbliższych dniach. Jednak ani wzmożona agitacja, ani dziwne wiadomości, nadchodzące z północy, nie sprowokowały ludności miejskiej do publicznego wystąpienia przeciwko naszej władzy, do czego nieustannie parli doskonale zakonspirowani komisarze bolszewiccy.

ROZDZIAŁ XIX.

WYPAD NA BORYSPOL.

1 czerwca rano I i II bataljon 1 p. p. legjonów otrzymały rozkaz załadowania się na wielkie barki i popłynięcia niemi w dół Dniepru. Oddziały te miały wykonać wypad na miasteczko Boryspol, leżące w gubernji Połtawskiej, w odległości dwóch mil od lewego brzegu rzeki.

Około 1 po południu oba bataljony pomaszerowały za miasto, gdzie połączył się z niemi pluton artylerji z 1-go p. a. p. leg. i 4-ta kompanja karabinów maszynowych.

Barek było tylko dwie. Na każdą z nich trzeba było załadować paruset ludzi, a ponieważ było potrzeba, przeto załadowano. Wynik nie dawał na siebie długo czekać; już po kwadransie zaczęto krzyczeć, że do łodzi nabrało się wody i że cały „bałagan" tonie. Załatano jakoś i pojechano dalej.

Do ciągnięcia barek użyto wojennych statków parowych. Na Dnieprze posiadaliśmy wówczas flotę, składającą się z kilku parowców, przybyłych z Prypeci.

Po długich peregrynacjach, na drugi dzień, około piątej rano „zarzuciliśmy kotwicę" przy zniszczonym moście drewnianym pod Kojłowem, przy drodze polnej, wiodącej do Boryspola.

Niemało mieliśmy kłopotu z wyładowaniem i wyciągnięciem na brzeg armat, które żołnierze przenosili na rękach.

Piechota nie zabrała z sobą ani wozów ani koni, więc też natychmiast posłano po nie do widniejącej zdala wioski. Mieszkańcy byli tak zaskoczeni naszem przybyciem, że nie

zdążyli pochować do lasu swojego dobytku i nie upłynęło nawet pół godziny, gdy przed kompanje zaczęły zajeżdżać furmanki, zaprzężone w spasione konie ukraińskie.

Byliśmy na Zadnieprzu. Deptaliśmy ziemie, które już od kilkuset lat nie widziały sztandarów Rzeczypospolitej; maszerowaliśmy przez kraj stracony w czasie buntu hetmana Chmielnickiego i nie odzyskany już nigdy. Duch Wiśniowieckiego, rycerza, który własną krwią i własnem mieniem bronił praw Polski do tamtej dzielnicy, błogosławił naszej wyprawie.

Mijaliśmy strony, w których już od kilku lat nie istniały żadne prawa, ani nie było żadnego rządu. W tej części Ukrainy nieustannie grasowały żądne krwi watahy rozbójnicze, dowodzone przez ponurych watażków, zbierających niesiane żniwo na równinnych polach zadnieprzańskich. Rzezie Żydów i „panów", puszczanie z dymem wsi i miasteczek, gwałty, wbijanie na pal (tak!), wciąż były tam na porządku dziennym.

Na Ukrainie nic się nie zmieniło od czasów Burłaja i Krzywonosa.

Tylko okres panowania Niemców był czasem krótkiego odpoczynku. Czerń, ich nie znając, pozwalała sobie początkowo na różne ekscesy i wtedy ci cywilizowani „kulturträgerzy" pokazali co umieli. Otaczali całe wsie wojskiem, palili je, a ludzi, starających się ognia uniknąć i uciec z zaklętego koła płomieni, rozstrzeliwano masowo karabinami maszynowemi. Krwawa, lecz po barbarzyńsku sprawiedliwa łapa niemiecka, rychło nauczyła spokoju rozbestwionych chłopów. Prędko też zaprzestali oni wybryków i buntów. Panowanie Niemców było dla ukraińskich Polaków, pomimo ucisku gospodarczego i politycznego, niemal rajem w porównaniu ze straszliwemi stosunkami pierwszych dni rewolucji i późniejszego panowania wodzów kontr-rewolucji.

Maszerowaliśmy szybko, tak szybko, aby żaden szpieg nie doszedł do Boryspola wcześniej, aniżeli my.

Podówczas miałem przydział w 1-ej kompanji, dowodziłem plutonem.

Minęliśmy Woronków i doszliśmy do miejscowości Głubokoje, gdzie kpt. Kozicki, dowódca II bataljonu, rozmawiał

telefonicznie z bolszewikami. Okazało się, że Rosjanie wiedzieli już o naszym wypadzie. Na dwa kilometry przed Boryspolem otrzymałem rozkaz udania się wraz z plutonem na szpicę. Nie chciałem opóźniać marszu przez powolne posuwanie się tyraljerką po niezżętych polach i maszerowałem po obu stronach drogi, bez rozwijania się. Kolumna postępowała za mną w odległości przeszło pół kilometra.

Dopiero na dwieście do trzystu metrów przed przedmiejskiemi chatami rozwinąłem pluton i szedłem pośpiesznie na widniejące domy i ogródki. W tym momencie zauważyłem podjazd bolszewicki, wyjeżdżający na kilku podwodach z miasta. Najwidoczniej czerwony dowódca chciał sprawdzić, co za siły zbliżały się do Boryspola, leżącego o dobry dzień drogi od Kijowa, w czasie, gdy sowieckie gazety aż zachłystywały się wiadomościami o zwycięstwach na froncie północnym i sukcesach Budiennego na Ukrainie.

Dostrzegłszy jadące podwody, wydałem rozkaz zatrzymania się, a potem zakomenderowałem „strzelać". W kilka sekund później, na miejscu spokojnie jadących przed chwilą podwód, ukazał się naszym oczom splątany węzeł koni, ludzi, wozów i chmur kurzu.

Pobiegliśmy biegiem i biegiem wpadliśmy w uliczki miasteczka. W pewnej chwili nadbiegł jakiś Ukrainiec i gorączkowo zaczął mi tłumaczyć, że z sąsiedniej uliczki za chwilę nadjadą bolszewicy. Zaczailiśmy się za rogiem uliczki. Karabin maszynowy kazałem przykryć wielką gałęzią lipy i spokojnie czekaliśmy.

Nie upłynęło dziesięciu minut, gdy na końcu ulicy, w tumanach kurzu, ukazały się oddziały bolszewickie.

Na przedzie szło dwóch piechurów z karabinami w rękach, za nimi pięciu jezdnych, z których jeden, w czerwonej chustce na głowie, był najwidoczniej jakimś znaczniejszym dowódcą.

Celowniczym przy moim karabinie maszynowym był kapral Szewczyk, człowiek prosty, ale wielki znawca „maszynek" i dobry strzelec (zginął pod koniec wojny przy forsowaniu rzeki Serwecz na Białejrusi). Otóż ten kapral Szewczyk, tak

się zapalił do niebezpiecznej gry z podpuszczeniem jak najbliżej, że przeciągnął strunę.

Bolszewicy prawdopodobnie dostrzegli hełmy żołnierzy, poukrywanych za płotami, gdyż ich szpica, owych dwóch piechurów, zaczęła nagle krzyczeć i wskazywać w naszą stronę bagnetami. Po chwili rozpoczęto strzelaninę. Szewczyk, naturalnie, puścił w ruch swoją złowrogą „maszynkę", ale konni bolszewicy zawrócili konie i galopem pognali wtył. Jeden tylko z nich zamachał rękami w powietrzu i runął na ziemię. Koń stał przez chwilę, potem ruszył za innemi, rżąc ze strachu i miotając się na wszystkie strony.

Przez dobre pół godziny bolszewicy próbowali stawiać opór, jednak przerażeni dochodzącemi ich ze wszech stron strzałami, podali tył i rzucili się do ucieczki. Bałem się ich gonić, gdyż mógłbym się natknąć na większe siły.

Tymczasem inne oddziały rozbiły środek ugrupowania bolszewików i miasto zajęły. W nasze ręce wpadła różna zdobycz, a przedewszystkiem duże zapasy lekarstw i wszelkich przyborów sanitarnych, które, ku wielkiej uciesze, miał możność zabrać pod swoją opiekę nasz doktór, kapitan Toruńczyk.

W ręce mojego plutonu wpadła kancelarja dowództwa pułku artylerji bolszewickiej. Wszystkie akta i cały majątek pułku, zapakowany na wozy i gotowy do ucieczki, zabraliśmy, a między śmieciem znaleźli żołnierze kasę, zawierającą cały stos pieniędzy sowieckich. Pieniądze te kazałem sierżantowi szefowi kompanji, Zbierskiemu, sprzedać, a uzyskaną z nich sumę przelać do kasy kompanijnej.

Po pierwszej fazie bitwy porucznik Romańczuk, dowódca 1 kompanji, zebrał wszystkie plutony razem i poprowadził w okolice stacji kolejowej, zajętej jeszcze przez bolszewików. Stację trzeba było zdobyć.

Uderzaliśmy na nią kilka razy, jednak z małym powodzeniem. Zapał nasz podtrzymywała uzyskana wiadomość, że bolszewicy posiadają dwie „pancerki", które lada chwila mogą nadjechać, gdyż poprzedniego dnia opuściły Boryspol tylko na krótki czas.

Widząc bezskuteczność naszych usiłowań, zaprzestaliśmy natarć i ukrywszy się za stodołami, czekaliśmy na pomoc.

Tymczasem jedna z pancerek nieprzyjacielskich, uwiadomiona prawdopodobnie o niebezpieczeństwie zagrażającem Boryspolowi, nadciągnęła pod miasto. Z naszego ukrycia widzieliśmy zupełnie dokładnie tor i posuwającą się po nim wolno i ostrożnie pancerkę. Jak wszystkie pociągi tego typu, używane w bolszewji, nie składała się ona z samych wagonów pancernych, lecz również ze zwykłych, a nawet z otwartych „lor". Przez lornetkę, a później i gołem okiem, widziałem ubranych ciemno marynarzy, stanowiących obsługę pociągu.

Stodoła, za którą leżeliśmy ukryci, była tak widocznym i wyraźnym celem, że gdyby nas dostrzeżono, napewno ponieślibyśmy ciężkie straty od artylerji. Jednak porucznik Romańczuk, człowiek ostrożny i przezorny, pilnował dobrze, aby żaden z żołnierzy nie odważył się wystawić hełmu niebieskiego za węgieł. Pancerka patrolowała przed miastem i ostrzeliwała je naoślep z karabinów maszynowych oraz lekką artylerją.

Tymczasem oddziały bolszewickie, które pod gwałtownym naciskiem wycofały się z miasta, rozpoczęły przeciwnatarcie. Natarcie było tak niespodziewane, że nasze placówki przedmiejskie zaczęły cofać się do centrum. W pewnej chwili wszystkim naszym sanitarjuszom, wraz z doktorem Toruńczykiem, groziło zabranie do niewoli. Opowiadał mi potem doktór, że, niczego się nie spodziewając, porządkował zdobyty materjał apteczny, gdy nagle doszły jego uszu strzały padające tuż za oknem. Zobaczyłem przez otwarte drzwi—opowiadał doktór—że bolszewicy biegną wprost na nas i że są nie dalej, niż w odległości kilkunastu kroków. Przez chwilę zdawało mi się, że śmierć lub niewola już nadeszła. Jednak w najkrytyczniejszej chwili nadbiegł jakiś pluton i bagnetem przepędził napastników.

Pancerka, defilująca w naszych oczach, przedstawiała dla nas przedmiot wielkiego pożądania. Zdobycie takiej ruchomej fortecy, to rzecz, która codziennie się nie trafia! Pokusił się o nią podporucznik Bielski. Wziął kilku ludzi i spróbował wysadzić w powietrze mały mostek kolejowy, leżący przed miastem. Brak

mu jednak było odpowiednich środków wybuchowych tak, że wysadzenie nie bardzo się udało; cała afera mogła skończyć się nawet dla wyprawy bardzo smutno, gdyż pancerka dostrzegła manipulujących przy mostku ludzi i obsypała ich gradem pocisków.

Bitwa toczyła się przez cały dzień i dopiero pod sam wieczór bolszewicy zaprzestali natarć, wycofując się w stronę Iwankowa i Rogowa. Nie odniosłem jednak wrażenia, aby byli rozbici.

Pod Boryspolem pułk miał 5 zabitych i 34 rannych.

Zmrok zapadł zupełny, gdy moja kompanja otrzymała rozkaz udania się za miasto, na drogę wiodącą do Browar, gdzie odbyła się zbiórka obu bataljonów.

Wielu cywilów, Ukraińców, pokładających wielkie nadzieje w przymierzu polsko-petlurowskiem, widząc nasz niedwuznaczny manewr odwrotowy w kierunku Kijowa, zaczęło lamentować i rozpaczać, że znowu przyjdą bolszewicy i znowu zaczną się mroki beznadziejnego wyczekiwania.

Pierwszy to raz opuszczaliśmy miejscowość z przeświadczeniem, że już nigdy tam nie wrócimy. Przykra świadomość!

Wypad na Boryspol był bodaj najdalszym wypadem wojska polskiego na Ukrainie. I był wypadem zwycięskim. Od wielu setek lat po raz pierwszy brzęk polskiej broni rozbrzmiewał tak daleko na rdzennej Ukrainie, w tym kraju, który odpadł od nas jeszcze w czasach, gdy Polska stanowiła potężną republikę.

ROZDZIAŁ XX.

NA WOJNIE WSZYSTKO BYWA.

Oddział techniczny, który przybył jednocześnie z nami, otrzymał rozkaz zniszczenia stacji i wodociągu kolejowego. W chwili, gdy opuszczaliśmy Boryspol, budynek stacyjny obejmowały krwawe, czerwone płomienie, a z wieży ciśnień dochodziły głuche, stłumione murami odgłosy wybuchów.

Pozostawiwszy za sobą zniszczenie i pożogę, złowrogi posiew wojny, wyruszyliśmy w głęboki mrok nocny.

Wkrótce nadjechał od strony Kijowa pociąg pancerny „Groźny", pod którego osłoną posuwaliśmy się dalej.

Szliśmy krajem zajętym przez wroga. Do najbliższych pozycyj polskich, do przedmościa kijowskiego pod Browarami, mieliśmy co najmniej dwadzieścia pięć kilometrów. Po lewej stronie naszych oddziałów toczył swe przejrzyste, głębokie wody groźny, nieprzebyty Dniepr, po prawej rozciągały się nieprzejrzane przestrzenie równin ukraińskich, zajętych przez wraże watahy kozacze.

Maszerowałem na przedzie kolumny, tuż przy szpicy.

Ciemna, parna i gorąca noc letnia nastrajała do marzeń. Zdawało mi się, że jestem dawnym zagończykiem, że wyruszyłem walczyć z Tatarzynem i uśmierzać krnąbrnych watażków. Hej, jakie to dawne czasy, a jednak jak mało od tamtych odbiegły dzisiejsze dni.

Szliśmy cicho, tak cicho, że gdyby kto nadsłuchiwał z odległości kilkunastu kroków, nie dosłyszałby głosu, naj-

delikatniejszego szczęku. Czasem tylko zabrzęczała manierka, lub wydała dźwięczny szczęk potrącona łopatka. Niezliczone głosy świerszczów cieniowały i podkreślały ten idealny spokój natury.

Szedłem na czele kompanji, wytężając słuch i wzrok.

W pewnej chwili żołnierz, idący przy mnie, pociągnął mnie za rękaw i szepnął:

— Panie poruczniku, niech pan spojrzy tu, na lewo.

Spojrzałem na lewo.

— Nic nie widzę, co tam ma być?

Żołnierz patrzał przez chwilę uważnie, wreszcie przemówił.

— Tak, bez żadnej wątpliwości, to są ludzie.

— Gdzie?

— Tu, może ze sto kroków od nas — mówiąc to wskazywał w ciemność.

Po długiem wpatrywaniu się dostrzegłem istotnie coś, co mogło być cieniami idących ludzi.

Kto to mógł być?

Oczywiście, bolszewicy.

Zatrzymałem kompanję i pobiegłem wtył, do dowódcy bataljonu.

— Panie kapitanie — zwróciłem się do kapitana Marskiego — jakieś cienie maszerują obok nas.

Krótka indagacja, wreszcie równie krótki rozkaz — „strzelać"!

W kilka chwil później ciszę nocną przerwały ostre krzyki komendy i rozpoczął się śmiercionośny ogień.

Podporucznicy Fildorf i Baliński w mig ustawili swoje groźne „Hotchkissy" i grad kul zaświstał w powietrzu, nakształt stada szpaków, lecących w przedwieczorną godzinę na nocne legowiska.

Jakby odległe echo, rozległy się okrzyki przestrachu i rozpaczliwe jęki.

Teraz widziałem już zupełnie wyraźnie, jak tajemnicze

cienie biegały na wszystkie strony, jak od głównej ich masy odrywały się pojedyńcze sylwetki i biegły gdzieś naoślep.

Wreszcie od strony „nieprzyjaciela" zaczęły padać, najpierw pojedyńcze, później coraz gęstsze strzały. Strzelaninie tej odpowiedziały z naszej strony jęki rannych. Zaraz od pierwszych strzałów padł starszy szeregowiec Wojciechowski z Brwinowa, pisarz kompanji drugiej, człowiek nieskazitelnej uczciwości. Wojciechowski, jako pisarz, powinien był właściwie pozostać w Kijowie i na wypad nie iść, lecz dopóty prosił dowódcę kompanji o pozwolenie wyruszenia, że ppor. Wasiutyński ustąpił i zezwolił. Biedny Wojciechowski! Nie wiedział, że o śmierć prosił.

Nagle ktoś zaczął przeraźliwym głosem krzyczeć:

— Nie strzelać, na miłość boską, nie strzelać, to nasi!

Pierwsze, jako najłatwiejsze do opanowania, zamilkły „maszynki", jednak dobra chwila upłynęła zanim cała piechota zrozumiała, że ma przed sobą oddziały polskie.

Nastąpiła wielka konsternacja.

Rzekomym nieprzyjacielem okazał się 2 pułk piechoty podhalańskiej, który miał współdziałać w natarciu na Borysopol, lecz spóźnił się, nie nawiązał z nami styczności i wracając natknął się na naszą kolumnę.

Zajście to nie zabrało nam więcej niż pół godziny, poczem, obawiając się większych sił bolszewickich, pośpiesznie ruszyliśmy w kierunku linij polskich pod Browarami.

Dalsza droga odbyła się zupełnie spokojnie.

Już rozwidniło się, gdy minęliśmy pozycje polskie na przedmościu i wkroczyliśmy w teren, gdzie nie potrzeba było się obawiać, że z za każdego zakrętu mogą ukazać się bure „rubaszki" Rosjan.

Po czterdziestoośmiogodzinnej nieobecności dobrnęliśmy do Kijowa śmiertelnie zmęczeni i ledwie żywi z głodu.

Przywitano nas tam smutnemi twarzami i złowrogiemi wieściami.

ROZDZIAŁ XXI.

PONURY REKONESANS.

Krzywonos dwudziestego wieku, Budienny, uderzył kilkunastutysięcznym komunikiem jazdy na nasz front, osłabiony wysłaniem pomocy pod Wilno i Mińsk, przerwał go i wyłomem ruszył na tyły. Wprawdzie zastawiły mu drogę 19 pułk piechoty i 12 pułk ułanów, lecz wysiłki ich były próżne. Wielkie masy kawalerji zmiażdżyły wiotkie zasłony i parły niepowstrzymanie naprzód.

Budienny, uderzając na styk 3 (Smigłego) i 6 armji, wykorzystał świetnie naszą słabą stronę — brak łączności i współdziałania między oddziałami. Rozbiwszy stojące mu na drodze dwa pułki, ruszył wyłomem na tor kolejowy Koziatyn — Fastów.

Dnia 5 czerwca oficerowie I bataljonu urządzili sobie bal. Wprawdzie naokoło wrzała wojna i lada chwila mógł każdy z nas „położyć swoją głowę", mówiąc górnolotnie, „na ołtarzu Ojczyzny", jednak nie przeszkadzało nam to bawić się hucznie i wesoło.

Bawilibyśmy się bezwątpienia do samego rana, gdyby nie przybiegł zziajany łącznik i nie przyniósł do dowódcy bataljonu małej karteczki. Dowódca przeczytał karteczkę, zrobił kwaśną minę, podszedł do muzyki i kazał jej wynosić się precz.

Następnie wyszedł na środek sali i zawołał:

— Oficerowie do kompanij!

Nie rozpytując o nic, gdyż nie mieliśmy zwyczaju filozo-

fować, pobiegliśmy do koszar. Jaki taki zataczał się nawet potężnie, ale szedł pośpiesznie.

Po chwili nadbiegł „zawiany" nieco adjutant, podporucznik Nowacki i jął coś prędko naradzać się z kapitanem Marskim. Nie upłynęło kilkunastu minut, a już łącznicy rozbiegli się po kompanjach z rozkazami alarmu.

Kapitan Marski nie miał zwyczaju spowiadać się ze swoich zamierzeń ani otrzymanych rozkazów, więc, nawet idąc już na stację, nie wiedziałem jeszcze dokąd pojedziemy.

Na stacji stanęliśmy zaraz po północy, jednak pociągu nie otrzymaliśmy wcześniej, jak około trzeciej rano i dopiero wtedy wyruszyliśmy na zachód.

Później dowiedziałem się, że wysłano nasz bataljon na patrol, celem zbadania okolic Białej Cerkwi i Skwiry. Był to czas przerywania się Budiennego i wśród naszych dowództw panowała jeszcze najzupełniejsza niepewność położenia.

Na stacji Fastów zastaliśmy wielki popłoch, gdyż właśnie nadeszły tam wiadomości, że jeden z naszych pociągów pancernych został przez bolszewików zdobyty, a załogę wycięto w pień. Nie dość na tem, pociąg osobowy, idący do Kijowa, został w pobliżu stacji Popielnia napadnięty, zatrzymany i zdobyty. Wprawdzie wracający ze szpitali i z urlopów żołnierze bronili się jakiś czas, lecz wkrótce ulegli i podzielili los swoich kolegów z pancerki.

W Fastowie twierdzono, że zaraz za stacją można już spotkać nieprzyjaciela. Komendant dworca kazał nawet pozaciągać druty przy drogach, wystawił placówki i gotował się do starć z patrolami.

Po kilku godzinach postoju w Fastowie wyruszyliśmy dalej, również pociągiem, ale zachowując już wszelkie ostrożności. Ulokowano więc przedewszystkiem na lokomotywie i w wagonach gotowe do strzału karabiny maszynowe, zakazano spać i polecono wystawić posterunki obserwacyjne.

W nocy z 6 na 7 czerwca wyładowaliśmy się w pobliżu stacji Popielnia i ruszyliśmy przez Kamionkę do dużej, kościelnej wsi Pawołocz. Do pierwszej wioski było cztery kilometry i przez cały czas żołnierze musieli nieść kara-

biny maszynowe i amunicję na plecach, gdyż koni ani wozów nie mogliśmy zabrać ze sobą.

Ludność po drodze witała nas ze zdumieniem, gdyż przypuszczali, że Polacy dawno pobici uciekli daleko.

W Pawołoczy zatrzymaliśmy się, a dowódca bataljonu wysłał patrol do odległego o dziesieć kilometrów miasteczka Skwiry, gdzie miała znajdować się 7 dywizja piechoty. Patrol po kilku godzinach wrócił i doniósł, że w Skwirze są już bolszewicy i że 7 dywizja wycofała się w kierunku południowo-zachodnim. Żołnierze patrolu prawie cudem uszli śmierci, gdyż w drodze zostali przez bolszewików otoczeni i tylko dzięki przytomności umysłu podoficera — dowódcy, udało im się wyjść cało z opresji.

Otrzymałem rozkaz ubezpieczenia wsi od strony drogi, wiodącej już nie pamiętam dokąd. Postawiłem silną placówkę na małym wzgórku za wsią, a sam wdrapałem się na drzewo z lornetką w ręku, aby obejrzeć horyzont. Nigdzie jednak nic podejrzanego nie zauważyłem. Uspokojony położyłem się za stodołą i odpoczywałem.

Tymczasem bolszewicy, nie wiedząc, że Pawołocz zajeliśmy, wysłali do niej mały oddziałek. Na czele tego oddziałku jechała dość oryginalna para: jakiś komisarz, opasany czerwonym pasem, i kobieta, ubrana w amazonkę i czerwoną, jak krew, czapkę. Para ta jechała, żywo rozmawiając i ani przypuszczając, że Polacy są tuż-tuż. Komendant mojej placówki zakazał żołnierzom strzelać, chcąc piękną parę schwytać żywcem. I napewno by mu się to udało, gdyby nie jeden z żołnierzy, który czekał nieprzyjaciela z palcem na cynglu karabina, a będąc snać bardzo przejęty chwilą, mimowoli spowodował wystrzał, czem ptaszków spłoszył. Przez chwilę komisarz nie mógł zrozumieć co to jest, lecz panna zorjentowała się szybciej i momentalnie zawróciła konia. Żołnierze zaczęli strzelać, lecz świetne konie uniosły romantyczną parę wraz z oddziałem tak szybko, że cała sprawa zdawała się być tylko snem. Że nie był to sen, dowodziła czerwona czapka bolszewiczki, walająca się w kurzy na drodze. Czapkę

tę wziąłem na pamiątkę i przez długi czas nosiłem, aż wreszcie podczas jakiegoś uciążliwego marszu wyrzuciłem.

Strzały, dane do pary bolszewickiej, wzbudziły wielkie poruszenie w sąsiednim lesie. Później okazało się, że biwakowała tam nieprzyjacielska kawalerja. Natychmiast dałem o tem znać dowódcy bataljonu, który zarządził ostrzeliwanie lasu przez naszą artylerję. Do Pawołoczy przybyły z nami dwie armaty z 1 pułku artylerji polowej, które świetnie markowały szybkim ogniem całą baterję.

Poszedłem do bataljonu dowiedzieć się czegoś o położeniu i z przerażeniem stwierdziłem, że kawalerję nieprzyjacielską widać ze wszystkich krańców wioski.

Nie ulegało wątpliwości, że byliśmy otoczeni.

Przez chwilę położenie było faktycznie krytyczne, gdyż na pociąg, którym przyjechaliśmy z Kijowa i który był dla nas jedyną deską ratunku, napadli bolszewicy i po krótkiej walce opanowali go. Kapitan Marski wysłał czwartą kompanję, aby pociąg odbiła. Czwarta kompanja, dowodzona przez ppor. Nowickiego (obecnie w rezerwie, kawaler orderu virtuti militari), rzadko kiedy robiła zawód. Nie zawiodła i tym razem. Po uporczywym boju pociąg odebrano i podciągnięto o jedną stację bliżej Fastowa, do Kożanki.

Niepodobna było określić, gdzie znajdują się najbliższe oddziały polskie, natomiast nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jesteśmy na tyłach potężnej armji konnej Budiennego, maszerującej na Koziatyn.

Już za dnia doszliśmy do przekonania, że niepotrzebnie siedzimy w Pawołoczy i że jedyny dla nas ratunek, to jak najszybszy odwrót. Jednak każdy z nas dobrze rozumiał, że marsz w dzień nie może oznaczać nic innego, jak ryzykowne spotkanie z przemożnym nieprzyjacielem. Spotkanie to tylko w najlepszym wypadku mogło skończyć się dla nas pomyślnie, a w każdym razie przyniosłoby dotkliwe straty.

Zapadł piękny, ciepły wieczór ukraiński.

Wciąż jeszcze stałem z plutonem, jako ubezpieczenie, za wsią.

Już ciemno było niemal zupełnie, gdy otrzymałem rozkaz

połączenia się z bataljonem, ale dopiero wtedy, gdy ze wsi wymaszeruje. Bałem się zabłądzić, więc porozstawiałem łączników i po pewnym czasie dotarłem do maszerującej kolumny.

Szliśmy naprzełaj.

Trochę drogami, trochę dróżkami i ścieżkami, a niekiedy nawet wprost przez pola.

W każdej chwili mogliśmy natknąć się na nieprzyjaciela, więc też i marsz był niezwykle denerwujący. Co innego maszerować będąc przekonanym, że tyły są jako tako pewne, ale co innego, gdy tej pewności niema.

O świcie dotarliśmy do Kożanki, gdzie czekał na nas pociąg.

Nie pamiętam już skąd przyprowadzono jakiegoś przebranego po cywilnemu komisarza bolszewickiego, szpiega. Słysząc że ma być rozstrzelany, zbladł i zaczął trząść się jak galareta.

— Gaspadin kapitan, zlituj się, nie każ rozstrzeliwać — prosił.

Marski nie chciał go słuchać.

— Puśćcie mnie wolno, a wydam wam w Kijowie dziesięciu czerwonych oficerów, prowadzących tajną robotę.

Nic to wszystko nie pomogło.

Kapral Mruk wziął swoją sekcję, odprowadził szpiega kilkanaście kroków za stację, do lasu, i za chwilę krótka, urwana salwa dała znać, że wyrok wykonano.

W kilka godzin później powróciliśmy do Kijowa.

ROZDZIAŁ XXII.

Z ROZPACZĄ W SERCU.

Z oddziałów 1 dywizji piechoty legjonów, w czasie walk o Kijów, najcięższe straty poniósł 6 pułk. Kiedy jeszcze się ludzono, że konną armję Budiennego można będzie rozporządzalnemi siłami powstrzymać, 6 pułk otrzymał rozkaz łatania dziur w okolicach Bogdanowa i Złodziejówki. Tam, na naddnieprzańskich polach ukraińskich, dokazywał cudów ze swoim pułkiem mjr. Popowicz (obecnie pułkownik i dowódca piechoty dywizyjnej w 1 dywizji piechoty, kawaler orderu virtuti militari). Niezdemoralizowany żołnierz legjonowy bił się do upadłego. Przeszło stu zabitych i rannych w jednym pułku i w jednej bitwie — oto miara tego uporu i niechęci do odwrotu.

Ósmego i dziewiątego czerwca nadchodziły do nas jak najfantastyczniejsze wiadomości. Mówiono, że Żytomierz już zajęty, że Mińsk padł, że na północy front przestał właściwie istnieć, że bolszewicy maszerują bez żadnej przeszkody na Wilno i Lidę. Kijów leżał tak daleko od wszystkich punktów, na których bronili się Polacy, że nic dziwnego, iż rozeszła się pogłoska jakoby generał Śmigły postanowił cofać się na południe, do Rumunji. Plotka święciła prawdziwe triumfy. Jednej godziny mówiono, że kasa dowództwa armji, zawierająca kilkanaście miljonów marek, w obawie przed bolszewikami, została spalona, to znowu, że z przedmościa już uchodzą albo, że bolszewików widziano o kilka kilometrów od Kijowa.

Wszystkie te wieści nie naruszyły jednak wielkiego zdumienia żołnierzy, wywołanego odwrotem. Przyzwyczajono się pogardzać nieprzyjacielem, uważając go za tchórzliwego, źle zorganizowanego przeciwnika i obecne położenie traktowano jako coś dziwnego, a w każdym razie krótkiego.

W nocy z 9 na 10 czerwca opuszczono przedmoście. Oddziały przemaszerowały przez Kijów i poszły dalej w kierunku zachodnim. O trzeciej rano wysadzono w powietrze most na Dnieprze. Brzegi obsadziły oddziały podhalańskie.

W dniu 10 czerwca pozostał w Kijowie tylko I batalion 1. pułku piechoty legjonów wraz z kompanją techniczną i 4 kompanją karabinów maszynowych. To były ostatnie oddziały, które opuściły stolicę Ukrainy.

Przed samem opuszczeniem miasta ulice zaczęły przybierać zgoła inny charakter od tego, jaki przez kilkutygodniowy okres naszego pobytu zdołały nabrać. A więc przedewszystkiem zniknęli gdzieś porządnie ubrani i nieco inteligentniejsi ludzie, wypełzły natomiast z najgorszych dziur, z zakamarków, przedmieść i różnych spelunek najgorsze męty społeczeństwa. Widziało się jakieś krwiożercze, okrutne gęby jakichś mężczyzn, ubranych w niechlujne łachmany i kobiety o strasznym wyrazie apokaliptycznych bestyj. Co chwilę rozlegały się okrzyki rabowanych i wynikały awantury. Sklepy już od dwóch dni były zamknięte, a wszystkie towary, po staremu, starannie schowane.

Do Kijowa przywieziono wielkie zapasy mundurów i wszelkiego oporządzenia żołnierskiego. Miały one być oddane, na mocy odpowiedniej umowy, do rozporządzenia organizującemu się wojsku ukraińskiemu Petlury. Zanim jednak wojsko to zdążyło się zorganizować już trzeba były Kijów opuszczać. O wywiezieniu wielkiej ilości mundurów, dochodzącej do kilkunastu tysięcy kompletów, nie można było marzyć, gdyż ani nie było czasu na przetransportowanie ich do wagonów, ani, zresztą, tych wagonów, nie było tak dużo. Postanowiono przeto rozdać je tym oddziałom wojskowym polskim i ukraińskim, które znalazły się pod ręką. W pierwszej mierze skorzystał

nasz bataljon, stojący garnizonem w mieście. Już pod koniec „fasunku" magazyny zaczęły się palić. Możliwe, że ogień podłożono umyślnie, ale raczej jestem skłonny przypuszczać, że powstał on od rzuconej nieopatrznie zapałki, czy też papierosa. Na widok pożaru ludność i żołnierze, wychodząc z założenia, że szkoda, aby ogień strawił tyle dobra, rozpoczęli grabież.

Dziesiątego czerwca rano zaalarmowano nas wiadomością, że bolszewicy przeprawili się przez Dniepr pod Kijowem. Dowódca armji wyznaczył nasz bataljon do ewentualnego wyrzucenia nieprzyjaciela. Wsiedliśmy na dostarczoną nam samochodową kolumnę i natychmiast wyruszyliśmy za miasto. Ekspedycją dowodził osobiście ppłk. Dąb Biernacki, dowódca I-ej brygady.

Alarm jednak okazał się fałszywy i po dwugodzinnem łażeniu po górzystych przedmieściach Kijowa, wróciliśmy do koszar.

Do ostatniej niemal chwili łudziliśmy się, że nadejdą nowe rozkazy, nakazujące pozostanie w Kijowie i powstrzymanie odwrotu. Rozkazy jednak takie nie nadeszły.

Około południa poszedłem na Kreszczatik, aby odebrać od fotografa zamówione pierwej zdjęcia. Cała ulica zapełniona była „wrednemi" szumowinami miejskiemi. Rozradowane twarze tej hołoty zdradzały niedwuznacznie, że nasz odwrót wywoływał ich żywą radość. Tłum stawał się coraz bezczelniejszy i śmielszy. Na jednej z bocznych ulic omal nie padłem ofiarą swej nieoględności, że wybrałem się na miasto sam. Otoczyło mnie kilkunastu wyrostków, „robiąc tłok" i usiłując sprowokować. Na szczęście miałem przy sobie rewolwer i gruby harap z byczej skóry, jaki podówczas często nosili nasi oficerowie. Rewolwerem groziłem, a harapem biłem i jakoś przedostałem się na Bibikowski bulwar, na który, ze względu na bliskość koszar, napastnicy obawiali się pójść.

Na Kreszczatiku widziałem, jak kilka wielkich piętnasto i pół centymetrowych armat galopem pojechało w kierunku „Kupieczeskawo sadu"[1]).

---

[1]) Ogród kupiecki.

W kilka minut później ich gruby bas trząsł murami Kijowa nie na żarty.

Spędzały one patrole bolszewickie, które zajęły przeciwny brzeg Dniepru.

Nasi żołnierze zaaklimatyzowali się w mieście tak dobrze, że w chwili odmarszu stał przed koszarami cały szereg dziewcząt, z żalem żegnając kochanków.

Do ostatniej chwili przebywała w Kijowie YMCA i jeszcze jakaś inna gospoda, zdaje się Polskiego Białego Krzyża, zakwaterowana na Kreszczatiku. W tej ostatniej rozdawano wszystkie zapasy darmo, gdyż dowództwo odmówiło miejsca w wagonach.

Prawdziwe tragedje rozgrywały się na stacji kolejowej. Już od czasu wtargnięcia Budiennego na nasze tyły, a więc od kilku dni, pociągi do Polski nie odchodziły, a ponieważ w Kijowie pozostały jeszcze tysiące Polaków, nie chcących za żadne skarby świata pozostać pod batem bolszewickim, przeto zdenerwowane ich gromady oblegały stację dzień i noc. Wiedziano, że w razie odwrotu zostanie zabrana pewna ilość ludzi, ale oczywiście tylko tylu, ilu pozwoli zabrać posiadany tabor kolejowy, nic też dziwnego, że o miejsca w wagonach rozgrywały się iście homeryckie boje. Aż serce się krajało patrząc na tych ludzi obdartych, bosych, głodnych i zrozpaczonych, którzy z jakimś niezwykłym uporem pchali się do pociągów. Wszyscy zdawali się być zahypnotyzowani jedną myślą — „do Polski, do Polski"!

Oczywiście, w pierwszym rzędzie pomyślano o miejscach dla rannych, których przedewszystkiem musiano zabrać.

Już dobrze po południu załadowano nasz bataljon na samochody, któremi ruszyliśmy na zachód, w kierunku Bielicz.

Nad miastem unosiły się kłęby dymu i wystrzelając ku górze potężnemi słupami, zdawały się skarżyć niebiosom na smutny los kraju.

Skończyły się polskie w Kijowie gody.

Czy nie wrócą już nigdy?

Bóg jeden to wie.

ROZDZIAŁ XXIII.

W UŚCISKACH WROGA.

Dziesiątego czerwca o północy przekroczyliśmy rzekę Irpień i bez wytchnienia ruszyliśmy dalej na zachód. Nasz bataljon wraz III-cim bataljonem 5 p. p. leg. i I-szym dywizjonem 1-go p. art. pol. miał podążać przez Romanówkę do stacji Bucza. Noc była tak ciemna, że zabłądziliśmy i, zamiast na Romanówkę, kolumna pomaszerowała na Mostyszcze. Przy pomocy pociągu pancernego „Groźny", Bucza została zajęta od jednego zamachu.

Na stacji ppłk. Dąb Biernacki, dowódca 1 brygady piechoty, miał w obecności generała Śmigłego odprawę dowódców bataljonów. Jeszcze przed rozpoczęciem odprawy, wielu oficerów, a między nimi i ja, siedzieliśmy z podpułkownikiem, rozmawiając o położeniu. Ppłk. Dąb nie oceniał go, jako zbyt groźnego i wyklinał cały odwrót. Irytował się też niemało na olbrzymi tabor, który armja zabrała z Kijowa, a przedewszystkiem na tych oficerów, którzy sprowadzili do Kijowa żony i teraz drżeli o nie ze strachu. Na odprawie tej wytknięto dalszy kierunek marszu i wyznaczono jego porządek. Na czele maszerował początkowo I bataljon 5 p. p. leg. Cała kolumna posuwała się przez Siemieniówkę, Mirockoje i Mikulicze w kierunku miejscowości Nowa Grobla, leżącej na przeprawie rzeki Zdwiż. Na rzece tej mieliśmy napotkać opór.

Za naszą strażą przednią jechały niezliczone wprost tabory. Opowiadano sobie, że gdyby je wyciągnąć w jeden szereg, zajęłyby co najmniej 50 kilometrów. Nie wiem, czy rzeczywiście były one tak liczne, ale, w każdym razie, były

zbyt duże. Oprócz tego olbrzymiego taboru kołowego, ochranialiśmy jeszcze 30 pociągów, naładowanych uciekinierami z kijowszczyzny i temi zapasami wojskowemi, które dało się wywieźć z Kijowa. Poza magazynami z umundurowaniem dla wojska Petlury, które częściowo spalono i rozgrabiono, wszystko wywieźliśmy. Twierdzenie, że w Kijowie ponieśli Polacy wielkie straty, jest nieprawdą, strat tam nie ponieśliśmy żadnych, nawet moralnych, gdyż odwrót nastąpił tak składnie, że mógł nam przynieść tylko zaszczyt, a nigdy hańbę. Po wojnie wciąż spotykałem się z nieprawdziwemi na ten temat opowiadaniami ludzi, którzy w tem działaniu udziału nie brali a tylko złośliwie domyślali się, jak to okupujące kijowszczyznę oddziały „wiały" i jakie to niesłychane poniosły straty, tak w materjale, jak i ludziach. Otóż ja, naoczny świadek, a także uczestnik wszystkich bitew odwrotowych, twierdzę śmiało, a mogę powtórzyć też każdemu w oczy, że to nieprawda. Tak! Nieprawdą jest, że ponieśliśmy tam wielkie straty, że potraciliśmy magazyny i wielu ludzi. W naszym bataljonie, a nie był on wyjątkiem, nie straciliśmy ani jednego wozu taborowego, ani jednego karabina maszynowego, a ludzi tylko tylu, ilu w zwycięskich bitwach się traci.

O 7 rano doszliśmy do Siemieniówki. W pobliżu tej wioski na czoło armji generała Śmigłego wysunął się nasz bataljon, zmieniając I bataljon 5 pułku.

Niedaleko Nowej Grobli minął nas dywizjon 3 pułku ułanów (żółtych) i ruszył za Zdwiż. Rzeka ta rozlewa się dość szeroko i jest stosunkowo trudna do przebycia. Pod Nową Groblą znaleźliśmy długi mostek, przerzucony przez wodę oraz przez bagnisty brzeg. Mostkiem tym przejechał dywizjon ułanów i wkroczył do wsi, leżącej tuż za rzeką. Widocznie dowódca zaniechał wysłania zwiadowców, gdyż wkrótce okazało się, że we wsi byli bolszewicy, którzy przyjęli naszą kawalerję ogniem karabinów maszynowych. Ułani cofnęli się, poniósłszy poważne straty. Później, po bitwie, irytowaliśmy się na tego oficera, który dopuścił do zaskoczenia dywizjonu.

Odgłosy potyczki doszły do uszu dowódcy straży przedniej, który na pomoc ułanom posłał III bataljon 5 p. p. legjonów. Nasz bataljon wyciągnął się na lewo od mostu, a ja z plutonem znalazłem się narazie w lasku, w odwodzie.

Czekałem spokojnie na dalsze rozkazy, gdy nagle nadjechał ppłk. Dąb-Biernacki i zapytał:

— Czyj to oddział?

— Mój — odpowiedziałem, nie zastanawiając się wiele.

Słysząc to, ppłk. Dąb „wściekł się."

— Cóż to porucznik za bzdury wygaduje, do jasnej....

Nie rozumiałem jeszcze o co mu chodzi.

— Która kompanja gadać mi, a nie „moja"!

— Pierwsza, panie pułkowniku!

— Pierwsza, to dobrze. Jazda tam, nad rzekę — mówiąc to, wskazał mi kierunek na lewe skrzydło.

Posłałem łącznika do swego dowódcy, zakomenderowałem „w tyraljery" i ruszyłem przez wrzosowiska we wskazanym kierunku.

Tymczasem nad rzeką „charatanina" nie ustawała ani na chwilę. Ogień karabinów maszynowych dochodził nas nieustannie, przytem od czasu do czasu odzywały się bolszewickie polówki.

Rozłożyłem się nad rzeką, wysunąłem paręset metrów dalej placówkę i „ubezpieczałem" lewe skrzydło oddziałów, walczących pod Nową Groblą.

W pewnej chwili dostrzegłem ciekawy widok zajeżdżającej na pozycję naszej artylerji. Widziałem zupełnie wyraźnie baterję, która galopem wyjechała na otwartą przestrzeń i pędziła, co koń wyskoczy, w kierunku widniejących wpobliżu zarośli. Snać baterję tę dostrzegli bolszewiccy obserwatorzy, gdyż zaledwie zdołała ujechać sto metrów, rozpoczęło się jej ostrzeliwanie. Baterja jechała tak szybko, że bolszewicy nie mogli nadążyć ze zmienianiem celownika. Może ze sześć razy granaty uderzały o kilka metrów za ostatniemi jaszczami polskiemi, a nie ugodziły w żaden. Wspaniały to był widok, gdy potężne działa z głuchym grzmotem pędziły przez nierówną drogę ukraińską, a przed niemi, nad niemi i za niemi pękały śmiercionośne pociski.

Szczęśliwie dopadły zarośli.

Zaledwie zginęły z przed oczu nieprzyjacielskich obserwatorów a już groźne ich naszczekiwanie zaczęło szarpać powietrze. W kilka chwil później nad Nową Groblą zaczęły unosić się słupy dymu, przez które przeświecały krwawe języki płomieni.

Mniej więcej w tym czasie uderzył na most kolejowy II bataljon 6 p. p. legjonów, lecz pomimo kilkakrotnych natarć został odparty. Pozycję na pobliskiem wzgórzu zajmował ppor. Piasecki z 2 kompanją naszego pułku. Piasecki, widząc cofający się bataljon, zaczął osłaniać mu odwrót. Z nierównej tej walki kompanja wyszła rozbita, a jej dowódca ciężko ranny.

Walki, które wywiązały się nad rzeką Zdwiż, w pobliżu Nowej Grobli i Borodianki, stanowiące jedną wielką krwawą bitwę trzydniową, były bodaj najcięższe, jakie piechota polska na Ukrainie kiedykolwiek prowadziła.

Widząc silny opór nieprzyjaciela, dowódca brygady postanowił utworzyć specjalną grupę, któraby obeszła i uderzyła na nieprzyjaciela ztyłu. Grupę tę, w składzie III bataljonu 6 p. p. leg. i I bataljonu 1 p. p. leg., oddał pod dowództwo mjr. Popowicza. Miała ona wykonać obejście przez Krasnągórkę, Andrejewkę i Drużnię na Borodiankę.

Grupa przeszła bez oporu Zdwiż pod Andrejewką i zaatakowała bolszewików. Nieco później III bataljon 5 p. p. leg. wraz z oddziałami 3 pułku ułanów sforsował mostek przed Nową Groblą i Rosjan ze wsi wyparł. Ja ze swoim plutonem znalazłem się wówczas przy 5 p. p. i wraz z nim wszedłem do Grobli, poczem niezwłocznie połączyłem się z kompanją.

Już zapadał mrok, gdy mjr. Popowicz postanowił zaatakować Drużnię. W natarciu tem brały udział, oprócz oddziałów 6 p. p. leg., również 1-sza i 4-ta kompanja naszego pułku. Nasze przedpole było błotnistą równiną, w której grzęzły nogi, a niekiedy można było zapaść się po szyję albo i głębiej. Bagno czaiło swoją zdradliwą topiel pod zaschłą skorupą ziemi, porosłej kępkami traw i różnych zielsk. Za moczarami ukrywała się piechota bolszewicka, zaopatrzona w dużą ilość karabinów maszynowych. Piechota ta, upojona zwycięstwami na innych frontach, z Polakami mająca do czynienia tylko pod Zło-

dziejówką i Bogdanowem, przepojona była jak najlepszym duchem. Już same nazwy pułków (jeden z nich nosił imię towarzysza Lenina) wskazywały, że mieliśmy przed sobą sam kwiat wojska komunistycznego. Od bitności tych pułków zależał los całej armji Śmigłego. One stanowiły to ogniwo w potężnym, okalającym nas łańcuchu, które musiało być rozerwane, o ile chcieliśmy nawiązać łączność ze swojemi podstawami operacyjnemi, czyli wyjść cało z niebezpiecznej imprezy.

Niemożność przedarcia się pod Borodianką oznaczałaby przedewszystkiem utratę 30 pociągów, napełnionych wszelakim sprzętem i uciekającymi rodakami, stratę taborów, a prawdopodobnie zgubę nas wszystkich. Położenie to rozumiał doskonale każdy najmłodszy oficer, a nawet inteligentniejszy szeregowiec, to też nic dziwnego, że walczyli wszyscy jak lwy i że dowódca straży przedniej wysyłał do natarcia niejednokrotnie nie jedną tyraljerę, lecz dwie, trzy, a niekiedy i pięć. Na łatanie dziur poszły do linji nietylko kompanje techniczne, łącznicy i telefoniści, ale nawet taboryci i kucharze.

Nadszedł wieczór, a bitwa nie ustawała. Na prawo i na lewo od mojej pozycji grzmiała monotonna strzelanina. Denerwujące dudnienie armat wciąż wstrząsało posadami ziemi. Stada kul szumiały nad głową, a zdaleka dochodziły krzyki i wrzawa, towarzyszące większym bitwom.

Ruszyliśmy wreszcie i my, pierwsza i czwarta kompanja. Mokry grunt zapadał się pod nami i co chwila ktoś wołał o pomoc. Skakaliśmy z kępki na kępkę ubrudzeni, usmarowani i zmęczeni. Bolszewicy tymczasem strzelali do nas, jak do kaczek. Co chwila ten i ów żołnierz wypuszczał z rąk karabin i padał na ziemię martwy lub ranny. W tym zgiełku trudno było wynajdywać rannych i ci, którzy nie mieli sił krzyczeć tak głośno, aby inni koledzy usłyszeli, zostawali na błotach i później umierali z utraty krwi. Doświadczeni żołnierze wiedzieli bardzo dobrze, że rana w takich warunkach, to prawie pewna śmierć, więc też biegli chyłkiem, nosem prawie wodząc po cuchnącem bagnie. Każdemu życie miłe!

Poległ tam młody podporucznik Pełka z 4 kompanji.

Pełka poznał w Kijowie pewną panienkę i w czasie krótkiego w tem mieście pobytu zdążył się zaręczyć. Podczas odwrotu ulokował narzeczonę w jednym z pociągów i wiózł do Polski. Rozpacz biednej dziewczyny, skoro dowiedziała się o śmierci narzeczonego, każdy sobie może łatwo wyobrazić.

Nie zważając na grad kul i pociski artyleryjskie, dobiegliśmy do linij bolszewickich i zdobyliśmy je. Nieprzyjaciel cofnął się. Drużnię zajęto. Z sąsiedniej Borodianki, widocznej jak na dłoni, rozpoczął się djabelski wprost w swej sile ogień karabinów maszynowych. Zdawało mi się, jakbym był nakryty jakimś dziwnym, gwiżdżącym i syczącym dachem.

Zapadła wreszcie noc.

Lada chwila spodziewaliśmy się przeciwuderzenia i cały czas czuwaliśmy. Wiedziałem dobrze, że żołnierza, który uśnie trudno się dobudzić, a nagle przebudzony jest bardzo skłonny do popłochu, chodziłem przeto wzdłuż linji i nie dawałem nikomu spać.

Pomimo, że była to noc czerwcowa, nad ranem zrobiło się do tego stopnia zimno, że wszyscy drżeliśmy. Zimnu doskonale sekundował głód. Kuchnie nie mogły dowieźć nam jedzenia, gdyż cały dzień, od 10 rano do nocy, trwała bitwa. Nadjechały dopiero nad ranem.

Już pierwszego dnia bitwy udało nam się zająć tor kolejowy, a więc utorować drogę dla pociągów. Jednak, aby móc je swobodnie przeprowadzić, trzeba było bolszewików odsunąć na taką odległość, aby czerwona artylerja nie uniemożliwiła przejazdu. Ponieważ tabor kolejowy ciągnął się na przestrzeni przeszło 20 kilometrów, więc też nikt nie marzył o tem, że uda się przemkąć niepostrzeżenie.

Chcąc umożliwić swobodny przejazd, ppłk. Dąb-Biernacki postanowił znowu bolszewików zaatakować. Natarcie wyznaczył na świt dnia następnego. Uderzenie przeprowadzono w następujący sposób: trzeci bataljon 6 p. p. leg. wykonał obejście od zachodu, podczas gdy natarcie frontowe, od toru, przeprowadził I bataljon 1 p. p. leg. i dwie kompanje 5 p. p. leg.

W świetle powstającego dnia widziałem, jak półbataljon

Eigentum

5 p. p. leg. cofnął się nieco zmieszany. Jednocześnie uwiadomiono mnie, że został ranny ppłk. Dobrodzicki.

Myślałem, że bolszewicy z Borodianki nie ustąpią, gdyż walili co najmniej z kilkudziesięciu karabinów maszynowych i wielu armat. Przejście pod takim ogniem półtora kilometra wydało się fizyczną niemożliwością. Jednak daliśmy bolszewickiemi ogniowi radę!

Nie poszło to nam zbyt łatwo, do Borodianki dotarliśmy dopiero około godziny 11-ej.

Bolszewicy cofnęli się na Niebród i Bereściankę.

Kiedy wpadłem ze swoim plutonem do wsi, była ona jeszcze częściowo przez nieprzyjaciela zajęta. Przed pierwszemi chatami zauważyłem powystawiane przed progiem karabiny. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć. Później okazało się, że Rosjanie w swoich domowych wojnach w ten sposób zwykle się poddawali. Karabiny wystawiali przed domem, a żołnierze czekali w chatach na niewolę. Otóż siedmiu dzielnych „mołojców", z pułku imienia towarzysza Lenina, wyciągnęliśmy z domostw, pierwej posprzątawszy stojące obok płotów karabiny.

Borodianka, jak każda duża wieś, miała szeroką ulicę. Wpadliśmy w nią, sądząc, że zastaniemy tam bolszewików, ale ulica była już z nich opróżniona, natomiast zauważyłem tam kilku żołnierzy z jakimś sierżantem, którzy pędzili przed sobą chłopa. Oddziałek zatrzymałem.

— Gdzie to prowadzicie tego „bambra"? (bambrami nazywali żołnierze wieśniaków) — zapytałem sierżanta.

Sierżant odpowiedział krótko:

— Na „rozstrzał"!

— A cóż on zawinił?

— Strzelał do nas z okna.

Wojna nie nastraja człowieka humanitarnie, to też narazie rzecz ta zdawała mi się zupełnie naturalną. Zresztą, cały byłem jeszcze rozgrzany bitwą, podniecony nieustanną grozą śmierci, nie odpowiedziałem przeto nic, tylko jąłem zwoływać swoich żołnierzy do kupy, gdyż za chwilę trzeba było wysunąć się za wieś i zająć odpowiednie stanowiska. Nie

zdążyłem jednak zebrać ani połowy, gdy usłyszałem cichy, straszny lament.

Obejrzałem się.

Gdzieś z opłotków biegła jakaś młoda kobieta, patrząc na mnie dziwnie szeroko otwartemi oczami. Za nią kuśtykał stary chłop, a spódnicy czepiał się kilkuletni dzieciak.

Pomyślałem, że pewno biegnie na skargę, a rozpacza za zabranym „kabanem", lub krową. Myśl ta usposobiła mnie do kobiety nieprzychylnie. „Psiakrew", zakląłem w duchu, „tu człowiek łba nadstawia i nie robi lamentu, a taka idjotka za kabanem..."

Nie za „kabanem" jednak kobieta lamentowała.

— Panoczku kochany, panoczku serdeczny, męża mi nie zabijajcie — zaczęła jęczeć cicho — co ja nieszczęsna bez „czołowika"[1]) na świecie robić będę?

Stary chłop przykuśtykał i padł mi do nóg, a raczej kucnął przede mną. Bachor płakał.

To nieszczęście ludzkie wstrząsnęło mną całym. Zniknął gdzieś bojowy nastrój, podniecenie ustąpiło miejsca bolesnej świadomości: co za straszne nieszczęście spotyka tych ludzi...

Litość zawsze w człowieku drzemie i nie brak jej nawet u żołnierza, ubranego w zakurzony, spotniały i krwią nasiąknięty mundur.

Pobiegłem za prowadzonym na stracenie chłopem.

Zaledwie zdążyłem ubiec kilkanaście kroków, gdy za pobliską stodołą usłyszałem krótką, urwaną salwę.

Zrozumiałem, że było już za późno.

Nieszczęśliwa kobieta snać też to pojęła, gdyż padła w kurz brudnej uliczki wiejskiej, rozpaczliwie zawodząc.

Uciekłem z tego przeklętego miejsca na drugi koniec wioski.

Zajęcie Borodianki było dostateczną gwarancją bezpieczeństwa dla pociągów, które też rozpoczęły przejazd tego samego dnia o godzinie 18-ej.

---

[1]) „Czołowik"—po ukraińsku mąż.

Pierwsza i trzecia kompanja naszego pułku, pod dowództwem por. Romańczuka, obsadziły skraj wsi; na prawo mieliśmy niewielką lukę, dalej zajmował pozycję III bataljon 1 p. p. leg. pod dowództem kpt. Pakosza (obecnie pułkownik i dowódca 33 p. p., kawaler orderu virtuti militari).

Pomimo szalonego zmęczenia (maszerowaliśmy i biliśmy się bez przerwy dwa dni i dwie noce) trzeba było zabrać się natychmiast do kopania rowów, gdyż lada chwila mogli bolszewicy pokusić się o odebranie Borodianki i o uniemożliwienie przeprowadzenia taboru kolejowego.

Do wieczora rowy były gotowe.

W 1-ej kompanji z oficerów, oprócz por. Romańczuka, i mnie, był jeszcze podporucznik Policzkiewicz. Policzkiewicza w pułku bardzo ceniono za miły charakter i duże zdolności wojskowe, a przedewszystkiem za przeszłość peowiacką, gdy ten niepozorny studencina Politechniki Warszawskiej spędzał sen z powiek władz okupacyjnych. Policzkiewicz dowodził plutonem w pierwszej kompanji, a co zatem idzie był moim najbliższym kolegą. Gdy skończyliśmy budowę rowów, siedliśmy pod dużą kopą siana, a ponieważ był piękny wieczór, więc gwarzyliśmy o różnych sprawach, a przedewszystkiem o odwrocie i bitwie pod Borodianką. Zwykle bardzo rozmowny, Policzkiewicz wtedy mówił mało i często się zamyślał. Zdziwiło mnie to, lecz przypisałem ten stan przemęczeniu i rozmowy poniechałem. Układając się do snu obok niego, nie przeczuwałem, że kładę się obok człowieka, leżącego już prawie w grobie.

Noc przeszła niby spokojnie, ale co kilkanaście minut rozlegały się strzały, no i oczywiście trzeba było wstawać i sprawdzać, czy czasem nie jest to coś groźnego.

Od samego świtu zaczęła się strzelanina na odcinku III bataljonu. Później dowiedziałem się, że ppor. Burczak z tego bataljonu dostrzegł jakichś ludzi, zbliżających się od strony Rudni Szybeńskiej, a ponieważ niektórzy z nichu brani byli we francuskie hełmy, przeto przypuszczał, że są to oddziały polskie. Uwiadomiony o tem ppłk. Dąb-Biernacki zakazał strzelać, gdyż od strony Rudni miały nadejść pułki podhalań-

skie. Jednak już bardzo prędko okazało się, że nie byli to Polacy, lecz bolszewicy, z których kilkunastu posiadało zdobyczne hełmy polskie.

Jakoś w tym czasie przyjechał konno na nasz odcinek kpt. Kozicki. Świadczyło to o niemałej odwadze tego oficera, gdyż kule gwizdały nieustannie, a kule na wojnie nie żartują.

Kpt. Kozicki uwiadomił ppor. Policzkiewicza o ciężkiem położenie, w jakim znalazł się III bataljon, przytem zaznaczył, że trzebaby go jakoś odciążyć. Uradziliśmy z Policzkiewiczem, że należy natychmiast rowy opuścić i uderzyć na bolszewików. Tymczasem położenie zmieniło się o tyle, że bolszewicy pierwsi natarli i szli ku nam gęstemi linjami. Do walki z piechotą bolszewicką byliśmy przyzwyczajeni, więc też patrzyliśmy na jej zabiegi z lekceważącym uśmiechem. Najostatniejszy z żołnierzy kpił sobie w żywe oczy z ich natarć. Przyzwyczajony był zwyciężać.

Przed nami rozpościerało się duże pole niezżętej pszenicy i żyta. Lekki wiaterek falował temi łanami, upodobniając je do jakiegoś morza, albo raczej wielkiego jeziora. Wyszliśmy z rowów i, nie bacząc na posuwanie się bolszewików, szliśmy naprzód. Nasza tyraljera ginęła niemal w wysokiem zbożu i tylko niebieskawe hełmy i groźne, matowe bagnety, sterczały nad jego tonią. Bolszewików widzieliśmy, jak na dłoni, gdyż pole pochylało się nieco w ich kierunku, a więc byliśmy wyżej od nich.

Doświadczony żołnierz rozumie, że być rannym na bagnach, a zwłaszcza w wysokiem zbożu, rzecz to bardzo niebezpieczna. Ani koledzy, ani sanitarjusze w takich miejscach rannego nie znajdą i nie poratują. Wprawdzie nie pomyślałem o tem niebezpieczeństwie, pomyślał jednak o niem mój ordynans, szeregowiec Pściuk, żołnierz stary (liczył sobie dokładnie 21 lat) i wytrawny. Przed samem natarciem zobaczyłem go, jak biegł do mnie, obładowany manierkami i chlebakami.

— A wy, Pściuk, czego tutaj? Jazda do taboru!—krzyknąłem na niego ostro.

Pściuk zafrasował się.

— Kiej, panie poruczniku, co nie daj Boże, postrzelom pana porucznika.

Niechętnie myśli się o takiej ewentualności, to też odmruknąłem coś i ruszyłem naprzód.

Pściuk podreptał za mną.

Po pewnej chwili zagadnął znowu.

— Panie poruczniku, jakby tak, co nie daj Panie Boże, te ścierwy mnie dziobnęły, to pan porucznik nie ostawią.

Usłyszał to idący obok mnie kapral Szewczyk, wielki służbista,

— A cóż ty, durniu, z pana porucznika chcesz swojego łapiducha zrobić?! — wrzasnął oburzony.

Pściuk zaczął się pokornie sumitować przed zagniewanym kapralem, jednak bitwa zawrzała już na dobre i nie dosłyszałem dalszej dyskusji.

Na początku natarcia zapodział się gdzieś podporucznik Policzkiewicz, a ponieważ por. Romańczuk był we wsi i w natarciu udziału nie brał, więc prowadzenie działania spoczęło w moich rękach. Podówczas nie wiedziałem jeszcze, że Policzkiewicz zginął i niemało się nairytowałem, sądząc, że siedzi gdzieś na skrzydle i nie daje znać o sobie.

Niebezpieczeństwo tymczasem osiągnęło swój kulminacyjny punkt. Rozpoczął się bój wręcz. Jednak żołnierz żołnierzowi nie równy, wielu zmęczyło się i posiadało na miedzach, wielu zostało rannych, tak że do linij nieprzyjacielskich dobiegła nas mała garstka, kilkunastu ludzi z dwoma karabinami maszynowemi. Wprawdzie co chwila ktoś z maruderów dołączał się, zwiększając nasze szeregi, jednak pomimo to byliśmy w stosunku do bolszewików w znikomej liczbie. Zauważył to ich dowódca i zaczął wrzeszczeć przeraźliwym głosem:

— Towariszczi, podożditie, nie uchoditie, ich sowsiem mało!

Na ten głos, bolszewicy, którzy zaczęli już uciekać, jęli powstrzymywać się i ostrzeliwać nas z odległości kilkunastu kroków, a nawet pokrzykiwać „ura! ura!". Mieli oni ze sobą karabin maszynowy, umieszczony na wozie. Nie wiem, jakby

natarcie się skończyło, gdyby nie jeden z żołnierzy mojego plutonu, nazwiska nie pamiętam, który podbiegł do dodającego bolszewikom ducha dowódcy, i przebił go bagnetem nawylot. Żołnierz ten wkrótce potem zginął.

Bolszewicy, zdemoralizowani śmiercią dowódcy, zaczęli na moim odcinku cofać się, początkowo wolno, a następnie zupełnie bezładnie. Już jednak w kilkanaście minut później, czerwone dowództwo wysłało przeciw nam inne oddziały, a wkrótce potem jeszcze inne.

Walka zaczęła wyraźnie przechylać się na naszą niekorzyść.

Żołnierze strzelali ostatniemi nabojami.

Na lewo od moich żołnierzy broniła się 3 kompanja. Jej lewe skrzydło podchodziło do widniejącego na horyzoncie lasu. W pewnej chwili zauważyłem przez lornetkę, że z tego lasu zaczyna wysuwać się kawalerja. Po chwili wyraźnie widziałem wysokie czapy kozaków.

— Cholera — zakląłem — zaczyna być źle.

Spojrzałem wtył. Od Borodianki oddzielała mnie przestrzeń co najmniej dwóch kilometrów otwartego pola. Cofać się przez nie, mając przed sobą, oprócz piechoty, również i kawalerję, oznaczało pewną śmierć. Byłem jednak żołnierzem z armji generała Rydza-Śmigłego, byłem żołnierzem 1-ej dywizji piechoty, o której z najwyższem uznaniem wyrażali się wszyscy dowódcy tych jednostek, w których skład kiedykolwiek wchodziła. Byłem w pułku posiadającym najstarsze i jedne z najchlubniejszych w wojsku tradycje. Nadziei nie traciłem.

Na prawo ode mnie walczył III bataljon 1 p. p. leg. Od jego strony dochodziło mnie nieustanne gulgotanie bitwy. Z nim jednak nie miałem łączności i na jego pomoc liczyć nie mogłem. Pozostawały tylko własne siły i własna „przemyślność".

Zebrałem oba karabiny maszynowe koło siebie, na wzgórku. Była to jedyna ochrona przed kozakami.

Kozacy tymczasem wysunęli się z lasu i wielką chmarą wpadli na trzecią kompanję.

Nie potrzebowałem już patrzeć przez lornetkę.

Widziałem, jakby w potężnym jakimś kinematografie, przedziwny film szarży kawaleryjskiej na szare, rzadkie tyraljery polskie. Z przerażeniem zauważyłem, że zanim kozacy dopadli naszych linij, żołnierze zaczęli pośpiesznie uciekać w stronę Borodianki.

Było to ich zgubą.

Jeźdźcy, na zwinnych, kudłatych konikach, przyrośnięci niemal do siodeł, dopadali naszych piechurów i rąbali ich pochylone w ucieczce karki. Nie wszyscy jednak uciekali. Wielu ceniło więcej honor żołnierski, niż życie. Sierżant Matuszewski stanął silnie w kroku i jął opędzać się nacierającym kozuniom. Walka to była nierówna, trwała krótko. Dzielny sierżant padł zbroczony własną i wrażą krwią, z okropnie odrąbanym kawałem czaszki.

Zdawało się, że człowiek ten musi umrzeć, tymczasem przyszedł później na punkt opatrunkowy i, przytrzymując ręką wiszący na skórze kawał czerepu, zameldował się u doktora. W kilka miesięcy potem wyzdrowiał i wrócił do pułku.

Kawalerja bolszewicka, która rozgromiła 3 kompanję, zabrała do niewoli kikunastu ludzi (był to jedyny, znany mi, wypadek wpadnięcia do niewoli takiej dużej ilości żołnierzy). Między innymi schwycono również i ppor. Klepackiego, dowódcę jednego z plutonów. Większość jeńców, a również i ppor. Klepacki, zdołali w następnym okresie bitwy uciec. Klepackiemu bolszewicy zdążyli odebrać lornetkę z peryskopem i rewolwer.

Uderzenie bolszewików na trzecią kompanję działo się na moich oczach. Co prędzej też zagiąłem swoje lewe skrzydło i przeniosłem na inny punkt jeden z karabinów maszynowych. Widząc, że bolszewicy, przejechawszy po trzeciej kompanji, zwrócili się w moją stronę, kazałem do nich strzelać z maszynki, nie bacząc na to, że ogniem tym będę raził również i ludzi z trzeciej kompanji. Karabin maszynowy, strzelający do kawalerji z odległości bardzo bliskiej, w pewnym momencie nie przewyższającej kilkudziesięciu metrów, musiał działać bardzo skutecznie. I istotnie, już po pierwszej taśmie, kozacy zaczęli się mieszać, a następnie podawać tyły i uciekać w stronę

lasu. Wówczas to wzięci do niewoli żołnierze 3 kompanji zaczęli się z niej wymykać.

Ucieczka kawalerji zdetonowała atakującą mnie z frontu piechotę, która przestała posuwać się naprzód, a po pewnym czasie cofnęła się. Cofnięcie to nastąpiło w związku z położeniem na reszcie frontu, którego odcinek mojej kompanji był zaledwie małą cząsteczką.

Mając chwilę czasu, zastanowiłem się nad tem, gdzie może być ppor. Policzkiewicz. I wtedy uderzyła mnie okropna myśl, że pewno zginął. Początkowo zdawało mi się to niemożliwem. Jakto? Przecież jeszcze przed kilku godzinami z nim rozmawiałem, czyżby już „gryzł ziemię"?

Wyznaczyłem oddziałek żołnierzy i wszystkich sanitarjuszy do szukania go po polach. Żołnierze bardzo lubili dobrego i wesołego podporucznika, więc też skwapliwie brnęli w wysokiem zbożu i szukali. Co chwila któryś krzyczał, że znalazł rannego albo zabitego. Strat w tej bitwie ponieśliśmy dużo. Policzkiewicza nikt nie mógł znaleźć.

Widocznie doniósł już ktoś do Borodianki, że Policzkiewicz zginął, gdyż nadbiegł zziajany por. Romańczuk, wielki jego przyjaciel i rozpoczął poszukiwania na nowo.

Tymczasem wszystkie pociągi i wszystkie tabory przemaszerowały i nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak ruszyć dalej w kierunku Polski. Właściwy rozkaz przyniósł łącznik; mieliśmy natychmiast iść do Borodianki, a stamtąd do Malina, nad rzeką Irszą. W Borodiance miał nas zmienić i ubezpieczyć odwrót 41 pułk piechoty (suwalski) i jeden bataljon któregoś z pułków brygady podhalańskiej.

Czas był już największy odmaszerować, a Policzkiewicza, względnie jego ciała, jeszcze nie znaleziono. Por. Romańczuk chwycił się wtedy ostatniego sposobu: rozwinął kompanję w tyraljerę i cofał się tą samą drogą, którą kompanja nacierała. Doszliśmy do rowów, a Policzkiewicza jeszcze nie było. Romańczuk jednak tak się uparł, że kazał nam jeszcze raz maszerować przez pola. Wyobrażam sobie, że bolszewicy, widząc ten kontredans, nie mogli mu się nadziwić, napróżno starając się odgadnąć, co mógł on oznaczać.

Dopiero po przejściu trzy razy tej samej drogi, jeden z żołnierzy zobaczył nieszczęśliwego porucznika, leżącego w wysokiem zbożu. Zbiegliśmy się doń. Leżał twarzą do ziemi, cichy i nieruchomy — już nie żył.

Snać śmierć miał lekką, gdyż jak padł na ziemię na twarz, to nawet mięśni nie miał czasu skurczyć, przez co wykrzywiły mu się dziwacznie. Bolszewicka kula trafiła go w serce i zapomnienie natychmiast przyniosła.

Położyliśmy druha szczerego na płaszcz żołnierski i ponieśliśmy do wsi. Kompanja wlokła się za nami milcząca, smutna i jakby przybita do ziemi — niczem kondukt żałobny.

Pułk już wyruszał z Borodianki w dalszą drogę.

Nie było czasu poległego pogrzebać, więc ułożyliśmy go na chłopskiej podwodzie i powieźliśmy ze sobą. Odwrót był w całej pełni; nie starczyło godziny na pochowanie dzielnego oficera ani w dniu następnym, ani później. Dopiero coś czwartego dnia, kiedy ciało w gorącem słońcu czerwcowem jęło rozkładać się i cuchnąć, sprawiliśmy mu pogrzeb.

Pod miasteczkiem Korosteniem, przy małym kościołku katolickim, wykopano naprędce mogiłę i złożono do niej ciało mężnego syna Ojczyzny. Nad grobem zebrali się wszyscy oficerowie bataljonu, kapitan Marski powiedział krótką mowę i zakomenderował salwę honorową. Pogrzeb uświetniała artylerja bolszewicka, której głuchy grzmot towarzyszył całej uroczystości.

W dziesięć minut później maszerowaliśmy dalej.

ROZDZIAŁ XXIV.

OD BORODIANKI DO KOROSTENIA.

Z Borodianki wyruszyliśmy w kierunku Nowej Budy, Piaskówki i Makalewicz. Szliśmy pół dnia i całą noc bez przerwy. Rano dotarliśmy do Malina, miasteczka leżącego nad rzeką Irszą. Pięćdziesiąt kilometrów marszu, odbytych w całym rynsztunku wojennym, jednym tchem, nie należy wcale do rzeczy łatwych ani tem bardziej przyjemnych. Żołnierze byli tak zmęczeni, że kładli się pokotem na ziemi i natychmiast zasypiali.

Początkowo myśleliśmy, że Malin będzie końcowym etapem naszego odwrotu. Upewniły nas w tem mniemaniu pozaciągane wzdłuż Irszy druty kolczaste. W Malinie zastaliśmy mnóstwo różnych taborów i niewielką ilość żołnierzy z 12-go pułku piechoty. Żołnierze ci opowiadali o jakichś wielkich klęskach, poniesionych przez nasze wojsko, czemu nie dawaliśmy wiary.

Miasteczko zajmowali bolszewicy przed kilku dniami i obecnie mieli znajdować się tuż-tuż. Wśród taborytów panowało wielkie podniecenie, gdyż ktoś rozpuszczał pogłoski, jakoby oddziały linjowe otrzymały rozkaz nie krępowania się stratami taborów i w razie potrzeby pozostawiania ich własnemu losowi.

Tak byliśmy pewni utrzymania się czas dłuższy, że por. Romańczuk kazał wyprząc konie z kuchni oraz taboru kompanijnego i puścić je na trawę. Aliści już około 9-ej czy 10-ej rano ogłoszono alarm i dalszy marsz.

W naszej kompanji zrobił się wielki gwałt, gdyż trzeba było posyłać po konie na łąkę. Tymczasem bataljon, nie czekając na nas, ruszył z miejsca. Nie chodziło nam tyle o tabor, co o wozy z karabinami maszynowemi, bez których przecież kompanja nic nie znaczy. Zrozpaczony Romańczuk kazał je ciągnąć żołnierzom i sam dla przykładu schwycił za dyszel. Maszerowaliśmy tak jakie pół kilometra. Wreszcie taboryci przyprowadzili konie.

Na drodze za Malinem toczyły się snać jakieś bitwy, gdyż leżały tam trupy koni, porzucone karabiny, połamane wozy, słowem, widać było nieomylne znaki niedawnej walki.

Po rozpoczęciu marszu zdawało nam się, że nie ujdziemy dalej nawet kilku kilometrów, że to fizyczna niemożliwość, ale maszerowaliśmy jeszcze długie dni i wciąż jeszcze nie było kresu naszym udręczeniom.

Dalszy odwrót zaskoczył nas. Nie przypuszczaliśmy, że położenie może być tak poważne, aby trzeba było cofać się aż na Wołyń. Widocznie jednak było źle, skoro nie zatrzymaliśmy się w Malinie. Świadomość ta, wraz z faktem, że pod Borodianką straciliśmy w bataljonie trzech oficerów (Pełka i Policzkiewicz zabici oraz Piasecki ranny) i sporo szeregowych, nie nastrajała nas na nutę zbyt wesołą. Zmęczenie też robiło swoje. Wlekliśmy się tedy ponuro, źli i posępni.

Widok oddziałów bolszewickich wywoływał w nas wściekłość. Uderzaliśmy na nie pierwej jeszcze, aniżeli zdążyły zastanowić się, co to znaczy, lub chociaż byle jak okopać. Zmęczenie wtedy gdzieś znikało, chęć snu i odpoczynku ulatywała niepostrzeżenie, a pozostawała tylko złość i głucha zawziętość. Żołnierze bili się zaciekle i nie dawali pardonu.

Gdy przymaszerowaliśmy do miasteczka Korostenia, węzłowej stacji kolejowej, odbył się, opisany wyżej, pogrzeb podporucznika Policzkiewicza.

Tymczasem nadeszły wieści, że Budienny wysłał z Żytomierza dwie dywizje kawalerji w kierunku północno-wschodnim i że szły one drogą Ośniki-Annopol na Korosteń. W związku z tem wysłano nasz bataljon z jedną baterją armat na osłonę armji od południa, czyli od tych dwóch kawaleryj-

skich dywizyj. Na drugi dzień doszliśmy do Czopowicz, gdzie zastaliśmy oddziały 6 pułku. Tam wypoczywaliśmy jeden dzień.

Już w Czopowiczach zauważyłem, że żołnierze mają podarte buty i nogi poodparzane. A było to dopiero w tydzień po opuszczeniu Kijowa, gdzie wszystko dostaliśmy nowiutkie.

18 czerwca połączyliśmy się z pułkiem we wsi Paszyn.

Do tego czasu dowództwo 1 dywizji sprawował dowódca 3 armji generał Rydz-Śmigły, i dopiero w drugiej połowie czerwca dowódcą jej mianowano pułkownika Juljana Rómmela, a jego szefem sztabu kpt. Pióreckiego.

Nastrój podówczas panował nietęgi.

Nieustanne cofanie się, niejednokrotnie nawet po zwycięskich bitwach, wywoływało ogromne zdumienie. Trudno było wymagać, aby żołnierze orjentowali się w położeniu całego frontu, więc też nic dziwnego, że pomstowali i narzekali. Jednakże w te dni żołnierz zahartował się na najszlachetniejszą stal, która wytrzymała później ciężkie próby i wytrzymała zwycięsko.

ROZDZIAŁ XXV.

JAK UMIERALI ŻOŁNIERZE POLSCY.

Sowiecki głównodowodzący wściekły że nasza 3 armja, wbrew wszelkim jego obliczeniom, wymknęła mu się z rąk, zdecydował za wszelką cenę rozbić ją w obszarze Korostenia.

Postanowił uderzyć z trzech stron.

Z północy wysłał 8 tysięczny oddział piechoty pod dowództwem Golikowa, który miał za zadanie zniszczyć sprzymierzoną z nami 6 ukraińską dywizję strzelecką, a jednocześnie od wschodu skierował na nas 44 i 47 pieszą dywizję.

Budienny, stojący na czele armji konnej, otrzymał rozkaz przerwania naszego frontu wzdłuż linji kolejowej Korosteń — Zwiahel i wykonania manewru od południowego wschodu na węzeł kolejowy Korosteń.

Ruchy związane z tym planem nie uszły uwagi naszych dowództw, które wobec wytworzonego położenia zarządziły szereg posunięć, mających na celu udaremnienie zamierzeń bolszewickich.

Już 18 czerwca armja konna weszła w styczność z oddziałami 12 pułku piechoty w okolicach wsi Jabłoniec. Wytworzyło się tam dość krytyczne położenie, gdyż przeciw nielicznym naszym oddziałom występowały olbrzymie masy kawalerji. Powiadomiony o ciężkiem położeniu ppłk. Dąb-Biernacki, dowódca doraźnie utworzonej grupy operacyjnej, w której skład wchodził oprócz naszego pułku 12 p. p. i inne oddziały po-

mocnicze wraz z artylerją, wyjechał natychmiast z trzema oficerami na zagrożony odcinek, wydając przedtem rozkaz 1 pułkowi udania się wślad za nim koleją.

Koleje na froncie funkcjonowały źle, więc też pociągi otrzymaliśmy dopiero następnego dnia po południu. Po kilkugodzinnej jeździe w kierunku Zwiahla, wyładowaliśmy się na stacji Jabłoniec, gdzie panował już względny spokój, i ruszyliśmy w obszarz Baskaki — Biełka. Tam zluzowaliśmy oddziały 12 p. p.

Późnym wieczorem przybył pociąg pancerny, który natychmiast wysłano na zwiady w kierunku Zwiahla.

Chwilowo wówczas dowodził pułkiem kpt. Pakosz, dowódca III bataljonu, w którym zastępował go ppor. Burczak. W Korosteniu powrócił ze szpitala kpt. Kruszewski i objął dowództwo pułku zpowrotem.

Dwudziestego czerwca ranc ruszyliśmy dalej na południe, w kierunku Baranówki.

Budienny się cofał.

Widocznie ciężkie straty, jakie poniósł w walkach z 12 pułkiem piechoty oraz przyjście naszego pułku, o czem, bezwątpienia musiał się dowiedzieć, „speszyły" go.

Wojsko cofa się zwykle drogami, ale Budienny szedł szerokim pasem, przez uprawne pola i łąki.

Goniony przekleństwami chłopów, uchodził pośpiesznie w kierunku Zwiahla.

We wszystkich wioskach spotykaliśmy nieomylne ślady, że przed krótką chwilą kwaterowały tam jego oddziały. Porozwalane i popalone płoty, pozrywane z dachów poszycie na podściółkę dla koni, zrabowane zapasy żywności i paszy oraz lamenty dziewcząt — świadczyły najwyraźniej o przejściu „świetnej" jazdy Budiennego.

Około pierwszej po południu dotarliśmy do Baranówki, w której nasz bataljon obsadził wyżynę przed wsią, po obu stronach rzeczki Biełki. Czołem zwróciliśmy się na południe. Wtedy już nikt się nie dziwił, że jednego dnia front „trzymaliśmy" na wschód, innego na zachód, a jeszcze innego na południe lub północ.

Moja kompanja stała na lewem skrzydle i ubezpieczała je. Podobno dalej miał stać 12 p. p., ale wysłany patrol wrócił bardzo prędko, oświadczając, że natknął się na kawalerję nieprzyjacielską. Istotnie, gdy wszedłem na drzewo, zobaczyłem na horyzoncie kręcące się podjazdy bolszewickie.

Przed nami leżały jakieś pola i mokradła. Ostrzał był dość dobry. Daleko, daleko, majaczyła wieś Sucha Wola, obsadzona przez bolszewików. Dowódca grupy, chcąc zbadać co się dzieje na horyzoncie i czy bolszewicy kontynuują odwrót, kazał wysłać z naszego pułku dwie kompanje piechoty pod dowództwem solidnego oficera, aby dotarły do Suchej Woli i dostały języka.

Wybór padł na por. Holinkowskiego, który wziął 5 i 6 kompanję (razem 230 ludzi i 8 karabinów maszynowych), wyruszając niezwłocznie.

Do Suchej Woli było 7 kilometrów. Początkowo marsz odbywał się bardzo spokojnie i nic nie zdradzało, aby nieprzyjaciel posiadał tam większe siły, względnie, aby miał przyjąć bitwę.

Dopiero przed samą wsią por. Holinkowski spostrzegł wielki ruch, sądząc jednak, że będzie miał do czynienia z niewielkiemi siłami, rozwinął się w tyraljery i ruszył do natarcia.

Wtedy spotkała go straszliwa niespodzianka.

Niewinnie wyglądająca wieś, po zbliżeniu się do niej na odległość stu kroków, zionęła morderczym ogniem artylerji.

W szeregach naszych rozległ się jęk rannych.

Jednocześnie z ogniem dział zaterkotały dziesiątki karabinów maszynowych, a w kilkanaście minut później wysunęły się wielkie masy kawalerji i zajęły nieszczęśliwemu półbataljonowi tyły.

Rozproszeni w tyraljerze żołnierze, na dobitek w terenie pokrytym wysokiem zbożem, musieliby natychmiast ulec w walce z kawalerją, to też Holinkowski usiłował zebrać ludzi na drodze i sformować czworobok zdolny do obrony na wszystkie strony.

Dzięki nadludzkiemu wysiłkowi tego oficera, który już

w początku bitwy był ranny, udało się ów zamknięty ze wszystkich stron czworobok zebrać i w porządku się cofać.

A jaki to był odwrót?!

Na otwartej przestrzeni, w oddaleniu pięciu kilometrów od najbliższego oddziału polskiego, pod naciskiem kilku tysięcy piechoty i kawalerji, cofało się dwustu żołnierzy naszych, broniąc się zaciekle i z odwagą godną w zupełności czynów naszych przodków.

Okrótna i nielitościwa śmierć wyrywała z ich szeregów coraz to nowe ofiary. Kozactwo, na podobieństwo zgłodniałych, wściekłych psów, wyło ze złości, że nie może „Lachów" rozszarpać natychmiast żywcem. Coraz to nowe ich natarcia rozbijały się o piersi straceńców.

Dla żołnierzy 1-go pułku, zwycięzców w setkach bitew i potyczek, słowo „klęska" było równoznaczne ze słowem — śmierć.

Umierali też jeden po drugim, jak na żołnierzy polskich przystało.

Nikt nie wołał o pardon, nikt nie wbijał bagnetu w ziemię, nikt nie przekładał życia w niewoli nad śmierć.

Nie było w naszym pułku między żołnierzem, a oficerem innej różnicy, jak tylko różnica odpowiedzialności za bitwę, to też pod Baranówką jednako ginął oficer, jak i szeregowiec. Niech też jednakowo lekką będzie im ta ziemia!

Por. Holinkowski został ranny drugi raz, a nie chcąc być przeszkodą towarzyszom, ani nie chcąc dostać się do niewoli, popełnił na placu boju samobójstwo, rozszarpując się granatem ręcznym.

Najstarszy po Holinkowskim oficer, ppor. Kiciński, poległ wkrótce, wślad za nim poszli dowódcy plutonów: sierżant Aleksander Strigl i sierżant Adolf Grau. Zleli obficie krwią kresowe ziemie ppor. Nacewicz, ppor. Sobolta Fr.,[1]) ppor. Zdon Marjan, ppor. Oskres i niepospolitą odwagą obda-

[1]) Dzisiaj kapitan i kierownik kancelarji w gabinecie ministra spraw wojskowych.

rzony podchorąży Galiński[1]). Na 9 oficerów, którzy wyruszyli na wyprawę, dwóch zginęło, pięciu odniosło ciężkie rany, a tylko dwóch: ppor. Chmura i ppor. Bojanowski, wrócili cali i zdrowi.

Z 230 ludzi pozostało 80 zdrowych i 84 rannych.

Reszta?.. „śpi w ciemnym grobie".

Początkowo odgłos bitwy, dochodzący z coraz bliższej odległości, nie przedstawiał nam się jako wielkie niebezpieczeństwo, grożące wysłanemu do Suchej Woli półbataljonowi. Ponieważ wracał on inną drogą, przypuszczałem nawet, że to zbliżają się bolszewicy, w czem utwierdzał mnie widok krążącej na przedpolu ich kawalerji. Kazałem nawet dać kilkadziesiąt strzałów w ich kierunku, ale natychmiast przekonałem się, że przede mną musi dziać się coś strasznego, coś, czego nie chciałem nawet przypuszczać, a co, niestety, okazało się prawdą. 5 i 6 kompanja, zdziesiątkowane, cofały się, z trudem opędzając się następującym im dosłownie na pięty bolszewikom.

Po krótkiej chwili niedobitki półbataljonu zbliżyły się do naszych linij. Pokrwawieni, upadający ze znużenia, jeden drugiego wspierający, cofali się żołnierze w ponurem, groźnem milczeniu. Przy naszych pozycjach padali bez czucia.

Szeregowcy, patrząc na te żałosne postacie, te półtrupy, wlokące się ostatkiem sił i woli, zaczęli unosić się straszliwym gniewem. Sroga zawziętość wykrzywiła ostre rysy chłopów mazowieckich, z których składała się w większości moja kompanja. Zaczęto domagać się pójścia do natarcia. Pamiętam do dzisiaj, jak podbiegł do mnie rosły żołnierz, fornal dworski z zawodu, i machając rękami, zaczął wołać:

— Pójdziemy, panie poruczniku, pójdziemy wyrżnąć psiajuchów!

Bolszewicy tymczasem znacznie się zbliżyli. Kawalerja objeżdżała nas z boku. Zagrały maszynki...

---

[1]) Galiński już jako porucznik był w latach 1923 — 1926 adjutantem marszałka Piłsudskiego.

Kapitan Kruszewski przysłał nam w pomoc armatę. Jedną armatę. Konie zostały za górką, więc żołnierze na rękach niemal zanieśli ją do linji, oczekując z niecierpliwością jej potężnego basu.

Dowódca działonu nie potrzebował bawić się w wyliczania i wstrzeliwania. Wróg był widoczny jak na dłoni, dzieliła go od nas przestrzeń paruset metrów. Kanonierzy pracowali wytrwale i w pocie czoła, moi piechociarze pomagali, jak kto umiał i mógł.

Do wieczora trwał srogi i zażarty bój.

O godzinie 10 wieczorem nadszedł rozkaz wycofania się z pozycyj. Straż tylną miał pełnić pierwszy bataljon, a w bataljonie 1. kompanja.

Późną nocą dotarliśmy do miejscowości Suszki, skąd, niemal bez odpoczynku, ruszyliśmy w kierunku rzeki Uborci, gdzie mieliśmy zająć stałe linje.

ROZDZIAŁ XXVI.

SIELANKA NAD RZEKĄ UBORCIĄ.

W czasie odwrotu z pod Suchej Woli i Baranówki, ppłk. Dąb-Biernacki, dowódca grupy, otrzymał rozkaz zajęcia lewego skrzydła 3 armji i obsadzenia rzeki Uborci, na odcinku od Zacerkowja do miasteczka Podłuby.

Nasz pułk maszerował całą noc i cały dzień. Deszcz mżył i nikt nie miał na sobie suchej nitki. Głodni, zziębnięci i zmęczeni dotarliśmy do wioski Czmiel o godzinie 20.

Następnego dnia, 22 czerwca, o godzinie 5 rano wyruszyliśmy w dalszą drogę, aby po południu znaleźć się na linji rzeki Uborci.

Okres walk nad Uborcią i późniejszy kontredans w jej okolicach, kiedy to raz cofaliśmy się, to znowu szliśmy naprzód lub w bok i t. d., był okresem tak kalejdoskopowych wrażeń, że w pamięci pozostało mi z nich bardzo niewiele. Pamiętam tylko nieustanne marsze, bitwy, potyczki, natarcia, cofania się, głód, upał, brak snu i inne tego rodzaju przyjemności wojenne. Słowem, z całego tego okresu utkwiło mi w głowie tylko pierwszych kilka dni względnego spokoju, podczas których kąpałem się całemi godzinami w Uborci, łapałem rękami raki, a na wędkę ryby. Żyłem jak na letnisku. Wprawdzie od czasu do czasu patrole postrzelały na przedpolu, lecz było to za mało, aby wyprowadzić mnie z równowagi

i pozbawić zadowolenia z siebie. Bardzo niewiele wymagało się wówczas od życia!...

Sielanka ta trwała niedługo. Może dwa, może trzy dni. W każdym razie wystarczyło ich na to, aby wspomnienie pozostało na wiele lat.

Pewnego razu otrzymałem rozkaz zajęcia wioski Sztołpinki, leżącej o cztery kilometry od naszej pozycji.

Wyruszyłem z kompanją rano (por. Romańczuk był wtedy nieobecny, gdyż odwoził narzeczoną do Polski). Szedł ze mną pluton karabinów maszynowych pod dowództwem ppor. Supińskiego. Supiński, doskonały kolega, wesoły i przyjacielski, znany w Warszawie z wielkiej urody i ochrzczony nawet przez kogoś „piękna Ewa", na wojnie nie przypominał wcale stołecznego eleganta. Ale stara namiętność bałamuta nie łatwo dawała się wykorzenić. Kochał się więc Supiński w... swoich karabinach maszynowych, ku zupełnemu zadowoleniu własnemu, jak zapewne i „maszynek".

Otóż po zajęciu Sztołpinki, której bolszewicy wcale nie bronili, zabraliśmy się do grania w karty i w ten sposób zabijaliśmy nudy oczekiwania na wiadomości, które powinny były przynieść wysłane patrole.

Sztołpinka należała do nielicznych już w Europie wsi, posiadających kurne chaty. W chatach tych niema powszechnych na całym świecie kominów, które zastępuje wielkie ognisko, rozłożone w kącie na glinianem podwyższeniu. Dym uchodzi przez niezbyt szczelny pułap. Łatwo sobie wyobrazić jak podobnie urządzone mieszkanie musi wyglądać brudno i niechlujnie. Taka izba, wieczorem oświetlana łuczywem, wtykanem, niby w świecznik, w rozszczepiony pień, przypominała do złudzenia chaty ludzi żyjących w czasach pokrytych obecnie już oddawna mrokami zapomnienia. Złudzenie potęgował jeszcze widok wielu kamiennych noży i siekierek, które chłopi znajdowali na polach i przynosili do domów. Pytani, skąd e mają, odpowiadali: „po drewnich ludziach znajdujemy, my sami zrobić ich już nie potrafimy". Przedmiotów tych używali na osełki, młotki i t. d.

W Sztołpince zjedliśmy swój zwykły obiad, to znaczy ka-

wał mięsa świńskiego, ugotowany w wodzie bez soli. Już od szeregu dni nie „fasowaliśmy" nic, a u chłopów było niepodobieństwem cośkolwiek zarekwirować, gdyż nic już nie mieli. Niesłone mięso świńskie tak mi już zbrzydło, że po kilku kęsach zaczęło zbierać mi się na wymioty. Zauważyłem, że i Supiński jadł z podobnym apetytem. Rzuciliśmy wreszcie ohydne mięsisko i zabraliśmy się znowu do popularnego „oka", czyli gry w „dwadzieścia jeden". Aliści zaledwie rozłożyliśmy karty, gdy tuż za oknami rozległy się strzały i krzyki. Po chwili wpadła przed chatę uciekająca w popłochu placówka.

— Bolsiewiki we wsi! — zaczęli krzyczeć żołnierze jeden przez drugiego i biec ku mojej kwaterze, gdzie przedtem jeszcze wyznaczyłem plac alarmowy.

W tym momencie zauważyłem tylko przerażoną twarz kucharza, który sam nie wiedząc co robić, mocował się z wielkim kotłem, chcąc go koniecznie przechylić i zawartość wyjać. Nauczony byłem wówczas cenić wszelkie zapasy żywności, więc też zanim jeszcze zorjentowałem się w położeniu bojowem, wrzasnąłem na kucharza:

— Hej! Jak mi jedno kilo mięsa zmarnujesz, to cię sam bolszewikom oddam.

Tego samego zdania był widocznie i jeden z podoficerów, bo wślad za mną jeszcze dodał:

— Wylej, wylej, ty taborycka twoja mać, to już ja ci „ruski" miesiąc przypomnę.

Alarm okazał się nieusprawiedliwiony. Wprawdzie na placówkę napadł jakiś bolszewicki oddziałek, ale, zdaje się, spotkanie było dla niego równą niespodzianką jak i dla placówki, tak, że po krótkiej wymianie strzałów uciekł z niemniejszym strachem od tego, z jakim placówka wróciła do wsi.

Dowiedziawszy się o tem, że nieprzyjaciel jest wpobliżu, wyruszyłem z kompanją za wieś i zaciągnąłem w najdogodniejszem miejscu linję.

Do większej bitwy w Sztołpince jednak nie doszło, ani wtedy, gdy zajmowałem ją sam, ani później, gdy wchodziliśmy do niej ponownie w sile całego bataljonu.

W jednym z licznych marszów, podczas których zmęczenie zdawało się wyczerpywać całą dobrą wolę i karność żołnierzy, przytrafiła się w mojej kompanji rzecz bardzo charakterystyczna. Pewnej nocy przyszliśmy do jakiejś wsi, gdzie mieliśmy przespać się parę godzin. Jednak nie upłynęła nawet godzina, gdy przyszedł dowódca bataljonu, kpt. Marjański, i nakazał dalszy marsz. Takie zabranie z przed samego nosa wymarzonego odpoczynku zdenerwowało ludzi aż do ostatnich granic wytrzymałości. Rozpoczął się najpierw cichy szept, a potem głuchy pomruk:

— Nie możemy iść dalej!

— Nogi mamy poodparzane i całe w ranach!

— To już lepiej zginąć w tych bagnach!

Czułem w tych słowach nie brak karności, nie chęć buntu i nienawiść do oficerów, lecz prawdziwy ból i ostateczne już wyczerpanie.

— Lepiej zginąć! — powtarzał ktoś raz po raz.

Widocznie kpt. Marjański czuł to samo co i ja, gdyż nie wściekł się swoim zwyczajem, nie sobaczył, ani nikomu „familji po kątach" nie rozstawiał. Spokojnie rzekł:

— Mnie też Chińczycy w lektyce nie noszą, a muszę iść.

Żołnierze lubili kapitana Marjańskiego, więc głosy umilkły, tylko ktoś z tylnych szeregów odezwał się:

— Bić to bić, żołnierska to rzecz, ale uciekać i uciekać, sprawa nie dla nas.

W wyniku wszyscy zaczęli maszerować i całe zajście skończyłoby się, gdyby nie jeden z żołnierzy, którego nazwiska już nie pomnę, ale pamiętam, że przyszedł do kompanji z uzupełnieniem wileńskiem i pochodził z okolic Święcian. Otóż ten żołnierz, idący na czole kompanji, wystąpił nagle z szeregu i głośno oświadczył:

— Ja już z sił opadłszy. Dalej nie pójdę.

Słysząc to, kapitan Marjański podbiegł do niego, wyrwał mu z ręki karabin i krzyknął:

— Wynoś mi się natychmiast z kompanji! Marsz stąd!

Idź do bolszewików, czy też do samych djabłów. Wszystko mi jedno.

Kompanja pomaszerowała dalej w milczeniu, a we wsi pozostał jedynie nieposłuszny żołnierz. Jednak widocznie strach go ogarnął lub może żal za towarzyszami, gdyż nie upłynęło kilku minut, gdy podbiegł do kapitana i jął prosić, aby oddał mu karabin i pozwolił iść razem z kompanją. Teraz jednak kapitan nie chciał go przyjąć:

— Wynoś się do bolszewików!

Zrozpaczony żołnierz zaczął wreszcie płakać i zaklinać, że już nigdy słowa nie piśnie.

Dał się wreszcie kpt. Marjański ubłagać; żołnierzowi karabin oddał, ale za karę kazał go przenieść do taboru, co na drugi dzień uskuteczniłem.

Po licznych walkach nad Uborcią nadszedł wreszcie 30 czerwca rozkaz, który nakazywał naszemu pułkowi oddanie pozycji w ręce 7 dywizji piechoty i udania się do obszaru Kołysze — Zabara — Kaczyczyn.

Jeszcze tego samego dnia o godzinie 24 przymaszerował I bataljon do Zabary, rozkwaterował się po chatach i wystawił naokoło, jak zwykle podówczas, placówki i czujki.

ROZDZIAŁ XXVII.

ZAWODY Z CZERWONEM KOZACTWEM.

W końcu czerwca dowództwo frontu ukraińskiego objął generał Rydz-Śmigły. Nowy dowódca postanowił zerwać z dotychczasową taktyką biernego zachowywania się w stosunku do nieprzyjaciela i przejść do działania zaczepnego.

„Komandir" rosyjskiej armji konnej, Budiennyj, zajął miasteczko Korzec i, rozkwaterowawszy się w okolicznych wsiach, kuł konie i zbierał siły do nowych bojów.

Generał Śmigły postanowił uprzedzić jego zamierzenia i uderzyć nań niezwłocznie.

Natarcie szło z kilku stron; na Korzec miała uderzyć 6 dywizja piechoty.

Nasz bataljon razem z całą 1 brygadą piechoty legjonów ruszył na miasteczko Horodnicę. Bolszewicy zaatakowali nas, lecz bezskutecznie. W wyniku, ze względu na ogólne położenie, a zwłaszcza na nieudałe działanie 6 dywizji na Korzec, powróciliśmy na stare miejsce wypadowe, do Zabary.

Wtedy to dostaliśmy uzupełnienia.

Uzupełnienia te były właściwie przeznaczone dla innych pułków, lecz, ponieważ nie mogły się do nich przedostać, ppłk. Dąb-Biernacki, bojąc się, aby bataljon marszowy nie wpadł w ręce bolszewików, postanowił rozdzielić go między swoje oddziały. Pierwszy bataljon otrzymał 40 ludzi, samych rekru-

tów, mało wyszkolonych i o wojnie nie mających „zielonego" pojęcia. Na drugi czy trzeci dzień otrzymaliśmy znowu uzupełnienie, tym razem z marszówki, przeznaczonej dla 15 i 34 pułków piechoty. Również i ci ludzie błąkali się, nie mogąc odnaleźć, względnie nie mogąc nigdy dogonić, ciągle w marszu będących swoich oddziałów.

Po tych uzupełnieniach 1-szy pułk, którego stan zaczął już spadać poniżej dwóch tysięcy ludzi, podniósł się do dwóch i pół tysiąca.

Trzeciego lipca rano wyruszył pułk w dalszą drogę. Po trzydniowym, ciężkim marszu, w czasie którego kilku ludzi z brygady padło od porażenia słonecznego, dotarliśmy do miejscowości Leonówka, leżącej tuż nad brzegiem rzeki Horyń, w pobliżu miasteczka Tuczyna.

Pod Tuczynem bolszewicy nas zaatakowali i wywiązała się dość ciężka walka. Pomimo odparcia ataków, tego samego jeszcze dnia wyruszyliśmy dalej.

W czasie marszu nadeszły wieści, że Równo, leżące od nas na zachód, zajął Budienny.

I znowu dwie noce i dwa dni ciężkiego marszu, bez snu, bez jedzenia, z sercem pełnem smutku nad losem srogo doświadczanej Ojczyzny.

Pod wsią Zaborolem, o dzień drogi od Równego, walczył z przemożnemi siłami kawalerji kozackiej 65 pułk piechoty. Ósmego lipca po południu doszliśmy do tej wsi i mieliśmy zmienić walczące oddziały.

Poszedłem z kpt. Marjańskim na pozycję, aby ją obejrzeć. W czasie tych oględzin drobne natarcia bolszewickie przemieniły się w potężne natarcia, popierane nieustannemi szarżami jazdy.

Oddziały 65 pułku zaczęły się wycofywać. Rad nie rad, musiałem również się cofać i tylko widząc, że wszyscy zginiemy, gdy nie powstrzymamy choć na chwilę rozpędu kawalerji, schwyciłem jakichś uciekających „karabiniarzy" i kazałem im natychmiast zatrzymać się i ustawić „maszynkę". Ustawili ją jako tako i rozpoczęli ogień. Trwało to jednak krótko, gdyż żołnierze pierzchnęli. Został tylko komendant „ma-

szynki" i ja. „Taszczyliśmy" przez kilka minut ciężki karabin, nie chcąc, aby wpadł w ręce przeciwnika. Na szczęście kpt. Marjański dopadł już naszego bataljonu i natychmiast rzucił do przeciwnatarcia 1 i 3 kompanję.

Z dumą patrzyłem na swoich chłopców, którzy szli spokojnie, poważnie i w milczeniu. Momentalnie zatrzymali kawalerję, która zaczęła pomykać ku widniejącemu z boku lasowi.

W tej bitwie widziałem szarżę jednego z naszych pułków kawaleryjskich, w którym, opowiadano, służył jako oficer jeden z Habsburgów.

Chwilowy popłoch, jaki ogarnął bolszewików, prędko ustąpił, a wślad za pewnem uspokojeniem, nastąpił szereg przeciwnatarć i szarż. Bitwą miał podobno kierować sam Budienny, który nadjechał z Równego.

Miałem w plutonie żołnierza, którego wszyscy nazywali Franusiem. Tak ten „Franuś" do niego przylgnął, że nikt właściwie nie znał jego nazwiska. Franuś i już. Inaczej go nie nazywano. Był tam gdzieś w książkach kompanijnych przez sierżanta szefa zapisany, ale na wojnie nikt do książek nie zagląda. Chłop to był już starszy, wąsaty i milczący— ochotnik z jakiejś wioski kaliskiej. W bitwie pod Zaborolem widziałem jak wyrywał się naprzód, coś tam zajadle na bolszewików pomstując. Uderzyła mnie ta jego niezwykła mowność.

— Franuś — zawołałem ze śmiechem — cóż to tak dzisiaj pyskujesz?

Franuś skonsternował się, umilkł, ale nic nie odpowiedział.

Odpowiedział natomiast za niego jeden z koleżków.

— A bo, panie poruczniku, Franusiowi Moskale stryjecznego zabiły.

— A gdzież on tego stryjecznego miał?

— W piątym pułku, municjom przy maszynkach nosił.

— I zabili?...

— Zabili, psiajuchy, panie porucniku. Mogiłkę to mu chłopaki galantą wyszykowały, ale zawżdy lepiej w dziurawej chałupie, niż w dostatniej mogiłce.

Bitwa trwała i nie było czasu na jałową gadaninę.

W godzinę później, w chwili dość dla mojego odcinka groźnej, gdy bolszewicy podeszli jednym z licznych parowów i zaczęli siać po nas śmiercionośnym ogniem karabina maszynowego, ujrzałem znowu Franusia, jak biegł pędem prosto na nieprzyjaciela, wywijając nad głową ręcznym granatem. Po chwili usłyszałem kilka głuchych detonacyj, a jednocześnie siekący nas karabin maszynowy zamilkł.

Po bitwie zameldowano mi, że Franuś zginął.

Dopiero późnym wieczorem batalion zebrał się na drodze, wiodącej do Równego, do którego schronił się Budienny ze swojem wojskiem.

Przy obliczaniu strat okazało się, że został ranny sierżant Banaszkiewicz. Dopiero w rok później dowiedziałem się, że ciężko ranny Banaszkiewicz jechał chłopską podwodą do stacji Aleksandrji, i że w czasie tej drogi natknął się na maszerującą bolszewicką kolumnę, która zabrała go do niewoli. Banaszkiewicz po wyzdrowieniu niezwłocznie umknął i szczęśliwie dostał się do Polski.

Pomaszerowaliśmy dalej.

Śliczna pogoda, która towarzyszyła nam przez cały czas bitwy, zepsuła się pod wieczór. W nocy powstała straszliwa burza z piorunami, deszczem i wichrem. Oficjalny komunikat Sztabu Generalnego zanotował nawet, że „wśród wichru i burzy posuwała się 1-sza brygada piechoty..." Istotnie, musiała to już być niezwykła pogoda, skoro zanotowano ją nawet w komunikacie.

Kilka dni marszu, kilkanaście godzin ciężkiego boju i znowu marsz w okropnych warunkach, zdawało się być kresem dla naszych sił. Lecz tylko zdawało się.

Blady świt zastał nas tuż pod Równem.

W chwili, gdy z przedmiejskich chat wyciągaliśmy zaspanych „towariszczej", z drugiego końca miasta „wyrywał" Budienny. Nie mógł watażka przypuszczać, że wojsko, zmęczone całodziennym bojem będzie zdolne nietylko nie spać, ale jeszcze całą noc maszerować.

A jednak tak było.

Uciekł więc, a w jego kwaterze rozsiedliśmy się dumnie, my, żołnierze polscy.

Nawiasem mówiąc, w izbie, opuszczonej przez Budiennego, znaleźliśmy na stole, przygotowaną na śniadanie, pieczoną gęś. Chcieliśmy początkowo ją zjeść, ale ponieważ słusznie ktoś zaznaczył, że mogła być zatruta, daliśmy ją psom. Psy gęś zjadły, ale nie pozdychały. Później żałowaliśmy swej oględności.

Ludność Równego była tak przerażona wypadkami, następującemi po sobie z piorunującą szybkością, że nawet nie pośpieszyła nas witać. Cała ta wojna wyglądała na historję „z nieprawdziwego zdarzenia". Najpierw od strony Kijowa, zajętego przez Polaków, nadeszli bolszewicy, później od strony tegoż samego Kijowa, zajętego przez bolszewików, Polacy...

Proszę sobie wyobrazić minę fachowego wodza, który w takim bałaganie ma stosować „najnowsze zdobycze wiedzy wojskowej".

W Równem znaleźliśmy dwie nasze piętnasto i pół centymetrowe armaty, które bolszewicy zdobyli w Żytomierzu. Nie mieliśmy koni, aby je zabrać, więc umyśliłem je zniszczyć. Wtedy dopiero poznałem, jak taka „maszynka" jest solidnie zmontowana. Ani rusz coś w tem popsuć. Nie mając czasu bawić się zbyt długo, kazałem obłożyć je drzewem i podpalić, poczem, nie czekając na wynik, odmaszerowałem.

Na kilka dni przed odebraniem Równego bolszewicy napadli niespodziewanie na jakiś urząd 3 dywizji piechoty legjonów i zabrali nieco ludzi do niewoli. Między innymi wpadło w ręce bolszewików kilka panien piszących na maszynie. Niektóre uciekły i ukryły się w Równem u ludności cywilnej. Jedna z nich zgłosiła się do nas. Panna była dość ładna i rezolutna. O bolszewikach opowiadała z humorem i wcale nie robiła sobie tragedji z kilkudniowego wśród nich pobytu.

Przez cały dzień bolszewicy kręcili się naokoło miasta, atakowali i starali się nas zastraszyć pokazywaniem dużej ilości kawalerji.

W mieście zebrały się olbrzymie tabory, które o zmroku zaczęły wyciągać się na drodze do Klewania. Gdy noc zapadła, otrzymaliśmy rozkaz do dalszego odwrotu na Klewań.

Był to dziwny odwrót.

Cofaliśmy się, ale przed sobą mieliśmy nieprzyjaciela. Cofaliśmy się, ale nieprzyjaciel przed nami uciekał. Sam djabeł nie mógłby wyrozumieć, gdzie są bolszewicy, a gdzie nasi.

Maszerowaliśmy całą noc. Tabory w czasie drogi tak się pomieszały i „skołtuniły", że chwilami jechały ich trzy, albo i cztery rzędy. Spać mi się chciało okrutnie, więc też potykałem się nieustannie lub idąc drzemałem. Wreszcie przewróciłem się, a upadłszy zasnąłem. Kto wie czyby takiego śpiącego nie zabrali bolszewicy, gdyby nie straż tylna, która znalazła mnie w rowie.

Nastał dzień, a pułk wciąż jeszcze maszerował. Ludzie byli już tak wyczerpani, że kolumna posuwała się z minimalną szybkością. Robiliśmy najwyżej dwa do trzech kilometrów na godzinę, podczas gdy w zwykłych warunkach sześć, a nawet i siedem kilometrów na godzinę uważaliśmy za normalny wysiłek.

Około południa doszliśmy do Klewania. Bataljon rozłożył się pod lasem i tam miał zjeść śniadanio-obiado-kolację.

Kapitan Kruszewski, który w czasie bitwy pod Tuczynem dostał wiadomość o swej nominacji na podpułkownika [1]), zachorował ciężko i jechał na wozie, nie mogąc się z niego ruszyć. Pod Klewaniem omal nie zginął, gdyż artyleryjski pocisk bolszewicki rozerwał się tuż obok wozu, przewracając go i łamiąc.

Pułk objął dowódca II bataljonu, kpt. Kozicki (obecnie dowódca 6 p.p. leg., kaw. orderu virtuti militari).

Nie zdążyliśmy jeszcze zjeść dawno wyczekiwanej gorącej strawy, gdy bolszewicy, idący wślad za nami, zaczęli nas ostrzeliwać z drugiego brzegu rzeczki, nad którą leży Klewań.

Kapitan Marjański wysłał mnie z plutonem na mały cmen-

---

[1]) Nominację tę otrzymał kpt. Kruszewski przez weryfikację.

tarzyk, aby bolszewików powstrzymywać, a sam, w myśl otrzymanych instrukcyj, wydał rozkaz do odwrotu.

Strzelałem z dwóch maszynek za rzeczkę i byłem pewien, że nikomu nie uda się na moim odcinku przeprawić. Jednak bolszewicy przeprawili się gdzie indziej i nagle zauważyłem ich kawalerję, wysuwającą się z lasu i grożącą mi odcięciem od głównej kolumny.

Rozkazu o zejściu z placówki jeszcze nie otrzymałem.

Uczułem, jak po skórze zaczęły mi chodzić mrówki.

Wysłałem łącznika, w chwilę później drugiego, ale łącznicy nie wrócili i nadal nie wiedziałem, co robić. Bataljon już dawno znikł w lesie. Najwięcej lękałem się tego, że nie znając dalszej marszruty zabłądzę i wpadnę wraz z plutonem w ręce wrogów. Żołnierze zaczęli denerwować się i zdradzać niedwuznaczną ochotę do opuszczenia zagrożonej placówki. Z posterunku zejść samowolnie nie mogłem, gdyż nie wiedziałem, czy dowódca bataljonu nie przeznaczył nas umyślnie na ofiarę, aby tym sposobem uratować resztę ludzi. I byłbym pewnie zginął, gdyby nie łącznik konny, nazwiskiem Rejko, który przywiózł, w ostatniej niemal chwili, rozkaz połączenia się z bataljonem.

Kawalerja bolszewicka była w tym czasie od nas nie dalej, niż sto kroków. Musiałem najpierw spędzić ją, a dopiero później biegiem skoczyliśmy do lasu, gdzie po dobrej chwili połączyliśmy się z resztą pułku. Był to jedyny wypadek w mojej służbie, że zmykałem biegiem. Jedyny, ale nieprzyjemny.

ROZDZIAŁ XXVIII.

NAD HISTORYCZNĄ RZEKĄ.

Stukilometrowy marsz z Równego nad Styr nie należał wcale do marszów przyjemnych, ani nawet znośnych. Piachy, błota, brak jedzenia, podarte portki i buty, a przedewszystkiem najzupełniejsze „lekceważenie" przez dowódców potrzeby spania, sprawiły, że tych kilka dni należą w moim życiu, bezsprzecznie, do najgorszych.

Ostatnim tchem doszliśmy do Kołek, znanych żołnierzowi polskiemu jeszcze z czasów legjonów, i tu otrzymaliśmy rozkazy o zajęciu stałych linij na Styrze. Styr miał tak ustaloną opinję mocnej pozycji, że nie wątpiliśmy o dłuższem pobycie nad jego wodami. I nie pomyliliśmy się w obliczeniach, gdyż nad Styrem i Stochodem przetrwaliśmy prawie trzy tygodnie.

Nic tam się ciekawego nie zdarzyło — zwyczajnie pospolite bitwy. Nasz bataljon mało robił ciekawych wypadów, a i na niego mało napadano.

Po tygodniu, gdy już zdawało się, że jesteśmy utrwaleni na dobre, przestaliśmy martwić się o dalsze losy Polski, sądząc, że nadszedł kres niepowodzeń.

Jakoś w tym czasie powrócił z „hinterlandu"[1]) ppor. Janusz Strzelecki. Strzeleckiego przydzielił dowódca bataljonu

---

[1]) Hinterland — tyły.

do 1-ej kompanji. Przyjechał z nim młody ochotnik, student, Stanisław Rowecki. Obaj zakwaterowali się w mojej stodole przy rowach strzeleckich.

W końcu lipca Rosjanie zamierzali sforsować Styr i w tym celu silnie uderzyli na nasze linje, na północ od miasteczka Kołki (obsadzone nie przez 1 dyw. piech. leg.), i przerwali je. Jednocześnie Budienny na czele dwóch dywizyj kawalerji ruszył z obszaru Dubna na Brody. Przypuszczam, że założenie manewrów kawalerji na Wołyniu, które odbyły się w sierpniu 1925 roku, było opracowane na tym właśnie ataku Budiennego. Do walki z Budiennym wystąpiła zorganizowana w głębi kraju nasza armja konna, złożona z 1 i 2 dywizji jazdy, oraz niektóre oddziały 3 i 6 armji. Miała się wywiązać wielka bitwa w obszarze Beresteczka, lecz dalsze działania zmieniły nieco te plany.

Nasz pułk zebrał się 27 lipca w miasteczku Rożyszcze, skąd pomaszerował do Łucka. Jedynie I bataljon przewieziono samochodami. W czasie tej jazdy mieliśmy wypadek: samochód ciężarowy, na którym jechałem wraz z 40 ludźmi, wjechał do rowu i wywrócił się. Rannych nie było, tylko potłuczeni. Ja kulałem przez kilka dni, gdyż czyjś karabin przygniótł mi nogę.

W Łucku bawiliśmy bardzo krótko i zaraz o świtaniu następnego dnia wyruszyliśmy w kierunku Radomyśla, do którego przyszliśmy wieczorem.

W tym czasie dowództwo 1-ej dywizji objął ppłk. Dąb-Biernacki, brygadę zaś ppłk. Knoll-Kownacki.

Stan pułku ponownie spadł poniżej dwóch tysięcy.

29 lipca rano wyruszyliśmy na wypad, a właściwie podjęliśmy działanie ofensywne w łączności z innemi oddziałami, które, niestety, nie mogły ruszyć z miejsca i pozostawiły nas samym sobie.

Teraz nie pamiętam już nazw wiosek, które musieliśmy zdobywać, aby móc posuwać się. Walczyliśmy i szliśmy naprzód przez cały dzień. Wieczorem zatrzymaliśmy się na jakiemś polu, gdzie niemal przez całą noc dochodziły nas krzyki

komendy bolszewickiej: „wzwod pli!" [1]) i znowu „wzwod pli!" i tak aż do rana. Rano ruszyliśmy znowu naprzód.

Tyraljera posuwała się polami w pobliżu wsi Świszczewo.

Bitwa była żmudna, teren paskudny, ciężki.

Dostaliśmy się tam pod ogień artylerji sowieckiej, która zaczęła ostrzeliwać naszą tyraljerkę. Ratowaliśmy się szybkiem posuwaniem naprzód. W pewnej chwili padł ppor. Strzelecki od szrapnela, który rozerwał się tuż nad linją. Nie byłem wtedy przy tym oficerze, ale opowiadano mi później, że śmierć miał lekką, gdyż podobno tylko jęknął, obrócił się na drugi bok (leżał w tyraljerze) i zaraz umarł. Szeregowiec Rowecki, jego kuzyn, zaniósł ciało przy pomocy innych ludzi do wsi Lusznia, gdzie było dowództwo bataljonu i skąd za przepustką, którą mu na kolanie, na jakimś świstku papieru napisałem, zawiózł do rodzinnego miasta Piotrkowa. W Piotrkowie ppor. Strzeleckiego pochowano z honorami należnemi oficerowi, poległemu na polu chwały w obronie Ojczyzny.

Rowecki miał nielada trudności z wywiezieniem poległego, gdyż podówczas byliśmy otoczeni i najmniejsza nieuwaga musiałaby sprowadzić nieuchronną niewolę. Nadomiar złego wyszły rozkazy, że nie wolno wywozić nieboszczyków do kraju inaczej, jak w metalowych trumnach. Nikt jednak nie miał sumienia ściśle tych rozkazów wypełniać, więc też przewiezienie jakoś się udało.

Strzeleckiego bardzo żałowano, gdyż był lubiany za odwagę, wesołe, niefrasobliwe usposobienie i wielkie przywiązanie do pułku. W naszym bataljonie przebywał od czasów potrzeby wileńskiej. Brał udział w walkach w okolicach Święcian, jako dowódca 2 kompanji, a w wielu innych, jako oficer młodszy. W czasie odwrotu z Kijowa znajdował się w bataljonie zapasowym w Jabłonnie, skąd przybył z uzupełnieniem nad Styr i w dwa tygodnie później zginął.

Tego samego dnia został ranny dowódca mojej kompanji, porucznik Zenon Romańczuk, wskutek czego, na rozkaz do-

[1]) Pluton pal!

wódcy bataljonu, kompanję objąłem ja. Od 10 czerwca do 30 lipca 1-sza kompanja straciła dwóch oficerów zabitych i jednego rannego.

Zostałem w kompanji sam jeden.

Miałem starczyć za dowódcę i paru oficerów młodszych.

Nie pożegnałem się nawet z Romańczukiem, gdyż musiałem prowadzić bitwę dalej.

Za Lesznią bolszewicy nie bronili się, lecz uciekli w kierunku miasteczka Demidówki. Na przedmiejskiej uliczce dopadliśmy ich i zabraliśmy kilku do niewoli. Wpadł tam w nasze ręce jeden samochód ciężarowy. Bolszewicy uciekali tak prędko, że nie zdążyli zabrać ze sobą taboru. Widok wyładowanych wozów podniecił moich żołnierzy, którzy pędem rzucili się za niemi.

Przy tym taborze zauważyłem bolszewika, który wyciągnął z wozu jakieś czerwone płótno, czy też płachtę i starał się z tem umknąć. Ponieważ dzieliło mnie od niego zaledwie kilka kroków, więc natychmiast zwróciłem nań rewolwer i wezwałem do poddania. Bolszewik rzucił płachtę i podniósł ręce w górę.

Płachtę podniosłem z ziemi i przekonałem się, że był to sztandar. Na jednej jego stronie widniał wyhaftowany złotem napis: „proletarii wsiech stran sojediniajtieś", na drugiej zaś: „dołoj burżuazju". Sztandar ten kazałem jednemu z żołnierzy schować. Przez następnych kilka dni mieliśmy nieustanne boje i marsze. Dopiero coś w tydzień później przywołałem tego żołnierza i kazałem sobie chorągiew oddać.

Żołnierz, usłyszawszy moje słowa, zmieszał się.

— Nie mam już, panie poruczniku, tego śtandara.

— A gdzieżeś go podział?

— Zgubiułem.

— Jakto zgubiłeś, taką wielką płachtę?

Żołnierz, prosty chłopek, który przyszedł do nas z uzupełnieniem nad Uborcią, w wojsku służył dopiero kilka tygodni i miał o niem dość „zielone" pojęcie. Był bliski płaczu, ale wciąż powtarzał swoje „zgubiułem".

Zacząłem mu wymyślać po żołniersku, a więc nie nazbyt

delikatnie. Gdy tak „robiłem sobie ulgę", zauważyłem że z podartego trzewika żołnierza wyłazi kawałek jakiejś czerwonej materji.

— Zdejmcie no, przyjacielu, trzewiki — rzekłem.

Żołnierz (może miał, a może nie miał osiemnastu lat) zaczął płakać.

— Panie poruczniku—przyznał się—podarłem totą płachtę na onuce, bo buty się zdarli i palice wychodzili.

— Żeby cię cholera! — zakląłem, ale nie mogłem się nawet gniewać.

Pod Demidówką zaatakowała mnie kawalerja i mogło być wcale niewesoło, gdyby nie to, że przyszedł podporucznik Gorgoń z III bataljonu i zmienił mnie.

Z wielkim triumfem wróciłem do bataljonu, prowadząc zabrane wozy i niemało chlubiąc się zdobytym gramofonem, który jednak w żaden sposob, ku wielkiemu zmartwieniu kpt. Marjańskiego, nie chciał grać.

W bitwie tej został również ranny dowódca 2-ej kompanji, ppor. Wasiutyński.

Później, przez kilka dni trwały jakieś dziwne marsze i niemniej dziwne bitwy. To odchodziliśmy sobie gdzieś kilka lub kilkanaście kilometrów, a następnie wracaliśmy w te same miejsca, to znowu oddawaliśmy jakieś wioski, aby je potem na nowo zdobywać i t. d. Nic z tego wszystkiego nie rozumiałem i dopiero później dowiedziałem się, że manewry te oznaczały udział w bitwie pod Beresteczkiem, która rozgrywała się na dużych przestrzeniach.

ROZDZIAŁ XXIX.

ODWRÓT POD LUBLIN.

W początku sierpnia położenie na froncie było bardzo złe. Wprawdzie u nas, na odcinku 1-szej dywizji piechoty, nikt tego nie odczuwał, gdyż nie mieliśmy przegranych bitew, ucieczek, rozsypek lub rozbicia. Niemniej jednak stale cofaliśmy się i stale zbliżaliśmy się do serca Polski.

Wiadomości, które otrzymywaliśmy z innych frontów, a zwłaszcza z północy, mówiły nam, że gdzie indziej odbywa się wszystko gorzej i to nawet znacznie gorzej. Gazety wspominały o pociągach przepełnionych uciekinierami, o gwałtownem cofaniu się całych dywizyj i grup, o tem, że „Ojczyzna w niebezpieczeństwie". Jednocześnie zaczęły nadchodzić wieści o niezwykłem rozbudzeniu się patrjotyzmu w szerokich warstwach narodu, o tem, że ochotnicy zgłaszają się tysiącami na front, że jednak w sercu Polski, w Warszawie, duch nie upadł, i że pracują tam wszyscy z wytężeniem nad zaradzeniem złu.

W przeciwieństwie do roku 1919, kiedy wojną nie bardzo się interesowano, podówczas gazety były wypełnione wyłącznie sprawami wojska i wojny. Wojna stała się sprawą narodową. Jako widoczny dla nas wyraz tego zainteresowania było przybycie na front mnóstwa dziennikarzy. Do naszego bataljonu trafił sprawozdawca „Robotnika", o ile się nie mylę nazwiskiem Czarnocki. Przyjęliśmy go bardzo gościnnie

i obiecaliśmy wziąć na wypad, który miał nastąpić drugiego dnia o świcie.

Wypad odbył się na wioskę Kołpytów, gdzie wzięto kilkudziesięciu jeńców, kilka karabinów maszynowych i jedno działo. Byliśmy wszyscy radzi, że udało nam się przed dziennikarzem popisać.

Przez następne trzy dni zrobiliśmy przeszło sto kilometrów marszu i odbyliśmy kilkanaście potyczek. Dnia 8 sierpnia przekroczyliśmy Bug i po przebyciu ostatnich dwudziestu kilometrów dotarliśmy do stacji kolejowej Krystynopol w Małopolsce Wschodniej. Na stacji tej zastaliśmy czołówkę amunicyjną, której dowódca sądził, że na przedpolu niema już naszych oddziałów, jednak nie wycofał się, tylko ustawił na dachach karabiny maszynowe i czekał na rozkazy. Zobaczywszy naszą kolumnę, początkowo miał chęć ją ostrzelać, ale wkrótce rozpoznał, ku wielkiej swej uciesze, że to swoi.

W Krystynopolu panował wśród ludności niesłychany popłoch. Mnóstwo rodzin z rzeczami, dziećmi i całą swoją nędzą wyczekiwało na stacji pociągów i czepiało się transportów wojskowych. Kto miał konie i wóz, ten uciekał „swoim przemysłem". Każdy chciał być jak najdalej od nadchodzącego niebezpieczeństwa. Ewakuowała się również stacja kolejowa, ale narazie jeszcze funkcjonowała. Naczelnik stacji przyznał mi się, niemal z płaczem, że to już coś czwarty czy piąty raz ucieka z tej miejscowości.

— Parszywa miejscowość, panie poruczniku — zakończył swoje żale — już za Austrjaków trzeba było stąd wiać, potem za Ukraińców też, no a teraz znowu cî bolszewicy...

W Krystynopolu skończyła się nasza kampanja na Ukrainie.

Dnia 9 sierpnia oddaliśmy ostatecznie odcinek grupie majora Bystrama, składającej się z dwóch pułków jazdy, załadowaliśmy się na pociąg, poczem ruszyliśmy przez Galicję do Lublina.

Wszędzie po drodze spotykaliśmy poważne i zastraszone twarze. Wszędzie pytano się nas:

— Jak tam na froncie? czy może polepszyło się nieco?

W przeciwieństwie do cywilów, miny mieliśmy tęgie. Żołnierz przyzwyczajony do zwycięstw, nawet w odwrocie, nie mógł wydziwić się posępnemu nastrojowi w kraju i był pełen jak najlepszych nadziei. Lubił też przechwalać się, że jak 1-sza dywizja pojedzie pod Warszawę, to zaraz położenie na froncie się polepszy.

Najgorzej było z mundurami i obuwiem, a zwłaszcza z obuwiem. Ubranie otrzymane w Kijowie zniszczyło się już zupełnie i żołnierze świecili podartemi kolanami i łokciami. Ja sam, aczkolwiek byłem oficerem i dowódcą kompanji, miałem jedno kolano zupełnie wydarte, a bluzę tak brudną, że gdym się rozebrał, co zresztą zdarzało się dość rzadko, to mogłem ją postawić, jakby jaki posąg.

Koleją jechaliśmy czterdzieści osiem godzin.

Dowództwo armji generała Śmigłego znajdowało się podówczas w Lublinie. Na stacji zatrzymaliśmy się parę godzin i tu doszła nas wieść, która zupełnie pozbawiła nas humoru — połączenie kolejowe Lublin-Warszawa zostało przerwane, stacja Pilawa znajdowała się w rękach bolszewików.

Wiadomość ta omal nie wytrąciła mnie z równowagi. Na szczęście przyszły rozkazy, które pozwalały się domyślać, że zostanie rozpoczęte wielkie przeciwdziałanie, a z niemi wstąpiła w serce jakaś nieokreślona nadzieja.

W Lublinie otrzymaliśmy nowe umundurowanie i trzewiki, co natychmiast podniosło ducha w żołnierzach, którzy, zwłaszcza pochodzący z ziemi łomżyńskiej, zajętej już przez bolszewików, zaczęli oddawać się rozpaczy. Pomimo jednak tak beznadziejnego położenia karność nigdzie nie upadła, przeciwnie, raczej dawało się uczuwać większe skrzepnięcie ducha w oddziałach. Hasło „poco wleźli do nas?" było bardzo popularne i jednoczyło ludzi o zupełnie różnych przekonaniach społecznych.

W Lublinie nie wysiedliśmy, lecz pojechaliśmy parę stacyj dalej do miejscowości Trawniki, skąd w dniu 15 sierpnia przewieziono nasz bataljon samochodami do Lublina, a później do Lubartowa. W Lublinie zatrzymaliśmy się z godzinę, ponieważ miasto było przepełnione maszerującą

piechotą, jadącą artylerją i kawalerją, a przedewszystkiem niezliczonemi taborami przez które niesposób się było przecisnąć. Całe te nieprzejrzane masy ludzi, koni, samochodów i wozów zdążały w kierunku frontu. Był to najwyraźniejszy dowód, że Naczelne Dowództwo przedsięwzięło potężną ofensywę, która miała przynieść naszemu państwu śmierć albo zwycięstwo. Nasza dywizja, znowu doskonale umundurowana, dumna z posiadanego doświadczenia i pewna siebie, prezentowała się świetnie, wzbudzając entuzjazm tłumów ludzi, zebranych wokoło samochodów. Nie zapomnę nigdy widoku, gdy jakaś stara kobieta uklękła na brzegu chodnika i, żegnając nas trzymanym w ręku krzyżem, słała wślad za ruszającą kolumną słowa błogosławieństwa.

Przecisnęliśmy się wreszcie przez miasto i całą siłą ruszyliśmy szosą do Lubartowa. Na miejsce przyjechaliśmy już późnym wieczorem. Miasteczko pełne było wojska, tak pełne, że nawet niektóre dowództwa musiały kwaterować pod gołem niebem lub pod namiotami. W Lubartowie było już wiadomo powszechnie, że jutro rano rozpocznie się ofensywa i że ruszymy naprzód pod osobistem dowództwem Naczelnego Wodza, marszałka Piłsudskiego.

W nocy mało co spałem, gdyż mimo zmęczenia, debatowałem z kolegami na temat możliwości zwycięstwa. Byliśmy niemal pewni, że zwycięstwo odniesiemy, no i nie pomyliliśmy się.

ROZDZIAŁ XXX.

„JA TU GOSPODARZ, PSIAWIARO!“

Poranek 16 sierpnia był świeży i piękny.

Zanim jeszcze słoneczko zdążyło pochłonąć obfitą letnią rosę, już otrzymaliśmy rozkaz wymarszu. Na szosie za Lubartowem wyciągnęły się nieprzejrzane szeregi piechoty polskiej. Porządek, ład, spokój i pewność siebie zawsze cechowały 1-szą dywizję. W poważnych chwilach wszystkie te zalety ujawniały się w dwójnasób.

Ruszyliśmy naprzód.

Ostatnia próba!

Parę kilometrów za Lubartowem minęliśmy pozycje. Bolszewicy uciekli. „Dobra wróżba, dobrze zaczynamy" — zaczęto szeptać w szeregach i odrazu otucha wstąpiła we wszystkie serca.

W ofensywie z nad Wieprza 1-szy bataljon nie miał szczęścia. Nigdzie nie udało mu się mieć większej bitwy. Inne bataljony były szczęśliwsze.

Około południa doszliśmy do Parczewa, gdzie nasze patrole, porozsyłane po okolicy, wyłapywały oddziałki bolszewickie, zajmujące się młóceniem i zabieraniem zbiorów.

Jakoś na początku ofensywy objął dowództwo pułku po kpt. Kozickim, który odszedł na dowódcę 6 p. p., kpt. Zygmunt Wenda.

Po zjedzeniu obiadu w Parczewie ruszyliśmy dalej, maszerując bez żadnej przerwy przez całą noc.

Minęliśmy wreszcie Międzyrzec i doszliśmy pod Drohiczynem do Bugu. Na widok czystych wód tej historycznej rzeki, bronionej z takim uporem przez naszych dziadów w roku 1831, maszerujące kolumny jęły rozbrzmiewać okrzykami i wiwatami.

Podbiegł do mnie wtedy ppor. Jerzy Nowacki, adjutant bataljonu i zawołał:

— Mam cię bracie, musisz się upić.

— Cóż ty, zwarjowałeś? Przecie wiesz, że nie piję wcale.

— Nie wykręcaj się bratku. Mam świadków, że mówiłeś na Wołyniu, przy cofaniu się za Bug w Galicji, że jak tę rzekę ponownie przejdziemy, to się upijesz z radości.

Istotnie, przypomniałem sobie, że tak mówiłem.

— Ha! słowo się rzekło — musiałem się zgodzić, jednak słowa nie dotrzymałem, gdyż narazie nie było czasu, a w parę dni później zostałem ciężko ranny i odjechałem do szpitala.

Bolszewicy uciekali tak pośpiesznie, że oba rowy przy szosie, wiodącej do Drohiczyna, napełnione były przeróżnemi przedmiotami, wyrzuconemi z taborów dla ulżenia koniom. Przedewszystkiem zadziwiała mnie niesłychana mnogość przeróżnego rodzaju odezw, broszur, a nawet grubych książek komunistycznych, drukowanych w języku polskim. Zaiste, wielką pracę musiały spełnić polskie urzędy komunistyczne, funkcjonujące w Rosji, aby tyle materjału przygotować.

Most na Bugu nie był spalony. Mijając go zauważyłem, że w wodzie leżały całe sterty amunicji artyleryjskiej, wrzuconej tam umyślnie przez uciekające parki. Amunicji tej było tak dużo, że w wielu miejscach sterczały nad wodą spore wysepki.

Pod Drohiczynem była dość ciężka bitwa, ale 1-szy bataljon brał w niej bardzo mały udział.

Późnym wieczorem doszliśmy do małego miasteczka Boćki, gdzie nadeszły rozkazy, zawierające decyzję Rady Obrony Państwa w sprawie mianowania podoficerów bez cenzusu— oficerami, o ile okażą odpowiednią odwagę. W tych Boćkach wzięto do niewoli szefa sztabu 24 brygady piechoty so-

wieckiej, od którego dowiedzieliśmy się o niesłychanym pogromie Rosjan i o ich odwrocie na całej linji. Pokrzepieni temi wiadomościami, znowu ruszyliśmy naprzód.

Wytrzymałość ludzka ma jednak granice. Nie można bez odpoczynku maszerować przez tydzień i to robiąc każdego dnia co najmniej 50 kilometrów. Żołnierze zaczęli mdleć i zostawać w tyle. Wprost nie było sposobu na zmuszenie maruderów do podniesienia się z rowu lub kupy kamieni i do zrobienia choćby paru kroków. Leżał taki człowiek na szosie i obojętnym, tępym wzrokiem patrzał przed siebie. Kompanja zmalała do 80 ludzi, a wkrótce nie mogłem doliczyć się i 70. Maruderzy rozwlekli się szeroką ławą od Parczewa do Drohiczyna.

Byłem wtedy jedynym oficerem w kompanji, gdyż na podchorążego Morgensterna, jako przydzielonego zaledwie przed kilku dniami, nie mogłem zbytnio liczyć. W takich warunkach, aczkolwiek zachorowałem na krwawą dysenterję, nie mogłem kompanji opuścić, gdyż nie miałby mnie kto zastąpić. Wlokłem się więc ostatkiem sił, wychudły i blady. Gdyby nie podtrzymywała mnie niezwykła radość z odnoszonych zwycięstw, nigdy nie potrafiłbym przejść nawet dwudziestu kilometrów, a tak... przemaszerowałem ich setki.

W miasteczku Bielsk stanęlismy, zdaje się, dwudziestego sierpnia wieczorem. Ja z kompanją odpoczywałem, a służbę ubezpieczeń objął z kompanją 4 ppor. Nowicki. Właśnie rozpocząłem się myć, gdy nadjechał dowódca brygady ppłk. Knoll-Kownacki. Żołnierze pokazali mu moją kwaterę, jako komendę miasta. Dowódca brygady podszedł do mnie i zapytał, gdzie jest nieprzyjaciel. Ponieważ ubezpieczeniami zajmował się Nowicki, więc nie wiedziałem dokładnie, gdzie są teraz bolszewicy.

— Nie wiem — odpowiedziałem krótko.

Odpowiedź ta zdenerwowała pułkownika niesłychanie.

— Cóż z pana za oficer? i t. d. i t. d.,.

Ulżywszy sobie w ten sposób, pułkownik pojechał do Nowickiego.

„Zhepany" należycie, poszedłem za ogród i usiadłem na

Eigentum

trawie. Gdy tak spoczywałem, pogrążony w ponurą zadumę, usłyszałem nagle jakieś podniesione głosy. Ktoś, komuś wymyślał. „Co za parszywy dzień — pomyślałem — znowu ktoś kogoś „hepie".

Głosy tymczasem zaczęły się zbliżać.

Po chwili usłyszałem zupełnie wyraźnie:

— A czemuś, przechero, tu wlaz?

W odpowiedzi jakiś pokorny głos coś tam odpowiadał, ale pierwszy nie dawał mu przyjść do słowa.

— Tu je nasza, polska ziemia — czemuś tu wlaz?

Znowu jakieś ciche, pokorne usprawiedliwienia i donośny bas:

— Ja tu gospodarz, psiawiaro! leź gdzie kcesz, ale nie do mojej zagrody.

Mówiąc te słowa wyszedł z za stodoły młody żołnierz polski, prowadzący wielkiego, kudłatego bolszewika.

— Hej! — zawołałem do żołnierza — skąd to?

Żołnierz roześmiał się całą „gębą" i zaczął opowiadać:

— Poszedłem se, panie poruczniku, na strone, kucam w kartoflisku i załatwiam jenteres, aż tu patrzę ktoś też se kucnął. Patrzę lepiej, a to burek. Aż me zemgliło, że to niby, jak nigdy nic, mógł mnie trzasnąć, że ani by człek nie zipnął. Burek tymczasem wstaje i łapy wyciąga do góry. Wzionem go i prowadzę.

ROZDZIAŁ XXXI.

ŚMIERTELNY KONTREDANS.

Towaryszcz Putna, historyk sowieckiej 27 dywizji piechoty, tak opisuje bitwę pod Białymstokiem: „Na szosie do Białegostoku zgrupowane były liczne tabory i poszczególne jednostki trzech armij (407 p.p. 408 p.p. i oddziały 2, 3, 6, 8, 10, 17, 21 i 55 dywizji). Przeciwnik silnie zajmował Białystok i próby jednostek 2 i 21 dywizji wyrzucenia go z miasta nie miały powodzenia".

Nie była to łatwa przeprawa.

Naprzeciw nieprzeliczonego wojska moskiewskiego stał tylko pierwszy pułk piechoty z mocno uszczuplonym stanem bagnetów oraz trzy kompanje 5 p.p. leg.

Dnia 21 sierpnia, wieczorem 1 bataljon 1 p.p. leg. przymaszerował do miasteczka Kurjany, gdzie kapitan Marski-Marjański, dowódca bataljonu, miał ostatnią w swoim bohaterskiem życiu odprawę z oficerami. Po krótkim wypoczynku wyruszyliśmy ciemną nocą w kierunku niedalekiego już Białegostoku. Przez to miasto miały się cofać niemal wszystkie oddziały sowieckie, bite i pędzone od samych prawie rogatek naszej stolicy. Zadanie 1 dywizji legjonów polegało na zagrodzeniu tym oddziałom drogi, rozbiciu ich i zabraniu do niewoli.

Świtało, gdy nasze patrole wkroczyły na przedmieście Białegostoku. Początkowo maszerowaliśmy spokojnie, bez po-

tyczek, nieprzyjaciela nie było. Na przedzie szła trzecia kompanja pod dowództwem porucznika Harasimowicza (obecnie kapitan-inwalida), który miał jako oficerów młodszych podporucznika Soję i podporucznika Klepackiego. Ja z podchorążym Morgensternem, jako jedynym młodszym oficerem, szedłem z 1-szą kompanją, drugi zkolei, tuż za kompanją trzecią.

W pewnym miejscu usłyszałem silną strzelaninę karabinową i głos komendy—„w tyraljery". To por. Harasimowicz natknął się na małe rowy strzeleckie, zajęte przez 495 pułk sowiecki i wdał się w bitwę. Gdy zauważyłem, że bolszewicy nie mają najmniejszego zamiaru od pierwszego uderzenia pierzchnąć, pośpieszyłem natychmiast na pomoc. Gdy wyszedłem z przedmiejskich ogródków i opłotków, oczy moje uderzył smutny widok. Tuż przy małym mostku, obok drogi, leżał trup dobrego kolegi, podporucznika Soji. Śmierć miał lekką, wraża kula trafiła go w głowę. Leżał z otwartemi ustami, napełnionemi rubinową krwią, która sączyła się, nadając mu niesłychanie żałosny wygląd. Leżał, jakby we śnie, nawet nieodstępna towarzyszka, laska z gałką, tkwiła w jego sztywniejącej już dłoni.

Zgrzytnąłem z wściekłości zębami i wraz rzuciłem się z kompanją na chwiejące się linje moskiewskie.

Nie wytrzymali czubaryki.

Jaki taki wbijał bagnet w ziemię, podnosił ręce i żałosnym głosem wołał:

— Pan, pomiłuj!

Inni, przerażeni do ostatnich granic, rzucali broń i biegli naoślep, byle dalej od naszych długich bagnetów, ostrych jak żądła os, broniących swego gniazda.

Już poprzedniego dnia otrzymałem rozkaz, że w mieście mam zająć stację towarową, to też, nie zwlekając, wpadłem na karkach uciekających Moskali w ulice miasta. Na jednej z tych ulic, długiej i prostej, kazałem ustawić karabin maszynowy i puścić parę taśm do zmiatających przed nami bolszewików. Zagrała maszynka. Kilkanaście burych postaci, jakby jej pokłon oddając, gruchnęło o ziemię. Niektóre zostały, niektóre wlokły się jeszcze chwilę, coś żałośliwie jęcząc i skamląc.

Nie miałem czasu zbierać jeńców, trzeba było natych-

miast maszerować na stację. A tymczasem w mieście, pełnem strzelaniny karabinowej i wojennych okrzyków, zaczęto wywieszać z okien czerwono-białe znamiona wolności polskiej. Na ulice, gdzie gwizdały jeszcze kule i przeraźliwą wydzwaniały muzykę pociski odbitkowe, zaczęły wysypywać się bardziej egzaltowane panie, popłakując i pochlipując w myśl kobiecej zasady — płakać należy tak w smutku, jak i radości.

Przed towarową stacją zastąpił mi drogę jakiś młodzieniec.

— Panie poruczniku, panie poruczniku, nie idźcie dalej, bo na stacji bolszewików całe chmary.

— A coś ty, przyjacielu, za jeden? — zapytałem.

— Peowiak, panie poruczniku, peowiak. Nie idźcie, bo...

Przerwałem mu machnięciem ręki i ruszyłem dalej. Gdy po chwili obejrzałem się, peowiak maszerował między żołnierzami, dźwigając mało co mniejszy od niego ciężki karabin rosyjski.

Na stacji towarowej, między bolszewikami, panował tymczasem istny sądny dzień. Nieprzeliczone tłumy zdesperowanego żołdactwa pchały się do wagonów długiego pociągu, ciągnąc za sobą zrabowane w połowie Polski rzeczy. Gdy wpadliśmy w obręb widzenia i słyszenia tych tłumów, pisk i wrzask panował wśrod nich nieopisany.

Odrazu spostrzegłem, że o ile nie uda mi się ustawić karabinów maszynowych natychmiast, pociąg ucieknie mi przed samym nosem, to też rozpaczliwie zacząłem krzyczeć:

— Maszynki, maszynki, do mnie!

Ale „karabiniarze", zmęczeni niesłychanie uciążliwemi marszami z Lubartowa do Białegostoku, nie nadążyli za pozbawionymi wszelkiego rynsztunku żołnierzami z plutonów. Zanim ustawiono maszynki, kolejarz zagwizdał i pociąg zwolna zaczął ruszać. Coś jednak było w nim zepsutego, gdyż przez kilkanaście sekund nie mógł odjechać. Ten krótki moment wystarczył, aby nasze karabiny maszynowe ostrzelały pociąg, literalnie oblepiony bolszewikami. Trafiani spadali na szyny, a koła sunących zwolna wagonów miażdżyły im głowy, ręce, nogi i całe tułowia. Zaiste, straszny to był widok—te sto-

sy zmasakrowanych trupów, te kawałki nóg, rąk i trzewi, walające się w kurzu i krwi. Widziałem niejednego trupa, niejeden nawet stos trupów w czasie swych wieloletnich walk, ale ten widok wstrząsnął mną do głębi i pozostawił niezapomniane wspomnienie. „To za Soję" — pomyślałem, i ruszyłem za stację, gdzie jakaś grupka zdesperowanych komunistów stawiała zaciekły opór. Jeszcze kilkanaście minut walki i przed moją kompanją nieprzyjaciela już nie było.

Stację towarową zajęto.

Ze wszystkich stron miasta dochodziła mnie jeszcze silna strzelanina karabinowa, maszynki terkotały zawzięcie i nieustannie. Nie byłem pewien położenia, przeto starałem się zebrać wszystkich żołnierzy razem, możliwie jak najrychlej. Okazało się to jednak dość trudne, gdyż stacja przepełniona była wagonami, naładowanemi różną zdobyczą i nie było wprost siły oderwać „Jasiów" od lustrowania interesujących waliz, walizek i skrzynek. Udało się wreszcie żołnierzy zebrać i, w myśl otrzymanego przez łącznika rozkazu, pomaszerowałem torem na stację osobową, pozostawiając na towarowej podchorążego Morgensterna z plutonem.

Przestrzeń, oddzielająca te dworce, wynosi około dwóch kilometrów. Mniej więcej w połowie drogi zauważyłem, że przez tor, wpoprzek, przejeżdża galopem jakaś kawalerja. Przez lornetkę stwierdziłem, że to kozacy. Widok ten skonsternował mnie niemało, gdyż oznaczał, że w mieście nieprzyjaciel jeszcze jest i że nie zajęto go całkiem. Nie namyślając się jednak długo, rozsypałem swych ludzi wzdłuż toru i rozpocząłem ogień pościgowy. Wynik był bardzo piękny, gdyż już w kilka minut potem pola przedmiejskie zaroiły się hulającemi bez jeźdźców końmi i pokryły trupami. Zbadawszy, że był to tylko niewielki oddział kawalerji, przedzierający się przez zajęte miasto, ruszyłem dalej i po chwili doszedłem do stacji osobowej. Zastałem tam drugą i czwartą kompanję. Dowiedziałem się wtedy, że został ranny podporucznik Supiński z 1-ej kompanji karabinów maszynowych.

Na stacji osobowej zdobyliśmy pociąg, zapełniony żonami różnych komisarzy bolszewickich, ich kochankami i tak zwa-

nemi „siestriczkami". W jednym wagonie znalazłem biuro dowódcy, nie pamiętam już której armji. Sam dowódca, gdy żołnierze biegli do pociągu, był jeszcze w wagonie i dopiero na ich widok uciekł bez marynarki. Oczywiście, nie wiedziano wtedy, że był to sam komandir armji; dowiedziałem się o tem dopiero od jego kochanki, która pozostała w wagonie-biurze. W wagonie, oprócz zalewającej się łzami dziewczyny i błagającej mnie na kolanach, aby darować jej życie, znajdowała się kancelarja z aktami, aparat Hughes'a, cała garderoba komandira i jego damy, a w otomanie, służącej za łóżko, przemyślny komandir urządził sobie nielada śpiżarnię. W spiżarni tej nie brakło ani wyborowych win, ani cukrów wszelkiego rodzaju, były nawet... daktyle.

Widząc ten dostatek, zapytałem.

— Jakoś dobrze powodziło się wam na tej wojnie?

Dama na to:

— Nie ubiwaj pan, pomiłuj!

— Nie bój się, pani. Mąż gdzie?

Dama, jakby nic nie słysząc, wciąż powtarzała swoje.

— Nie ubiwaj pan, pomiłuj!

— Przecież, do djabła, nie zabijam pani! — wykrzyknąłem już zły — mąż gdzie?

— Nie ub... — dama urwała i spojrzała na mnie przytomniej — uciekł, skatina, uciekł, a mnie samą zostawił.

— Niema co, gieroj — mruknąłem i przestałem zajmować się nią.

Około dziewiątej rano przyjechał na zdobytym samochodzie ciężarowym dowódca pułku, kpt. Wenda oraz dowódca bataljonu, kpt. Marski-Marjański. Marjańskiego widziałem wtedy już po raz ostatni. Wydał on rozkazy, kto co ma gdzie obsadzić i co robić. Ja miałem zająć stanowisko za stacją, w pobliżu toru, prowadzącego do Warszawy. Na lewem skrzydle, w oddaleniu kilkuset metrów, miałem kompanję trzecią, a na prawem, w odległości przeszło kilometra, kompanję czwartą, obsadzającą szosę warszawską za wsią Wysokostoczek. Kompanja druga, pod dowództwem ppor. Czarneckiego, pozostała na

dworcu jako odwód, przytem jeden pluton przydzielono do mnie.

Przez krótki czas na całej linji panowała cisza, lecz nie upłynęła nawet godzina, gdy bolszewicy rozpoczęli natarcia na całej linji. Na naszym odcinku uderzali wzdłuż szosy warszawskiej i wzdłuż toru Warszawa - Grodno. Szli kilku linjami tyraljerskiemi i zdradzali wielką determinację. Widziałem zupełnie wyraźnie, jak trzecia kompanja zachwiała się i zaczęła cofać. Zdziwiło mnie to bardzo, gdyż położenie nie było jeszcze groźne. Przestałem się jednak dziwić, gdy za chwilę wyjaśnił mi łącznik, że dowódca kompanji, por. Harasimowicz, został ciężko ranny, co kompanję zupełnie zdemoralizowało. W tym czasie na moich tyłach, w mieście, rozgorzała jakaś walka i kule zaczęły gwizdać ztyłu. Zupełnie zdezorjentowany, mając bolszewików zprzodu, ztyłu, a i na lewem skrzydle niepewne położenie, postanowiłem cofnąć się bliżej stacji. Bolszewicy oczywiście posunęli się wślad za mną, nie ośmielając się jednak uderzyć na mnie bagnetem. Wtedy usłyszałem na lewem skrzydle donośne okrzyki „hura", „hura" i jednocześnie spostrzegłem wśród bolszewików zamęt. Było to przeciwnatarcie prowadzone resztkami 3 kompanji przez kpt. Marskiego. Natychmiast też poszedłem do przeciwnatarcia i powróciłem na stare stanowisko. Pod naciskiem wielkich sił nieprzyjacielskich czterokrotnie cofałem się i czterokrotnie szedłem naprzód. Wreszcie, już dobrze po południu, dostrzegłem na horyzoncie mnóstwo bolszewickiej kawalerji, wysuwającej się z lasu. Część tej kawalerji oderwała się od głównej masy i ruszyła galopem na czwartą kompanję. Widziałem, jak na dłoni, jak kompanja podporucznika Nowickiego podpuściła ich zupełnie blisko, jak przyjęła ich śmiertelnym ogniem, od którego zakotłowało się wśród niej i jak kawalerja rozbiegła się na wszystkie strony. W parę chwil potem wyruszyły nowe oddziały kawalerji i nie bacząc na ogromne straty, dotarły do czwartej kompanji, minęły ją we wściekłym galopie, przedzierając się w kierunku Wołkowyska, w kierunku „matuszki Rassii". Czwarta kompanja nie rozbiegła się, nie wbiła bagnetów w ziemię, lecz zaczęła zwolna, odgryzając się na wzór osaczonego

dzika, cofać ku stacji. Widząc to, zrozumiałem, że dłużej wahać się nie można, że trzeba natychmiast cofnąć się również.

Na stacji zastałem kompanję odwodową, silnie uszczuploną kompanję podporucznika Nowickiego, resztki kompanji trzeciej oraz armatę polową z porucznikiem Piaseckiem z 1-go pułku artylerji polowej.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że dowódca bataljonu, kapitan Marski-Marjański, został zabity w czasie walk ulicznych w mieście i niemało zżymaliśmy się, że nie otrzymujemy żadnych rozkazów ani wiadomości o położeniu. W tem miejscu należałoby wyjaśnić, że nieprawdziwą jest wersja, jakoby kapitan Marski miał zginąć od kuli posłanej z okna ręką jakiegoś Żyda. Kapitan Marski zginął w jednej z potyczek w mieście, do którego, już po zajęciu przez nas, wtargnęły liczne oddziały sowieckie, przedzierające się na wschód.

Ledwie zgrupowaliśmy się na stacji, gdy bolszewickie linje podeszły całkiem blisko i zaczęły ostrzeliwanie. Jednocześnie nadeszła im w pomoc artylerja; ciężkie pociski zaczęły walić w tor i okolice stacji. W tym czasie w mieście wrzała zawzięta walka i ulice przechodziły z rąk do rąk.

Położenie nasze stawało się beznadziejne, gdyż do miasta cofać się nie mogliśmy, sądząc, że jest zajęte przez bolszewików; trzeba było je obejść, cofając się narazie wzdłuż toru, w kierunku stacji towarowej. Jednak i tam już byli bolszewicy, o czem zameldował mi pluton Morgensterna, przytem Morgenstern odszedł już, jako ranny, na punkt opatrunkowy. Amunicji brakowało, a dla karabinów maszynowych trzeba było taśmować w czasie bitwy i to ręcznie, gdyż ładowniki taśmowe pozostały w taborze.

Zaczęliśmy się cofać.

Podporucznik Piasecki ustawił swoją armatę na moście i dzielnie osłaniał nam odwrót, waląc na wszystkie strony szrapnelami.

Cofaliśmy się w milczeniu, zwolna i nawet mało odstrzeliwując się. Kilka razy zatrzymaliśmy się i szliśmy do przeciwnatarcia. W pewnej chwili zostaliśmy w kilku nieco ztyłu: ja, ppor. Nowicki, ppor. Bielski, ppor. Czarnecki, plutonowy Mruk,

kapral Kałuża, starszy szeregowiec Orłowski, plutonowy Rakowski, sierżant Ślęzak i sierżant Rzepiela (obecnie porucznik— inwalida). W jednej z bocznych uliczek dostrzegłem zachodzących nam drogę bolszewików. Nie zapomnę nigdy szarych oczu Nowickiego ani jego spokojnych rąk, gdy podnosiły ruchem powolnym żołnierski karabin do oczu. Ja z Bielskim strzelaliśmy z rewolwerów. Bolszewicy byli oddaleni o kroków dwadzieścia. Uczułem nagle pod czaszką dziwnie jasną myśl, że to już ostatnie nasze chwile... Nie mogłem się powstrzymać i zawołałem do Bielskiego.

— No cóż, Witek, zginiemy?!

Spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem i coś tam wymamrotał o dzbanie i o uchu.

Ucho się jednak nie urwało.

Jeszcze jedno przeciwnatarcie odrzuciło na chwilę bolszewików.

Szedłem wciąż na tyle cofającego się bataljonu i strzelałem z dużego rewolweru hiszpańskiego. Naraz uczułem, jakby ktoś szeroką deską uderzył mnie przez prawą połowę ciała.

Zakołowało mi się w głowie, stanąłem i zwolna osunąłem się na ziemię. Pamiętam dokładnie, że o krok ode mnie leżał śmiertelnie ranny w brzuch szeregowiec z mojej kompanji, nazwiskiem Wojtusiak czy Wojtczak, i błagalnym głosem jęczał: „koledzy drodzy, koledzy kochani, nie zostawiajcie, zabierzcie". Widać było, że nieszczęśliwy prawie kona. Ogarnęła mnie wtedy jedyna myśl, ta sama, co tego Wojtczaka czy Wojtusiaka — nie umierać tak, jak pies pod płotem, między nadchodzącymi wrogami odwiecznymi.

Zwlokłem się i, opierając się o płot, chciałem ruszyć za maszerującym bataljonem, chciałem biec i krzyczeć o pomoc, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa, a głosu i tchu zabrakło w gardle. Z przestrzelonego płuca krew wyciekała, pozbawiając mnie sił. Nikt nie zauważył tego, że zostałem ranny, nikt nie śpieszył z pomocą. Hałas bitwy zagłuszał moje niedołężne wołanie. Gdym już prawie stracił nadzieję, dostrzegłem mijającego mnie plutonowego Rakowskiego (obecnie plutonowy rezerwy, inwalida, kawaler orderu virtuti militari), który, sam będąc ranny,

schwycił mnie pod rękę i zaczął wołać na żołnierzy. Podbiegł kapral Kałuża, starszy szeregowiec Orłowski i jeszcze kilku, i zaczęli mnie prowadzić, a reszta samorzutnie zatrzymała się, aby dać chociaż krótki odpór i czas na odprowadzenie mnie dalej. W kilka minut później szeregowiec Rowecki, student-ochotnik, żołnierz mojej kompanji, przyprowadził podwodę i ułożył mnie na niej.

Za chwilę podbiegł podporucznik Bielski, któremu, będąc pewnym, że już za chwilę umrę, oddałem wszystkie papiery z poleceniem doręczenia, gdzie należy.

Na wóz, gdzie mnie położono, wrzucono następnie jeszcze kilku rannych, potem jeszcze kilku, tak że utworzył się jęczący stos. Jeden z tych rannych, przygniatający moje nogi, umarł. Mało byłem wtedy przytomny i niewiele pamiętam, aczkolwiek świadomości nie straciłem ani na chwilę.

W momencie, kiedy już zdawało się, że wszelka nadzieja stracona, kiedy niemal napewno można było powiedzieć, że pierwszy bataljon lada chwila ulegnie, zbierał za miastem i włączał do swojej 6 kompanji podporucznik Chmura różnych łazików, kucharzy i sporą ilość cywilnych robotników, którzy, widząc nasze krytyczne położenie, zbiegali się do szeregów z pozbieraną bronią rosyjską. Zebrawszy gromadę takich ochotników, ppor. Chmura, z determinacją godną uwiecznienia, uderzył na przepełnione bolszewikami miasto i wsparł walczące tam pojedyńcze nasze oddziałki.

Już około 6 po południu ostatnie nasze odwody wpadły od strony Skorup, przez ulicę Warszawską, decydując tem o ostatecznym wyniku bitwy.

22 armat, 123 karabinów maszynowych, samolot, pociąg pancerny i 9 tysięcy jeńców — oto plony zebrane przez 1 pułk piechoty legjonów w krwawym dniu 22 sierpnia 1920 roku. Nie darmo mu jednak przypadły one w udziale — siedmiu oficerów i mnóstwo szeregowych przelało swą krew, ale pułk okrył się niecodzienną sławą, sławą stawiania czoła wielu dywizjom nieprzyjacielskim i to stawiania zwycięskiego.

ROZDZIAŁ XXXII.

CIERNIE I RÓŻE.

Opatrzył mnie już późnym wieczorem lekarz bataljonowy, ppor. Piasecki, brat tego Piaseckiego, który został ranny pod Borodianką. W czasie opatrunku zemdlałem i obudziłem się wtedy, gdy kładziono mnie znowu na wóz, w celu przewiezienia do szpitala w mieście.

Ten krótki przejazd był dla mnie prawdziwem piekłem. Koła podskakiwały na wielkich „kocich łbach" bruku białostockiego a każdy ruch sprawiał mi niewymowne męki. Obok wozu szedł ordynans, szeregowiec Pściuk, i, jak później opowiadał, „patrzał" czy jeszcze żyję.

Około północy zajechaliśmy przed wielki gmach, którego dziedziniec zapełniony był wozami pełnemi rannych. Tych rannych było mnóstwo; leżeli oni na bruku, na korytarzach, na schodach. Szpital był przepełniony. Na szczęście, zlitowała się nad biadaniem mojego ordynansa jakaś siostra i przy pomocy sanitarjuszy przeniosła mnie do jednej z sal, wprawdzie już pełnej, ale w której znalazło się jeszcze nieco miejsca. W sali zastałem por. Harasimowicza, ppor. Supińskiego oraz wielu podoficerów i szeregowców z naszego bataljonu.

Szpital był czynny podczas pobytu bolszewików, wskutek czego leżeli w nim obok naszych żołnierzy, rannych w Białymstoku, również ranni Rosjanie, a także Polacy, którzy dostali się do niewoli. Z tych ostatnich większość należała do

dywizji ochotniczej, która niedaleko rzeki Bug, pod Paprotnią, poniosła ciężkie straty.

Na drugi dzień czułem się bardzo źle. Nie mogłem prawie mówić, prawą ręką nie władałem. Okazało się, że kula przeszyła płuco i przebiła łopatkę. Z samego rana przyszedł do mnie sierżant Zbierski, szef kompanji. W jego poczciwej, a nie na żarty zasmuconej twarzy, czytałem wyraźnie, że muszę wyglądać bardzo kiepsko. Od niego dowiedziałem się, że z kompanji pozostało zaledwie czterdziestu ludzi, że dowództwo po mnie objął podporucznik Czarnecki, i że w bataljonie rozdzielono oficerów w ten sposób, aby każda kompanja miała po jednym. Wykruszyli się koledzy! W Kijowie, w kasynie bataljonowem, zbierało się nas po dwudziestu, a po bitwie pod Białymstokiem pozostało już tylko 5 czy 6. Nie lepiej było i z szeregowymi, a zwłaszcza z podoficerami, którzy nie żałowali własnych łbów i krwi.

W szpitalu panował wielki bałagan, gdyż bolszewicka obsługa uciekła, a naszej jeszcze nie zorganizowano. Dosłownie nie dawano jeść, chociaż leżało tam mnóstwo rannych w nogi lub ręce, a więc posiadających doskonałe apetyty. Naszą małą salką zajęły się dwie panie z miasta. Jedna z nich, Marja Szwarc, była dentystką, druga zaś — uczenicą średniego zakładu naukowego, harcerką. Obie te dzielne niewiasty wychodziły codziennie rano na miasto z koszykiem i krążyły od domu do domu, zbierając jedzenie „dla rannych". Dzięki tej ich przemyślności znajdowaliśmy się w stosunkowo lepszych warunkach, aniżeli inni. Po wyjeździe z Białegostoku już nigdy pań tych nie spotkałem, lecz do dzisiaj żywię dla nich wielką wdzięczność za okazaną mi dobroć i serce.

W kilka dni później przyjechał szpital polowy dywizji podhalańskiej i zajął się nami. Od tego czasu zaczęło się wszystko poprawiać.

Przez pierwszy tydzień wcale nie mieliśmy pewności czy Białystok pozostanie w naszych rękach i czy nasi nie cofną się ponownie. Domagaliśmy się wskutek tego, aby odesłano nas natychmiast do Warszawy, czego znowu dowództwo szpitala

nie mogło uskutecznić z braku mostów na Bugu. Istniała wprawdzie komunikacja przez Czeremchę i Siedlce, lecz walki toczyły się podobno o dwa kilometry od węzła czeremszańskiego, co oczywiście uniemożliwiało uruchomienie transportów z rannymi. Jednak ranni nie rozumowali, lecz domagali się odesłania, rzucając groźne słowa pod adresem kierownictwa szpitalem.

W nocy ordynansi wychodzili za miasto i, nadsłuchując dalekiego huku dział, stawiali horoskopy na przyszłość. Gazet żadnych przez cały czas nie mieliśmy.

Odwiedził nas pewnego dnia generał Galica, dowódca dywizji podhalańskiej. Wypytywał, czy nie mamy jakich życzeń. Wszyscy odpowiadali jednakowo:

— Panie generale, proszę wywieźć nas w głąb kraju.

Poczciwy generał obiecywał, że już wkrótce to nastąpi, a poza tem opowiadał o zwycięstwach, jakie nasze wojsko odniosło w okolicach Wołkowyska oraz o tem, że bolszewicy cofają się już na Lidę.

W szpitalu białostockim przebyłem jedenaście dni. Następnie przewieziono nas do czołówki sanitarnej, składającej się z jednego wagonu sanitarnego, w którym urzędował lekarz, Amerykanin, oraz z wielkiej ilości wagonów „wołowych". W tych to wagonach umieszczono wszystkich rannych, a ponieważ jechało również mnóstwo chorych, a zwłaszcza dysenteryków, więc i ich poumieszczano razem z nami.

W moim wagonie leżał, oprócz mnie, jeszcze podporucznik Supiński, ranny w pachwinę, oraz jakiś podporucznik, ranny w szyję i cały sparaliżowany. Nieszczęśliwy ten oficer nie mógł panować nad żadną z funkcyj naturalnych. Oprócz nas trzech oficerów, leżeli jeszcze liczni szeregowi, z których kilku chorych na czerwonkę. Chorzy ci, niemal nieprzytomni, nie mogli chodzić o własnych siłach „na stronę" i leżeli we własnym kale. Nie było sanitarjuszy, którzyby się nimi zajęli.

W wagonie panował straszliwy smród i zaduch.

Podówczas nie mogłem jeszcze podnosić się o swoich siłach i cierpiałem też niemało.

Wielkie nieporządki panowały w tej czołówce, ale, mój Boże, czyż mogło być inaczej, gdy wróg zajmował połowę kraju, kołacząc do jego stolicy? Klęli wprawdzie żołnierze i pomstowali, ale gdy na jednej ze stacyj wsiadła jakaś siostra — panienka, ubrana w fantastyczny, napół wojskowy kostjum, i widząc naszą nędzę, rozpłakała się serdecznie, w głos, stajały serca żołnierskie, a zalewająca ich żółć znikła gdzieś bez śladu.

Do Siedlec jechaliśmy przeszło dwa dni i dwie noce. W innych czasach i w innych warunkach podróż powinnaby trwać najwyżej kilka godzin. W Siedlcach czekał na nas wspaniały, luksusowy pociąg sanitarny, urządzony z wielkim przepychem, posiadający lekarzy i sanitarjuszki oraz doskonale zaopatrzony we wszelkie niezbędne pomoce. Wyglądało to tak, jakgdyby wstydzono się pokazać nas w stolicy w obskurnych i brudnych wagonach.

W Warszawie, a właściwie na Pradze, wyładowano nas i poukładano na noszach przed dworcem. Natychmiast zebrał się wielki tłum ludzi, okazując nam jak najwyższe współczucie. Kobiety, jak kobiety, płakały i błogosławiły, życząc rychłego wyzdrowienia.

Bijąc się przez długie lata na różnych frontach, zatraciłem prawie łączność z Polską i z polskiem społeczeństwem. Z biegiem lat odsunęło się jakoś ode mnie. Wówczas, widząc te zapłakane twarze kobiece, ten wyraz współczucia i litości w oczach mężczyzn, zadzierzgnąłem jakiś nowy, niewidzialny, z Ojczyzną węzeł. Poczułem się lekki i zadowolony. Wprawdzie wyciekło nieco krwi z człowieka, ale, niech tam, przyda się to na coś!

Ze stacji zabrały nas wspaniałe samochodowe karetki sanitarne i zawiozły do szpitala Dzieciątka Jezus, do kliniki uniwersyteckiej.

Hej! co za przeskok — od „wołowych“ wagonów czołówki do lśniących czystością, przytulnych sal tego szpitala!

Służbę sanitarną pełniły tam studentki. Miłe, śliczne i delikatne dziewczątka.

Leżąc po opatrunku w czystej pościeli, wykąpany i wymyty, pozbawiony wszów i pcheł, myślałem, że większego zadowolenia od życia wymagać chyba nie można. Pogrążony w rozkosznych myślach, uczułem nagle, jak jakaś miękka, delikatna ręka gładzi mnie pieszczotliwie po włosach, a w uchu zadźwięczały, niby dziwna muzyka, ciche, łagodne słowa:

— Spać, poruczniku, spać! Będzie pan niedługo zdrowy, zupełnie zdrowy.

BIBLJOTEKA
№
Wyż. S-k. Woj.

Biblioteka AP W
32 017/2